Małgorzata Warda
NAJPIĘKNIEJSZA NA NIEBIE

Małgorzata Warda

NAJPIĘKNIEJSZA NA NIEBIE

Wołowiec 2015

Podziękowania

Dziękuję mojemu fantastycznemu redaktorowi Konradowi Nowackiemu oraz wszystkim osobom z Black Publishing za ich intensywną pracę i entuzjazm.

Dziękuję Rodzicom, Siostrze Oli i Agnieszce Gil za czytanie książki w trakcie jej kończenia i ustawienie mnie do pionu, kiedy wpadłam w czarną rozpacz.

Dziękuję Mamie za podsunięcie tytułu do książki.

Dziękuję Grzesiowi Marciniakowi za poświęcony mi czas i informacje o anemii aplastycznej.

Ilonie Poćwierz-Marciniak dziękuję, ponieważ jak zawsze doskonale się spisała pomagając mi zrozumieć, jakie powinny być moje bohaterki.

Dziękuję pracownikom Pogotowia Opiekuńczego w Gdyni im. Karola Olgierda Borchardta za informacje o działaniu placówki.

Dziękuję Internautom, którzy podzielili się ze mną doświadczeniami adopcji i poszukiwaniami bliskich.

Dziękuję Dorocie Keller za niekonwencjonalne rozwiązania dla książkowej akcji i wysłuchanie moich długich przemyśleń. Dziękuję Agnieszce Sikorskiej-Celejewskiej za rozmowy, które otworzyły mi oczy na powieść.

Dziękuję także przyjaciółkom, które bardzo mi pomagają i wykazują entuzjazm dla moich działań i służą radą: Manuli Kalickiej, Ani Fryczkowskiej, Hani Cygler, Annie Łacinie, Lucynie Olejniczak, Rysi Marii Ulatowskiej, Marioli Zaczyńskiej, Magdzie Zimniak, Agnieszce Lingas-Łoniewskiej, Marcie Pilarskiej, Magdzie Pioruńskiej, Ani Staszczak, Anecie Bednarskiej.

Dziękuję rodzicom męża za pomoc przy Sylwii, dzięki czemu miałam czas skończyć książkę.

Na koniec, jak zawsze dziękuję mojemu mężowi, Maćkowi, za jego nieustającą wiarę we mnie, pomoc przy pisaniu, pierwszą redakcję tekstu, szczerość, dzięki której staram się pisać lepiej i umiejętne rozładowywanie żartami moich smutków i lęków.

W dowód uznania za cały jego wkład, to właśnie jemu i naszej córeczce Sylwii, dedykuję tę książkę.

Winien jestem ci wszystko, ponieważ cię kocham.

Antoine de Saint-Exupéry

1

Współcześnie

Większość ciem zniknęła już w połowie jesieni, ale kiedy wychodzę wieczorem na werandę, zauważam jedną krążącą wokół lampy, tak blisko, że za chwilę rozbłyśnie w ogniu.

– Pani Pola Michalak?! – woła kobieta stojąca przy furtce. – Czy możemy porozmawiać?!

Drewniane schody trzeszczą pod moimi stopami, gdy schodzę na trawnik pokryty dziewiczą cienką warstwą śniegu. W ciemności nie widzę dobrze twarzy kobiety, głównie rozpoznaję zarys jej drobnej figury, ciemnej kurtki i wełnianej czapki. Ostatni dzienny autobus właśnie zawraca na pętli wąskiej drogi, rozświetlając reflektorami sztachety ogrodzenia i żywopłot.

– Nazywam się Sylwia Kalińska. Potrzebuję pani pomocy.

– Nie zajmuję się tym. Jak mnie pani znalazła?

– Przejechałam taki kawał drogi z dzieckiem… Proszę chociaż posłuchać, z czym przychodzę.

Dopiero teraz zauważam paroletnią dziewczynkę, która jej towarzyszy. Jest tak niska, że ledwie wystaje zza żywopłotu. Wełniany beret spada małej na oczy, tylko niebieski płaszczyk odznacza się w śnieżnej bieli. To ze względu na dziewczynkę przekręcam klucz w zamku.

– Wejdźcie. Ale ostrzegam: niczego nie obiecuję.

W przedpokoju Sylwia pomaga dziewczynce odpiąć zamki w śniegowcach, a jej spojrzenie trochę nerwowo obiega stylową komodę na giętych nogach, stojącą tuż przy wejściu. W ramkach, które zauważa na blacie, powinny się znajdować fotografie mojej rodziny: brata policjanta i mamy, z chustką na głowie, w okularach *à la* Jacqueline Kennedy, z uszminkowanymi ustami. Dawniej były tu także zdjęcia taty, wysokiego bruneta przypominającego Beara Gryllsa w ubraniach w stylu safari, z nieodłącznym aparatem fotograficznym na szyi i takim wyrazem twarzy, jakby właśnie rozpoczynała się przygoda jego życia. Dzisiaj zamiast zdjęć w ramkach stoją tylko szare kartki.

– Dlaczego ta pani nie chciała nas wpuścić? – pyta dziewczynka.

– Najważniejsze, że jednak jesteśmy – odpowiada kobieta.

Para gwiżdże w czajniku, więc zostawiam je same. Czuję się nieswojo, słysząc głosy rozrywające ciszę. Rzadko kiedy mam tutaj gości.

Mój dom znajduje się kilkadziesiąt metrów za ostatnią ulicą i pętlą autobusową, na wysokim wzniesieniu, które od morza oddziela tylko klif, pomost i plaża. Dawno temu, kiedy kupiłam tę ziemię, w promieniu kilku kilometrów nie miałam żadnych sąsiadów. Od niedawna okolica stała się atrakcyjna turystycznie, więc ludzie nabywają działki porośnięte wysoką trawą i dzikim szczawiem i stawiają na nich wille. Całymi dniami od wiosny do późnej jesieni słyszę dźwięki betoniarek i koparek, ale o tej porze roku panuje tu wielka cisza. W tej ciszy słyszę głównie wiatr, rozpędzający się nad morzem i napierający na dom, oraz odległe zawodzenie psa do złudzenia przypominające wycie wilka.

Dzisiaj w nocy mamy pierwszy ostrzejszy mróz. Wędruje po oknach, malując na nich wzory, ścina drewno werandy, więc wiosną pewnie odkryję nowe wyszczerbienia i pęknięcia. Plaża już od wielu tygodni jest pusta i biała po horyzont, woda zakolami zabiera ląd. Wszystko jednak jest w ruchu, jakby czekając na pierwszy zimowy sztorm. W mroku widoczne z kuchennego okna ostrogi, wbite w dno na odległość kilkunastu metrów w głąb morza,

wyglądają jak czarne plamy.

– Oglądałam pani reportaże z zagranicznych miejsc. Jest pani taka młoda, dwadzieścia siedem lat, prawda? A już zrobiła pani tak wiele. Regularnie śledziłam pani program w polskiej telewizji o rodzinach rozdzielonych adopcją… – odzywa się Sylwia, kiedy wchodzę do salonu z parującymi kubkami. Rozebrała się z płaszcza, ale nie zdjęła wełnianej czapki. Wiszący pod sufitem żyrandol rozświetla jej twarz tak, że pod oczami gromadzą się cienie, a skóra wydaje się blada i wymizerowana. – Ja również szukam rodziny.

– Może pani zostawić swoje dane. Pewnie zadzwonię za jakiś czas i wówczas porozmawiamy o współpracy.

– Za jaki czas?

– Dwa–trzy miesiące.

Dziewczynka sięga po kubek z herbatą, ale porcelana jest za gorąca, więc szybko cofa palce i dmucha na nie w śmieszny sposób, jakby chciała zgasić duży płomień.

– Chodzi o pieniądze? – Kobieta wyciąga z torebki mały worek, prawdopodobnie zrobiony na drutach albo na szydełku. – Rozumiem, wszystko wiąże się z kosztami, ale… Ile?

– Co ile?

– Ile mam zapłacić, żeby zajęła się pani moją sprawą?

– Nie biorę pieniędzy za reportaże. Płaci telewizja. Po prostu nie zajmuję się teraz żadną sprawą…

– Choruję. – Kobieta ścisza głos, chyba ze względu na córkę, ale słowa wyrzuca szybko, z desperacją. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że jej oczy wydały mi się nagie, ponieważ są pozbawione rzęs. Nieruchomieję, gdy zsuwa czapkę, odsłaniając łysą głowę. – Moja odporność przeciwbakteryjna i przeciwgrzybicza równa się niemal zeru, mam niski poziom granulocytów, a czerwone krwinki, które przetoczono mi w szpitalu, żyją tylko sto dwadzieścia dni. – Patrzy na dziecko, a w jej oczach pojawia się strach. – Nie jesteśmy zgodne, jej szpik mnie nie uratuje. Mam jednak rodzinę, która porzuciła mnie dawno temu, i siostrę, której nigdy nie poznałam, ponieważ zostałyśmy rozdzielone w dzieciństwie. Domyślam się, że ma pani swoje problemy, ale… Ja po prostu nie mogę czekać tylu miesięcy…

Oddaję jej do dyspozycji pokój gościnny na piętrze i wypuszczam powietrze pod ciśnieniem z kaloryfera.

– Zaraz się rozgrzeje – obiecuję, jak najszybciej wycofując się na korytarz.

W salonie nie mogę znaleźć sobie miejsca. Kobieta usypia córkę, przez sufit dobiegają ich ściszone głosy. Spoglądam na reklamówkę z pamiątkami, którą przywiozła ze sobą Sylwia. Prosiła, bym przejrzała te rzeczy, zanim podejmę decyzję. Czasem wiadomo, że dzieje się coś niedobrego, czuje się to w brzuchu i w opuszkach palców jak delikatne łaskotanie. Tak jest ze mną, gdy biorę reklamówkę na kolana i wyjmuję kilka płyt DVD oraz jakieś poskładane rzeczy. Wśród nich znajduje się dziecięca plisowana spódnica. Coś z tym ubraniem jest nie tak, ale nie mam pojęcia co. Po prostu czuję, że to nie jest rzecz należąca do córki kobiety czy kawałek materiału bez wartości. Rozciągam ją w palcach i zaraz odkładam na bok, by sięgnąć po przytulankę.

To mały brązowy miś, wypłowiały i zniszczony, jakby tysiące razy lądował w praniu albo jakby spało z nim wiele pokoleń dzieci. Przysuwam go do nosa, zamykam oczy i wówczas dociera do mnie nikły zapach, który przywodzi na myśl coś…

Na dnie reklamówki leży jeszcze jedna pamiątka – niewielka, złożona na pół kartka.

Wycinek z prasy. Rozprostowuję ją, wygładzam brzegi i poznaję historię Sylwii Kalińskiej.

2

Gdańsk Wrzeszcz, 1987 rok

Sylwia Kalińska zrzuciła tornister z ramion i pobiegła do kuchni.

– Mamo! Mamo! – zawołała.

– Twojej mamy jeszcze nie ma – poinformował mężczyzna, który odebrał ją ze świetlicy. – Tak jak już mówiłem, jestem Stefan. – Mężczyzna wykonał żartobliwy ukłon. – Fajnie cię poznać, córko Karoliny „Kaszmir" Kalińskiej.

Stefan już dawno skończył szkołę, ale wciąż ubierał się jak nastolatek – w T-shirt i błękitne dżinsy. Kolorowe sznurowadła wplecione w tenisówki przyciągnęły spojrzenie Sylwii. Z uśmiechem podniosła wzrok na jego ładną, niemal dziewczęcą twarz.

– Co zjemy? Zrobię ci… – Otworzył lodówkę, a Sylwia zamarła, bo doskonale wiedziała, co się wydarzy.

W lodówce nie było żadnych, ale to żadnych produktów.

– O kurde – wyrwało się Stefanowi, na co Sylwia zakryła buzię dłonią, by się głośno nie roześmiać. – Szlag by to! Jakim cudem…?

Pewnie sądził, że dla Sylwii to nowa sytuacja, bo na siłę przywołał uśmiech.

– Wiesz co? Mam świetny plan! Może pójdziemy do baru?

– Tak! – Dziewczynka biegiem rzuciła się do drzwi.

Kiedy Stefan przyszedł po nią do szkoły, nie wziął jej za rękę, przez co omal się nie zgubili na zatłoczonym placu. Teraz mężczyzna, bogatszy o tamto doświadczenie, wyciągnął do niej dłoń, a ona posłusznie ją złapała. Ręka Stefana wydała się jej duża, a palce ciepłe. Sylwia roześmiała się, kiedy Stefan poderwał ją w górę na chodniku, żeby ominęła kałużę.

– To jakbyś latała! – zawołał. – Chcesz polatać?

– Jestem ptakiem! – krzyknęła Sylwia.

– Jesteś bardzo lekkim ptakiem! Ile ty ważysz, na Boga?

W barze usiedli naprzeciwko siebie przy okrągłym stoliku z niebieską ceratą.

– Lubisz moją mamę? – spytała Sylwia, przesuwając szklankę z różową oranżadą po blacie, tak jakby grała w szachy.

– Przyjaźnimy się – odpowiedział Stefan, zajęty krojeniem kawałka gotowanego kurczaka. – Poznałem Kaszmir… twoją mamę, kiedy jeszcze byłem chłopcem. Mieszkaliśmy na jednym osiedlu, nasze mieszkania dzieliła tylko cienka ściana. Nigdy ci nie opowiadała?

Sylwia pokręciła głową.

– Pewnie dlatego, że straciliśmy ze sobą kontakt. Nawet nie wiedziałem, że ma córkę.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

– Jak długo zostaniesz?

– A jak długo chcesz?

„Na zawsze" – pomyślała Sylwia, ale na głos odparła:

– Do końca popołudnia.

– To na pewno. Dzięki za szczerość. – Stefan przełożył kawałek kurczaka na jej talerz.

Wieczorem krążył po pokoju z telefonem przy uchu i na siłę starał się mówić spokojnym głosem:

– Kaszmir, skąd dzwonisz? Jeszcze jesteś w mieście?

Po obejrzeniu bajki Sylwia czuła się senna, ale mama dotąd nie wróciła, więc dziewczynka siedziała na kanapie z pidżamą na kolanach i spoglądała w telewizor, w którym po dobranocce właśnie rozpoczął się dziennik.

– Nie tak się umawialiśmy… miałem ją odebrać… Rozumiem, wiem, że masz problemy, ale ja też mam swoje sprawy… Kiedy wrócisz? Co mam jej powiedzieć?… Jest zmęczona. Mam ją położyć spać? O której tu będziesz?

Serce Sylwii poderwało się do biegu. Kiedy Stefan się rozłączył i kucnął przy jej fotelu, dopiero po długiej chwili ośmieliła się na niego spojrzeć.

– Spakujemy twój tornister? – spytał ze sztucznym ożywieniem. – Musisz być gotowa na jutro do szkoły. Pierwsza klasa to poważna sprawa.

Włożyli do tornistra pachnącą truskawką gumkę i nowe zeszyty. Stefan spytał, czy Sylwia potrzebuje też cyrkla i linijki, ale zaraz uderzył się dłonią w czoło, oświadczając, że minęło sto lat, od kiedy sam skończył szkołę, więc zapomniał, że tak małe dzieci nie używają cyrkla.

Uśmiech na twarzy Sylwii powoli zaczął gasnąć. Nieczęsto się zdarzało, żeby ktoś poświęcił jej tak wiele uwagi; przyzwyczaiła się, że jeśli już ktoś robi dla niej coś dobrego, należy podziękować. Teraz jednak nie miała niczego, czym mogłaby podziękować Stefanowi, a było już za późno na rysowanie laurki.

– Czy mogę ci coś powiedzieć? – spytała tak cicho, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby Stefan jej nie usłyszał.

– Jasne. Wal! – Uśmiechnął się, ale Sylwia spoważniała.

Podaruje mu wielką tajemnicę. Poprosiła Stefana, żeby się schylił, przysunęła usta do jego ucha, osłoniła je dłonią i wyszeptała:

– Kaszmir to nie jest moja prawdziwa mama. Prawdziwa mama mnie porzuciła, więc trafiłam do domu dziecka.

Gdy Sylwia się postarała, potrafiła przypomnieć sobie dom dziecka oraz to, co wydarzyło się wcześniej. Kiedyś wszystkie wspomnienia były wyraźne, ale czas zabrał im kolory, zapachy i dźwięki i zostało tylko kilka obrazów. Jeden z nich dotyczył piętrowych łóżek w domu dziecka i opiekunki, która patrząc Sylwii w oczy, stwierdziła z żalem:

– Musisz się bardziej starać, inaczej nikt cię do siebie nie weźmie.

Inny obraz przedstawiał rodzinny dom. Sylwii wydawało się, że widzi przed nim kałużę z wodą, a na płocie wiszące doniczki z kwiatami. Nie pamiętała swojego pokoju, ale za to dokładnie przypominała sobie flakon perfum mamy stojący na jednej z półek: wąski, o kształcie zwyczajnej butelki, ale z grawerowanymi brzegami i przechodzącym przez jego brzuch błyszczącym złotym napisem.

– Chyba byliśmy bardzo biedni – powiedziała tego wieczoru Stefanowi.

Mężczyzna zrobił jej kakao i wlał do szklanki, a nie jak Kaszmir do kubka, znalazł też słomkę, więc napój wyglądał o niebo lepiej, niż kiedy podawała go mama.

– Nie mieliśmy pieniędzy i prawdziwa mama musiała mnie oddać.

– Oddała cię do domu dziecka? – Stefan od chwili, gdy zaczęli o tym rozmawiać, gniótł w palcach niewielkie sreberko, do którego Kaszmir strzepywała popiół z papierosa.

– Chyba tak. Nie pamiętam tego.

– Tak ci powiedziała Kaszmir? – Podniósł na nią wzrok.

Sylwia upiła łyk kakao i starała się poukładać przeszłość. Ale przeszłość nie chciała się ułożyć. Jeżyła się i stroszyła, jakby miała pokłuć, jeśli Sylwia spróbuje rozprostować chociaż jeden róg. Gdzieś tam, w tym chaosie kłujących kolców, tkwił dom dziecka, mama, zastępczy

rodzice Lamkowie oraz informacja podana przez opiekunkę, że biologiczna mama straciła do dziewczynki prawa rodzicielskie i Sylwia nie musi się już błąkać po rodzinach zastępczych, tylko trafi do adopcji.

– Z domu dziecka pojechałam do państwa Lamków. – Nazwisko pierwszych rodziców wymówiła tak szybko, by nie wróciło wszystko, czego nie chciała pamiętać i co udało jej się wsunąć w najciemniejszy i najciaśniejszy zakamarek w głowie.

– Kim oni byli? – Stefan tak mocno zgiął sreberko, że zrobiła się w nim dziura.

– Moimi rodzicami zastępczymi. Kaszmir jest druga. Ale z Kaszmir zostanę już na zawsze…

To, czego Sylwia nie chciała pamiętać, na moment wychyliło się z zakamarka w jej głowie. Dziewczynka trzepnęła rzęsami, żeby znowu się schowało.

– Jak trafiłaś do Kaszmir? – Stefan zwinął sreberko w kulkę.

Ta opowieść była łatwiejsza. Sylwia z ulgą wyprostowała się na krześle i nawet zaczęła wesoło machać nogami pod stołem.

– Kaszmir przyjechała do domu dziecka, zobaczyła mnie i powiedziała…

– Jedziesz ze mną, moja panno! – oznajmiła Kaszmir, podpierając się pod boki, kiedy stanęła na wprost Sylwii w domu dziecka.

Sylwia widywała ją już wcześniej i za każdym razem kobieta robiła na niej tak samo silne wrażenie. Kaszmir była wysoka, a do tego tęga. Czarne lśniące włosy upięła w ciasny kok, z którego wysunęły się tylko dwa kosmyki i kołysały koło małych uszu zdobiących okrągłą jak piłka twarz. Dziewczynka miała wrażenie, że ta twarz żyje swoim życiem, niezależnym od reszty ciała. Obrysowane czarną kredką oczy błyszczały tuż pod liniami cienkich jak nitki brwi. Usta Kaszmir były duże, mięsiste, a podbródek podskakiwał przy każdym ruchu. Kołysały się też potężne, owalne, połyskujące kolczyki w jej uszach.

– Sylwia jest gotowa do drogi – oznajmiła opiekunka z domu dziecka.

Po pobycie w rodzinie Lamków dziewczynka miała walizkę, którą Kaszmir zabrała jej z ręki i poniosła do samochodu. Dziecko posłusznie sunęło za nią, wpatrzone w kołyszące się biodra kobiety. Ich szerokość podkreślał pasek z błyszczącymi ćwiekami, a pod nim poruszały się uda, pocierając o siebie przy każdym kroku. Łydki biegły trochę na boki, tworząc iks. Sylwię najbardziej jednak zafascynowały obcasy w butach Kaszmir – miały chyba z dziesięć centymetrów i dodatkowo ozdabiała je szeroka platforma, która wyglądała jak dociśnięta do stołu guma balonowa.

Kobieta usadowiła się za kierownicą i włączyła radio.

– Przypniesz się sama do krzesła, moja panno? – Rzuciła spojrzenie na dziewczynkę w lusterku, podczas gdy urzędniczka zapięła pasy, a z głośników w samochodzie eksplodowały dźwięki hitu U2 *I Still Haven't Found What I'm Looking For*.

Gdy samochód ruszył, Sylwia obejrzała się za siebie. Dom małego dziecka malał wraz z ruchem kół pojazdu, aż w końcu nakryły go drzewa i wydał się maleńki jak pudełko zapałek.

– Twój pokój. – Kaszmir w każdym miejscu, które pokazywała Sylwii, podpierała się pod boki, wypinając do przodu piersi, ledwie mieszczące się w T-shircie. – Wszystko będzie zrobione. Przemeblujemy, pomalujemy ściany i łóżko… Tu masz łazienkę… Wanna mała, ale planujemy kupić większą… I uważaj, moja panno, jak spuszczasz wodę w toalecie, bo czasem spłuczka nie opada i wtedy się leje. Mąż to poprawi. Może nawet przyduszę go dzisiaj. Tak to jest, gdy mężczyznę prosi się o wykonanie męskiej domowej pracy! Ha, ha, ha!

Sylwia wychyliła głowę w stronę pokoju, którego Kaszmir jej nie pokazała. Stało tam łóżko, nakryte niebieską kapą, a przy oknie zauważyła stolik z postawionym na nim lustrem, cały pokryty biżuterią i kosmetykami. Dostrzegła też męskie drobiazgi: przez krzesło przerzucono krawat, pod kaloryferem schły duże męskie buty.

– Zaraz przygotuję obiad. – Kaszmir sięgnęła po patelnię, a dziewczynka zapatrzyła się na jej paznokcie pomalowane na turkusowo. – Długo pani zostanie? – zwróciła się do urzędniczki.

– Nie, nie, muszę zaraz jechać. Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. – Kobieta sięgnęła po torebkę. – A gdzie pani mąż?

– Pewnie na zakupach. Nie wiedział, o której dokładnie wrócimy, więc poszedł załatwić kilka spraw. Chce pani na niego poczekać? – Kaszmir szturchnęła palcem stojącą na blacie puszkę. – Zrobię kawy.

– Nie trzeba, będzie okazja do rozmowy przy kolejnej wizycie.

Urzędniczka pożegnała się z Sylwią, przypominając jej i Kaszmir o obowiązkach takich jak wizyty kontrolne oraz terapia, której Sylwia jeszcze nie ukończyła po powrocie od Lamków. Potem zniknęła, cicho zamknęła za sobą drzwi i Sylwia została sam na sam z Kaszmir.

– Dobranoc, maleńka. – Stefan usiadł na dywanie przy jej łóżku, kiedy Sylwia skończyła opowieść. Jego spojrzenie otuliło dziewczynkę jak puchowa kołdra. – Karaluchy pod poduchy… Tak się to mówi?

– Pchły na noc! – Sylwia się roześmiała.

– Śpij dobrze. – Stefan pogłaskał dziewczynkę po cienkich jasnych włosach.

Rano słońce pięło się po niebie, rozlewając światło na chodnik. W kuchni pachniało jajecznicą i chlebem, więc Stefan najwyraźniej zdążył pójść na zakupy, gdy Sylwia spała. Włączył Program Trzeci Polskiego Radia, w wysokiej szklance przygotował dla Sylwii herbatę i zatknął na krawędzi plaster cytryny. Kiedy usiedli przy stole, wyjaśnił, starając się, by jego głos brzmiał tak, jakby nic się nie stało, że Kaszmir nie wróciła na noc, więc muszą szybko pójść do szkoły, bo inaczej spóźni się do pracy.

– Dlaczego nie wróciła? – Sztućce wypadły Sylwii z rąk.

– Nie martw się. Przecież rozmawiałem z nią wczoraj przez telefon. Nie wyglądało na to, by stało się coś złego.

– Więc gdzie jest?

– Nie wiem, Sylwio.

– To kto odbierze mnie dzisiaj ze szkoły?

– Tego też nie wiem, maleńka – przyznał Stefan po dłuższej chwili. – Wymyślimy coś!

Na zewnątrz wisiało duszne, ciepłe powietrze. Wrzesień atakował niemal upalną temperaturą, niebo było czyste jak pomalowana na niebiesko kartka papieru. Przeszli przez starą, pięknie wyrzeźbioną drewnianą bramę. Za nią znajdowała się popisana ściana. Sylwia przelotnie dotknęła nabazgranych napisów: „Dead Kennedys”, „Sex Pistols”, „Dezerter”… Echo powieliło ich kroki, kiedy kierowali się chodnikiem w dół dzielnicy, w stronę szkoły.

– Przyprowadziłem uczennicę pierwszej klasy – wytłumaczył Stefan obcej kobiecie, która otworzyła drzwi świetlicy i ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Świetlica jest czynna dopiero od siódmej – upomniała go.

– Jej mama nie mogła przyjść, a ja muszę już lecieć do pracy, więc…

– Kto ją odbierze? – Opiekunka podsunęła Stefanowi zeszyt do podpisania.

– Nie wiem. Przykro mi… Do zobaczenia, maleńka. – Stefan kucnął, żeby mieli z Sylwią oczy na tej samej wysokości.

Dziewczynka nie odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, z poważną miną patrzyła, jak mężczyzna odchodzi korytarzem.

– Chodź do środka. – Opiekunka objęła ją ramieniem i wprowadziła do świetlicy.

3

Współcześnie

Z niewielkiego czarno-białego zdjęcia zamieszczonego obok artykułu wyciętego z prasy spoglądają na mnie znajome oczy. Oczy Sylwii, tyle że sfotografowane dawno temu, kiedy była paroletnią dziewczynką. Dotykam jej twarzy, palcem obrysowuję głowę otoczoną kosmykami prostych jasnych włosów. W końcu zsuwam dłoń na niebieski chłopięcy kombinezon zimowy.

Trwają poszukiwania rodziców Niebieskiej Dziewczynki – czytam nagłówek artykułu. „Dziewczynka została znaleziona na gdyńskim dworcu PKP w grudniu, w dzień Wigilii […]"

– Niebieska Dziewczynka – powtarzam. Cokolwiek to znaczy.

Znajduję datę: 1984 rok. Jezu, artykuł ma trzydzieści lat! Czuję mrowienie w brzuchu, jak zawsze gdy mam się zmierzyć z historią dziecka niechcianego, porzuconego, skrzywdzonego, które dopiero jako dorosła osoba zabiera się za poszukiwanie swoich korzeni.

Trzydzieści lat temu przed świętami Bożego Narodzenia temperatura w Gdyni spadła tak nisko, jak dzisiaj i gruba warstwa lodu skuła morze na pół metra w głąb. Od północy wiał lodowaty wiatr, a śnieg miejscami był tak głęboki, że tonęło się w nim po uda. Ludzie zakładali najcieplejsze ubrania, wkładali po kilka par skarpetek i rękawiczek, kaloryfery chodziły pełną parą, a elektrownie niedomagały. Tymczasem wałęsająca się po dworcu PKP Sylwia miała gołe dłonie, brakowało jej czapki i szalika. Według relacji autora artykułu dziewczynkę zauważyła kobieta sprzedająca bilety, więc porzuciła pracę i podeszła do małej.

– Ile masz lat? – spytała.

Dziecko odliczyło trzy palce. W tamtym momencie do bileterki zaczęły docierać szczegóły: rozkudłane włosy dziecka, rękawiczki z wełny zwisające na sznurku z rękawów kombinezonu. I ten kombinezon: chłopięcy, trochę za duży i za cienki na mróz panujący na zewnątrz.

– Gdzie jest twoja mama? – Kobieta rozejrzała się wokół.

Dziewczynka też popatrzyła na ludzi, ale nie rozpoznała nikogo wśród osób przebywających w hali dworca.

– Znalazłam dziecko – bileterka przez telefon poinformowała milicję. – Może w wyniku nieuwagi opiekunów wysiadło z pociągu w trakcie postoju?

„Nie znamy imienia dziewczynki ani jej nazwiska" – czytam dzisiaj słowa pracownika komendy miejskiej milicji. Tłumaczył, że miejsce, gdzie dziewczynka została znaleziona, pozwala śledczym wysnuć wniosek, iż się zgubiła albo w wyniku splotu okoliczności wysiadła z pociągu na stacji. Jednak gdy mijały kolejne dni, a nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka, milicja skupiła się na drugiej możliwości, dla której dziecko znajdowało się bez opieki: zostało porzucone.

Z pokoju, który przeznaczyłam Sylwii i jej córce, nie dobiega już żaden dźwięk. Wiatr huczy za oknem, przybierając na sile, gdy łączę smartfona z internetem, w wyszukiwarkę wpisuję grudniową datę z artykułu, dodaję „Niebieska Dziewczynka". Pojawiają się linki, a wszystko, co wyjęłam z reklamówki, staje się rzeczywiste.

W 1984 roku ludzie nie mieli takiego dostępu do mediów jak obecnie. Milicja nie pracowała na komputerach połączonych siecią, nie było kamer monitoringu, które mogłyby

wyjaśnić, co się stało na dworcu. Dzisiaj zdjęcia Sylwii trafiłyby do sieci, udostępniano by je na Facebooku, „ćwierkano" na Twitterze i prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto zna jej tożsamość. Tymczasem dziewczynka zabrana przez milicję z dworca trafiła do pogotowia opiekuńczego, gdzie spędziła kilka tygodni. Potem odwieziono ją do domu małego dziecka w Gdańsku, a milicja wciąż nie potrafiła odnaleźć jej matki.

W internecie znajduję niewiele informacji na temat jej dalszych losów. Moje poszukiwania krążą wokół nieznacznych archiwów tamtejszych gazet. Dowiaduję się, że Sylwię nazwano „Niebieską Dziewczynką" ze względu na chłopięcy kombinezon, w którym ją odnaleziono.

„Milicja przez jakiś czas podejrzewała, iż dziecko jest obcokrajowcem – czytam. – Nie umiało mówić, ciężko było stwierdzić, w jakiej rodzinie się wychowało. Dopiero po apelu w dzienniku telewizyjnym zgłosiła się osoba twierdząca, że zna tożsamość dziewczynki".

Znamy już tożsamość Niebieskiej Dziewczynki! – krzyczy nagłówek kolejnego artykułu.

Przesuwam palcem po ekranie dotykowym, trafiam na przycisk „otwórz" i czekam, aż strona się załaduje.

Kolejny artykuł jednak mnie rozczarowuje. Dziennikarz nie ujawnił szczegółów tożsamości Sylwii, nie podał też żadnych konkretnych informacji na temat jej biologicznej matki, wyjaśnił tylko, że kobieta zrzekła się praw rodzicielskich, a po zakończonym procesie córka trafi do adopcji. Milicja postawiła matce Niebieskiej Dziewczynki zarzut narażenia życia dziecka. Rozprawa sądowa miała się rozpocząć za kilka dni.

Nazwisko dziennikarza notuję na skrawku papieru. To moja pierwsza notatka dotycząca Sylwii Kalińskiej. Zaczęło się.

A przecież nie chcę i nie powinnam brać tej sprawy.

– Kiedy skończyłam osiemnaście lat, sąd rodzinny wyraził zgodę na odtajnienie moich danych sprzed adopcji – opowiada Sylwia, gdy dołącza do mnie w salonie. W grubym wełnianym swetrze, który chyba sama zrobiła na drutach i który sięga jej niemal kolan, wydaje się chuda jak anorektyczka. – Okazało się, że w rubryce ojciec wpisano „nieznany". Matka Monika Stefaniak była zameldowana pod adresem znajdującym się zaledwie kilkanaście przecznic od mojego domu. Oczywiście poszłam tam, jak tylko zobaczyłam ten adres…

Przymyka powieki, a ja wyobrażam sobie jej lęk i nadzieję, gdy szła do matki.

– Mieszkała w małym domu, w dzielnicy, gdzie wizyty milicji i pracowników socjalnych były na porządku dziennym. Stałam pod furtką i nie mogłam się zmusić, żeby zadzwonić. Nie wiedziałam, co zrobię, kiedy otworzy ona albo ktoś z mojej biologicznej rodziny. Co im powiem? – Wpatruje się teraz we mnie z nienasyceniem w oczach. W końcu opuszcza wzrok i oblizuje usta. – Otworzył mi jakiś mężczyzna. Powiedział, że nie zna Moniki Stefaniak, kupił dom przez pośrednika. Nawet nie pozwolił mi zajrzeć do środka.

– Znalazłaś ją? Biologiczną matkę?

Sylwia powoli kręci głową.

– Co o niej wiesz?

– Nic.

Dotykam artykułu o pożółkłych rogach, a ona mówi stanowczym głosem:

– Miałam siostrę. Byłyśmy niemal takie same. Chcę ją odnaleźć, na tym najbardziej mi zależy. Bo… siostra nie jest niczemu winna. Nie miała wpływu na decyzję matki, zresztą może spotkał ją taki sam los jak mnie… Wiem, że gdybym ją odnalazła, mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, łączyłaby nas silna więź…

Sylwia miała trzy lata, kiedy odnaleziono ją na dworcu. Na kartce notuję: „Trzyletnie dzieci nie pamiętają takich rzeczy".

– Długi czas ją czułam – wyjaśnia, jakby mówiła o faktach, ale unika mojego wzroku, a ja zastanawiam się, czy to oznaka kłamstwa, czy wstydu. – Ciężko to wytłumaczyć. Miałam wrażenie, że o mnie myśli, że mnie potrzebuje… Były takie momenty, gdy…

– Miałaś wrażenie?

Przeczucia to za mało. Nie będę prowadziła dziennikarskiego śledztwa, opierając się na wrażeniach!

– Miałam siostrę – powtarza i zaciska usta, wpatrzona w swoje dłonie.

– Nie masz dowodów.

– Nie. Tylko kiedy jako nastolatka pojechałam do domu dziecka z prezentami…

– Sylwio! – przerywam ostro. – Jestem dziennikarką, przedstawiam ludziom fakty. Masz dowody na to, że twoja siostra została porzucona albo oddana do adopcji?

Wciąż nie patrzy mi w oczy. W wełnianej czapce, którą ponownie założyła, jej twarz nie wydaje się aż tak naga jak wcześniej. Obojętny chłód, który wobec niej odczuwam, powoli zmienia się w irytację.

– Wiesz o istnieniu siostry na podstawie przeczuć?

Nie odpowiada, jakby uświadomiła sobie, że postawiła fałszywy krok.

– Pamiętasz jej imię?

– Nie. – Dotyka miejsc, gdzie powinny się znajdować cienkie włoski układające się w łuki brwiowe. Dalej zero kontaktu wzrokowego.

– Pamiętasz cokolwiek, co jej dotyczy? Gdzie powinnam zacząć szukać? Na Boga, muszę mieć chociaż jej imię albo rok, w którym widziałaś ją ostatni raz!

Zamyka oczy. Gałki oczne poruszają się pod cienkimi powiekami, jakby śniła.

– Posłuchaj, szukam jej od bardzo dawna. Jako nastolatka zaczęłam pisać dla niej notatki. Od jakiegoś roku robię filmy…

– Te? – wskazuję płyty DVD. – Co jest na tych nagraniach?

– Coś w rodzaju dziennika. Mówię, jak minął mi dzień, ostatnio mówiłam o… o walce z chorobą, o córce, o codziennym życiu…

Łagodnieję, a ona to wyczuwa.

– Pomożesz mi? – Wypada to cicho, rozpaczliwie. – Odnajdziesz ją dla mnie, pomimo że nie znam jej imienia?

Odwracam wzrok, zbita z tropu.

– Co to za choroba, na którą cierpisz?

– Anemia aplastyczna. – Sylwia prostuje się na kanapie i nerwowo skręca w palcach srebrny łańcuszek z medalikiem. Wreszcie na mnie zerka, wycofana, czujna, jakby czekała na pierwszy ciepły gest, pocałunek, na dobre pytanie.

„Anemia aplastyczna" – powtarzam w myślach. Do tej pory nie miałam pojęcia, że taka choroba istnieje.

– Wiesz, na studiach przygotowywałam statystyki dotyczące katastrof lotniczych. – Łańcuszek w jej palcach się napręża. – Nawet samolot, który rozbija się w powietrzu, daje pasażerom około 0,0021 procent szans na przeżycie, więc musi istnieć choćby równie mały procent szansy, że znajdę dawcę niespokrewnionego ze mną, a jednak zgodnego. Ale… ale do tej pory nikt taki się nie znalazł.

– Więc co to za choroba?

– Szpiku kostnego. – Sylwia w końcu patrzy na mnie bez uników, a ja dostrzegam w jej oczach przerażenie. – Szpik przestaje produkować zdrowe krwinki i przez to robi się… pusty. Wiesz, rozpoznano u mnie najcięższą postać tej choroby, trudną do leczenia. To znaczy nie… – Energicznie potrząsa głową, zaprzeczając sama sobie. – Można ją wyleczyć nawet u dziewięćdziesięciu procent pacjentów z bardzo dobrym skutkiem!

Dziewięćdziesięciu – zapamiętuję.

– Dodatkowo znajduję się w dobrej wiekowo grupie, którą można leczyć dzięki przeszczepowi szpiku!

– Więc co się stało?

Słucham wykładu o trzech rodzajach przeszczepów. Sylwia wygina chude palce, wymieniając, że do przeszczepu allogenicznego wybiera się dawcę spokrewnionego lub niespokrewnionego z pacjentem, którego szpik jest jednak genetycznie najzgodniejszy ze szpikiem chorego. W przypadku przeszczepu syngenicznego dawcą szpiku może być identyczny jednojajowy bliźniak. Trzeci przypadek to transplantacje autologiczne, kiedy do przeszczepu wykorzystuje się oczyszczony i odpowiednio przygotowany szpik pacjenta.

– Układ zgodności tkankowej jest najbardziej złożonym układem genetycznym ze wszystkich dotychczas poznanych przez naukę – mówi tak, jakby wyuczyła się lekcji, a jej głos wznosi się o kilka decybeli i staje piskliwy jak u małej dziewczynki. – Dali mi dziewięćdziesiąt procent szans na wyzdrowienie, jeśli znajdziemy osobę niemal całkowicie ze mną zgodną! Taką osobę najłatwiej znaleźć w rodzinie biologicznej, a ja… ja ich przecież nie znam. Dlatego tu jestem, Pola. Liczę na ciebie. Wierzę, że mi pomożesz. Nie wiem, co zrobię, jeśli odeślesz mnie stąd bez nadziei!

W nocy temperatura spada do minus trzynastu stopni, wiatr ustaje i robi się niemal cicho. W ciszy słyszę, jak Sylwia uspokaja dziewczynkę, która się obudziła, pewnie z powodu zimna albo złego snu. Ja też nie mogę zasnąć.

– Proszę, nakryjcie się jeszcze tym. – Przynoszę do sypialni Sylwii dwa dodatkowe grube koce.

– Dziękuję – odpowiada szeptem, a dziewczynka spogląda na mnie spłakanymi oczami z głębi łóżka.

Zamiast iść do swojego pokoju, schodzę do kuchni i wstawiam wodę w czajniku. Jest tak zimno, że muszę się otulić kocem. Okienna szyba odbija moją szczupłą, wysoką sylwetkę, pociągłą twarz o wyraźnych łukach brwiowych, ciemne włosy spadające w ciężkich lokach na ramiona.

Nie wiem, co robić. Nie powinnam się angażować w sprawę, jeśli nie widzę szans na powodzenie. Mam zbyt wiele do stracenia!

Tak naprawdę sama potrzebuję pomocy. Dwa lata wcześniej wróciłam z Syrii, gdzie przebywałam jako korespondentka wojenna. Wyjazd mnie przerósł. Po powrocie do Polski tak bardzo chciałam zrobić coś dobrego i na własne oczy zobaczyć pozytywne zakończenia ludzkich dramatów, że podjęłam się prowadzenia programu telewizyjnego w Wielkiej Czwórce, gdzie zajmowałam się tematami społecznymi: poszukiwaniami osób zaginionych albo rodzin rozdzielonych przez adopcję. Pewnie tam Sylwia zobaczyła mnie po raz pierwszy i uwierzyła, że jej pomogę. Działałam jak ktoś uzależniony od adrenaliny i pozbawiony życia poza pracą, harowałam dzień i noc, ponieważ kiedy tylko zostawałam sama z myślami, gdy wokół robiło się cicho i nie miałam żadnego celu wyznaczonego na najbliższe godziny,

wracały obrazy z Bliskiego Wschodu, które odbierały mi oddech.

Przełom nastąpił podczas programu na żywo. Rozmawiałam z parą staruszków, którzy zrezygnowali z cywilizacji i zamieszkali na maleńkiej wyspie na środku jeziora. Staliśmy przed kamerą pod ich ciasnym drewnianym domem, wokół nas cykały świerszcze, a komary cięły skórę. Miałam zadać staruszkom pytanie, jak sobie radzą z codziennością. Rozchyliłam uszminkowane usta, spojrzałam w obiektyw i nagle, zamiast coś powiedzieć, po prostu się rozpłakałam. Mój program był już wówczas popularny, według statystyk miałam ogromną oglądalność. Co za kompromitacja! Nie mogłam wykrztusić słowa. Sytuacja się odwróciła: staruszkowie zaczęli mnie pocieszać, poklepywali po plecach i zapewniali, że nie jest im źle, naprawdę są szczęśliwi i żyją w zgodzie z naturą. Byłam w stanie powiedzieć jedynie:

– Też chciałabym zamieszkać na wyspie.

Po przyjeździe do budynku telewizji na drzwiach garderoby znalazłam żart od kolegów – taśmą klejącą przymocowano chusteczki higieniczne, a obok nich kartkę z napisem: „Chcemy mieszkać tam z tobą!”. Rozbawiło mnie to, ale tylko na chwilę. Kiedy już zaczęłam opłakiwać Syrię, nie mogłam przestać.

– Co ty wyprawiasz? – spytał szef, kiedy wezwał mnie do siebie na dywanik. Zawsze był wybuchowy i pobudliwy, ale tamtego dnia sprawiał wrażenie wręcz osowiałego. Nawet nie uniósł głosu, tylko zdziwiony, szeroko otwierając oczy pod siwymi kudłatymi brwiami, kontynuował: – Daję ci program, który jest emitowany w najlepszym czasie antenowym, a ty przestajesz panować nad emocjami? Powiedz: przeceniłem cię? A może masz problemy w życiu? Potrzebujesz wakacji? Kiedy ostatni raz brałaś urlop?

Nie chciałam urlopu ani zwolnienia. Nie mogłam znieść myśli, że zostanę sama w domu. Panicznie bałam się samotności, ciszy, wspomnień.

– Proszę, nie wysyłaj mnie na urlop – zaczęłam błagać. – Poradzę sobie, jutro znowu będę gotowa w stu procentach.

Ale szef dojrzał w moich oczach to, co ukrywałam nawet przed sobą.

– Jedź do domu, odpocznij i wróć, kiedy poczujesz się lepiej – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Tak znalazłam się tutaj. Dom, do którego wróciłam, kupiłam kilka lat wcześniej. Był niedogrzany i prawie nieumeblowany, przez ściany przeciskała się wilgoć tak straszna, że po wejściu do środka bałam się rozebrać z czapki i płaszcza. Nie było czasu wcześniej go ogrzać, o różne sprawy z nim związane prosiłam brata – to on czasem tu zaglądał, żeby sprawdzić, czy dom nie został jeszcze splądrowany albo czy w mojej sypialni nie zamieszkali bezdomni.

Po powrocie z Warszawy chodziłam po nim jak po obcym miejscu. Widziałam pokoje, których nigdy nie urządziłam po swojemu, i czułam, jakby nic tu nie należało do mnie. Z modnymi, drogimi ubraniami, błyszczącymi lokami i nienagannie pomalowanymi paznokciami pasowałam do Warszawy, a nie do dziury na końcu Polski, którą wybrałam tylko ze względu na to, że w pobliżu mieszkała moja rodzina.

To wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Wilka.

Stał za ogrodzeniem, kiedy wieczorem wyszłam na werandę. Był koniec jesieni, w powietrzu unosiła się resztka ciepłego powietrza, księżyc wyglądał jak zapalona nad morzem lampa. A stary wilczur o czarnej, posiwiałej na łapach sierści zwęszył mój zapach. Patrzyliśmy na siebie przez szerokość ogrodu i drucianą siatkę. Intuicyjnie przeczuwałam, że zwierzę od dawna nie miało właściciela i jeśli się do niego zbliżę, rzuci się na mnie. Bał się mnie równie mocno, jak ja jego. Wiatr zebrał mój zapach i poniósł w stronę psa. Z daleka nie

mogłam tego widzieć, ale byłam pewna, że pies głęboko wciąga woń, żeby zapamiętać. W końcu cofnął się do lasu i zniknął między drzewami.

Następnego dnia obudziłam się dziwnie pełna nadziei. Dawny strach o karierę, pośpiech, który zawsze mi towarzyszył – nagle wszystko przestało być ważne.

W składzie z narzędziami znalazłam nożyce do cięcia drutu. Pierwszy jesienny chłód położył na trawie rosę, gdy kucnęłam przy ogrodzeniu i zabrałam się do cięcia siatki. Zrobiłam dziurę na tyle dużą, by na posesję mogło wejść zwierzę. W schowku z narzędziami postawiłam dwie miski: z wodą i z mięsem. Nie zamknęłam drzwi.

Kiedy rano zajrzałam do schowka, miski były puste. Poczułam ulgę.

Mój przepracowany organizm zaczął się buntować. W Libanie i Syrii widziałam zbyt wiele zła, zobaczyłam rzeczy, których nigdy nie chciałam oglądać. Ciągłe napięcie i stres też zrobiły swoje. Chyba aż do momentu, gdy dostałam zwolnienie, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo byłam przepracowana i zmęczona. Teraz nagle wszystko wypadało mi z rąk. Rano nie byłam w stanie podnieść się z łóżka, pójść na spacer, zaczęły mnie przerastać rozmowa z bratem i wizyta u rodziców. Jedyną czynnością, o której nie zapominałam i którą wykonywałam regularnie, było karmienie Wilka. Ciągle płakałam, właściwie nad wszystkim: nad losem ludzi zwolnionych z pracy, o czym przeczytałam w gazecie; nad chłopcem, który stracił rodziców, a o którym telewizja zrobiła reportaż. Płakałam nad kwiatami umierającymi w ogrodzie po lecie i nad dziecięcą tenisówką porzuconą na trawniku blisko mojego domu. Myśl, że druga tenisówka jest bez pary albo że jakieś dziecko już nigdy nie założy tych butów, była dla mnie jak studnia bez dna. Powrót z urlopu przeciągnęłam najpierw o kilka dni, potem o tydzień, potem o miesiąc, aż stało się jasne, że nie mam już gdzie i po co wracać.

Moje miejsce w telewizji zajął Piotr, młody dziennikarz, z którym wcześniej pracowałam i którego szkoliłam. Oglądany na szklanym ekranie robił wrażenie profesjonalnego, niezależnie od tego, czy rozmawiał z dziewczynką zgwałconą przez kolegów z klasy, czy z bezdomną rodziną mieszkającą w kanale, czy też z więźniarką wychowującą dziecko za kratami – za każdym razem udawało mu się zachować twarz i neutralny stosunek do pracy. Nie puszczały mu nerwy, nie ulegał wzruszeniom, nie był stronniczy, ani razu nie zrobił z siebie idioty jak ja. Patrząc na niego, myślałam: Wracaj do roboty, Pola, zanim będzie za późno! Wracaj, bo on tak ci zrobi koło tyłka, że nie będziesz miała po co jechać do Warszawy.

W tym czasie Wilk właściwie już mieszkał w moim schowku z narzędziami. Codziennie zanosiłam mu świeże mięso, zmusiłam się też do wizyty w sklepie, gdzie zakupiłam karmę dla dużych psów. Czasem po wystawieniu jedzenia w schowku, kiedy przychodziła pora, gdy zwierzę zjawiało się na posesji, kucałam w cieniu werandy i czekałam. Między drzewami za płotem udawało mi się zobaczyć parę błyszczących oczu, potem z cienia wynurzał się pysk. Ciągle wyczuwałam strach Wilka, jego nieufność wobec mnie, a może w ogóle wobec ludzi. Nie dziwiłam się temu…

– Chodź, nic ci nie zrobię – mruczałam, wpatrzona w granicę lasu, którą stanowił mój płot. Pragnęłam dotknąć Wilka, poczuć pod palcami jego sierść, skołtunioną, sztywną od brudu, a może też od zaschłej krwi. Chciałam go zabrać do weterynarza, oswoić. Dałabym mu kąt w domu. – Chodź! – Wyciągnęłam rękę, ale z głębi lasu dobiegło mnie tylko warczenie.

Wróciłam do domu. W telefonie znalazłam SMS od Piotra. Pytał, co się dzieje i czy planuję wrócić do telewizji.

Nie odpisałam. Przez okno patrzyłam, jak Wilk skradał się do siatki, pokonał dziurę i pobiegł ze schylonym łbem prosto do schowka z narzędziami.

Tej nocy popełniłam błąd. Pijana, ledwie trafiając palcami w klawisze, napisałam do Piotra, żeby się ode mnie odczepił i że jest jebanym złodziejem. SMS posłałam w świat. Nie dostałam żadnej odpowiedzi.

4

Współcześnie

Rano, kiedy otwieram oczy, w drzwiach mojego pokoju stoi dziewczynka.

– Maja? – Z trudem przypominam sobie jej imię. Unoszę się na łokciu, ale ona natychmiast robi krok w tył.

Drewniane deski trzeszczą pod bosymi stopami, gdy dziewczynka robi kolejny krok. Na smagłej twarzyczce malują się wyraźne rumieńce. Dopiero teraz zauważam, że jej włosy wyglądają jak pofarbowane – takie są czarne i błyszczące.

– Dzień dobry – mówię, a ona ucieka do sypialni, którą przeznaczyłam jej i Sylwii.

Dochodzi szósta. Wkładam grube spodnie i sweter. W głębokim śniegu, który nakrył ogród, od razu zauważam obce ślady łap. Biegną od dziury w płocie do schowka z narzędziami.

– Tylko nie to – mruczę, zawracając do domu. Z kabury wyciągam browninga i unoszę jak do strzału.

Stare drzwi od schowka na narzędzia trzeszczą, gdy pociągam za klamkę. W środku leży siennik, którzy przyniosłam dla Wilka. Przez nieszczelnie zestawione ze sobą deski jest tam koszmarnie zimno. Oddech opuszcza moje usta w obłoczkach pary, gdy rozglądam się po wnętrzu napięta jak struna, gotowa, żeby strzelić, jeśli to nie będzie mój pies.

Ale po zwierzęciu, które spędziło tu noc, został tylko zapach wilgotnej sierści, puste miski i resztki zabitego gołębia. Kucam przy nim, trącam butem kupkę zakrwawionych piór. Kiedy kładę dłoń na sienniku, wyczuwam delikatne ciepło, jakby pies uciekł chwilę wcześniej. W powietrzu unosi się jednak drugi, nieznany mi zapach, zmieszany z wonią krwi i mięsa.

Z drukarki wyciągam dokumenty, które musimy wysłać do sądu.

– Czy to oznacza, że…? – Sylwia na widok papierów łączy dłonie jak do modlitwy, z trudem panuje nad uśmiechem.

– Po prostu je wypełnij.

Dziewczynka podskakuje na łóżku, wyczuwając podniecenie i radość matki.

– Pola nam pomoże – zwraca się do niej Sylwia, łapiąc ją za ręce.

– To hurra! – Maja, chyba nie do końca świadoma, co się dzieje, podskakuje wysoko.

W dokumentach Sylwia wpisuje dane: imię i nazwisko, adres zameldowania, imię i nazwisko biologicznej matki oraz numer sprawy. Tak, jak jej dyktuję, argumentuje prośbę ujawnienia danych siostry stanem swojego zdrowia. Zaglądam jej przez ramię, przebiegam wzrokiem po słowach: „ciężko chora”, „dawca spokrewniony”.

– Poproś też o przyspieszony tryb rozpatrzenia prośby przez sąd – decyduję.

– Mam umierającą kobietę, która szuka biologicznej rodziny – mówię przez telefon, zapinając na piersiach koszulę z wysoko postawionym kołnierzem.

Współpracujący ze mną kamerzysta z Trójmiasta Jacek odpowiada, że ma wolne najbliższe dni.

– Kobieta ma dziecko? – pyta.

– Dziewczynkę. – Podciągam rajstopy i wsuwam ołówkową spódnicę. Kiedy zapinam zamek, zauważam, że bardzo schudłam w ostatnich tygodniach.

– Kurwa… Przykre, ale wiesz, jak jest. To zawsze robi wrażenie.

Zbieram włosy w kitę, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Wspólnie ustalamy, że zrobimy o Sylwii reportaż, by zwiększyć szanse znalezienia dla niej dawcy niespokrewnionego, ale naszym głównym zadaniem będą poszukiwania jej biologicznej rodziny. Chwilę się waham – Sylwia na pewno będzie naciskać, żeby w reportażu mówić o siostrze, ale najpierw musimy znaleźć dowód jej istnienia. W reportażu skupimy się więc na tym, co wiemy, a więc na matce Sylwii.

Mój młodszy brat zjawia się akurat wtedy, kiedy Sylwia z córką czekają przy furtce gotowe do drogi. Zafascynowana dziewczynka śledzi wzrokiem samochód policyjny, który mija bramę i parkuje przed garażem.

Partnerka Adama przesyła mi pozdrowienie zza okna, więc odpowiadam tym samym, ale brat nie bawi się w kurtuazyjne wstępy. Ubrany w policyjny mundur, pokonuje schody po kilka stopni naraz.

– Wejdź na moment do domu. – Łapie mnie za łokieć i siłą wprowadza do środka. Jego chwyt ma moc stali. Ledwie przekraczamy próg, gdy mówi ściszonym głosem: – Co to za kobieta i dziecko? Gdzie z nimi jedziesz?

– To moje decyzje. – Staram się być przekonująca.

– Kim one są? Nowa sprawa? Skończył się czas przeznaczony na odpoczynek?

Rozgląda się po wnętrzu, szukając na mnie haka, i bez trudu go znajduje. Jego twarz tężeje, kiedy zauważa ramki po fotografiach, a w nich szary papier. Nie przewidziałam, że złapie mnie za nadgarstek, więc odruchowo odginam się do tyłu, jakbym stała na nartach wodnych.

– To moje decyzje – powtarzam głośniej.

– Doprawdy?! – Brat puszcza mnie i raptownie ściąga pierwszą z brzegu ramkę z komody. – Patrz na mnie, jak rozmawiamy!

Nie przewidziałam też, że uderzy dłonią w ścianę.

– Powiedziałem: patrz!

Patrzę na niego szeroko otwartymi, pełnymi poczucia winy oczami.

– Czemu to robisz? – Adam na siłę ścisza głos, mruga, jakby coś wpadło mu do oczu. – Komu jest łatwiej, gdy to robisz? Rodzice się o ciebie zamartwiają…

– Rozmawiasz o mnie z rodzicami? – Teraz ja mówię głośniej. – Dlaczego do mnie nie zadzwonią, skoro się tak martwią? Nie widziałam ich od kilku tygodni. Matka zawsze jest zajęta, kiedy do niej dzwonię, a ojciec…

– Skończ z tym pokrzywdzonym tonem! Na kilometr widać, że masz depresję! Powinnaś brać leki, wrócić do psychiatry i…

– Od kiedy znasz się na depresji?!

Nie przewidziałam też, że rzuci ramką. Szybka z hukiem pęka na podłodze, a odłamki rozpryskują się aż pod szafę. Odruchowo cofam się w stronę drzwi, przyciskając ręce do piersi, ale Adam łapie mnie pod ramię.

– Tam było rodzinne zdjęcie! – Z bliska zauważam, że ma przekrwione, zmęczone oczy. Prawdopodobnie nie spał całą noc. – Nasza rodzina tam była, rozumiesz?! Stres odbiera ci rozum, robisz rzeczy, których nie da się racjonalnie wytłumaczyć! Tam była nasza rodzina! Co zrobiłaś ze zdjęciami rodziców?!

Wyrywam ramię z jego uścisku.

– Puść!

– Tam była nasza rodzina! Gdzie są zdjęcia, do jasnej cholery, i dlaczego je wyjęłaś?!

– Nie ma żadnej rodziny! – wrzeszczę mu w twarz. – Rodziców obchodzisz tylko ty! Przestań być skończonym dupkiem i daj mi wyjść!

W pociągu prawie się nie odzywam.

– Tamta chmura przypomina hipopotama. – Sylwia wskazuje na niebo zasnute gęstymi obłokami.

– A to balonik – odpowiada dziewczynka, nie przestając się śmiać, oparta plecami o matkę.

Jest coś fascynującego w obserwowaniu ich dłoni: Maja właśnie nakrywa palcami ręce matki. Kiedy unosi dłoń, wskazując kolejną chmurę, ręka Sylwii machinalnie biegnie za jej ruchem. Patrzę na ich splecione palce. Ręce dziecka wydają się takie pulchne i małe w porównaniu z dłońmi kobiety. Sylwia spogląda na mnie ponad czarnymi, sięgającymi ramion włosami córki. Jej oczy w tej chwili są gwieździste, piękne, uśmiecha się, jakby nasz świat był najładniejszym miejscem w kosmosie.

Gdańsk wita nas zadymką, która zdmuchuje biel z dachu dworca, podrywa biały puch z trawników i w zawirowaniach unosi go aż pod niebo. Od pierwszej chwili, gdy wysiadam z pociągu i staję pomiędzy wysokimi budynkami, wiem, że Adam jednak miał rację – nie czuję się gotowa wrócić do normalnego życia i cywilizacji. Odzwyczaiłam się od wieżowców, ciasnych kamienic, ulic, zgiełku, tłumu ludzi. Tęsknię za domem. Chcę wrócić i oswoić swojego Wilka. Ogarnia mnie obawa, że wszystko, co udało mi się osiągnąć w samotności, bez stresów, odejdzie w zapomnienie.

– Zatrzymaj taksówkę – prosi Sylwia, z wysiłkiem niosąc dziewczynkę na rękach.

W taksówce mała zasypia, gdy tylko opiera policzek o ramię matki.

Samochód zjeżdża z głównej arterii miasta i zagłębia się między stare, przedwojenne kamienice. Piękne, ale zaniedbane rzeźbione gzymsy i powyginane metalowe barierki balkonów sprawiają, że dzielnica wydaje się bardziej malownicza. Jednocześnie mam wrażenie, jakbym trafiła do slumsów, gdzie ludzie codziennie czekają na lepsze jutro, wysiadując latem na balkonach, wyglądających tak, jakby miały się zaraz oderwać od ścian; pewnie popołudniami skreślają numery totolotka w nadziei na lepsze życie, a zimą, żeby się rozgrzać, piją tanie wino.

Mijamy bar przy głównej ulicy, gdzie nawet w taką pogodę klienci częstują się najtańszym alkoholem w otwartych drzwiach. Ze środka właśnie wyszedł pijany mężczyzna i zataczając się, raptownie schodzi z krawężnika na jezdnię, prosto pod koła taksówki. Warczą opony poddane gwałtownemu hamowaniu z ABS-em, a kiedy się zatrzymujemy, Sylwia niemal uderza czołem w fotel.

– Jak chodzisz, człowieku?! – krzyczy nasz kierowca, otwierając okno.

– Patrz, jak jeździsz, baranie! – Mężczyzna wygraża pięścią.

Sylwia opowiada, że kiedy była dzieckiem, robiła sobie „popołudnia kinowe” – razem z przyjacielem obserwowali i liczyli kobiety na szpilkach, które potykały się na nierównym bruku dziedzińca przed jej kamienicą.

– Znam tu każdy napis, każdą dziurę w ziemi i narośl na drzewie – mówi zdyszana z powodu ciężaru dziewczynki, którą uparcie niesie na rękach. – Mieszkam tu od adopcji. Moja mama Kaszmir…

– Kaszmir?

– Karolina Kalińska. Wszyscy mówili na nią „Kaszmir”, bo jako nastolatka pracowała

w przemyśle włókienniczym i miała dostęp do dobrych gatunkowo rzeczy. Podobno nosiła szaliki z kaszmiru.

Wspomina, że Kaszmir też mieszkała tutaj od małego. Dawniej między trzecim a czwartym piętrem kamienicy wisiała stara poniemiecka bomba. Przebiła sufit w mieszkaniu, ale ludzie bali się ją ruszyć, więc całe miesiące tkwiła między piętrami, aż w końcu ewakuowano mieszkańców osiedla, bombę rozbrojono i obecnie można podziwiać ją w muzeum. Mało kto wie, że w 1944 roku nastąpiło krótkie bombardowanie Wrzeszcza przez brytyjskie lotnictwo. Miasto i jego najbliższe okolice doświadczyły wielu takich tragicznych nalotów, w których zginęły dziesiątki ludzi…

Mieszkanie Sylwii wygląda, jakby zamarło w oczekiwaniu na lata dziewięćdziesiąte. Dawno nie było tu remontu; na podłodze leży stary lentex, tylko naśladujący drewniane panele, a w kuchni na ścianach brakuje kafli.

– Gdzie jest łazienka?

– Drugie drzwi na prawo.

W umywalce coś leży. Gwałtownie cofam ręce. To kłąb jasnych włosów, długich na prawie trzydzieści centymetrów. Jest ich dużo. Wygląda to tak, jakby Sylwia ogoliła głowę przed przyjazdem do mnie.

– Już wychodzisz? – Niepokoi się, kiedy w przedpokoju z powrotem wkładam buty. – Nie zostaniesz na obiedzie? Myślałam, że zatrzymasz się u mnie…

– Mam dużo pracy. – Sięgam po płaszcz, wiążę go w talii. – Zjem coś po drodze, zatrzymam się w hotelu i spotkamy się jutro.

Przed wyjściem rzucam w taki sposób, żeby zabrzmiało neutralnie:

– Przygotuj wyniki badań i potwierdzenie choroby… Ludzie z fundacji będą chcieli otrzymać dokumentację.

Ja będę chciała ją otrzymać, ale tego Sylwii nie mówię. Robi mi się gorąco na myśl, że mogłabym posłać w świat temat, który nie istnieje.

W hoteliku rozkładam rzeczy w pustej szafie, gdzie wieszaki zostały zepchnięte na lewą stronę, w łazience rozpakowuję mydło z folii; oglądam próbki szamponów przygotowane dla gości, podczas gdy w laptopie obraca się jedna z płyt DVD, które dała mi Sylwia.

„Nigdy nie wiedziałam, kim jestem – rozbrzmiewa w głośnikach głos kobiety. – Zastanawiałam się, kim była moja matka, czy się prostytuowała, czy może kradła albo większość życia spędziła w więzieniu… Czasem miałam wrażenie, że minęłam ją na ulicy. Raz wydawało mi się, że widziałam ją w sklepie. Którejś nocy, gdy byłam jeszcze mała, obudził mnie strach. Otworzyłam oczy z wrażeniem, jakby ktoś przysunął usta do mojego ucha i wyszeptał: »Uratuj mnie«”.

Nieruchomieję, jak gdyby mnie uderzyła. Patrzę na ładną blondynkę na ekranie laptopa. Blondynka uśmiecha się przepraszająco, jakby dokładnie zdawała sobie sprawę, że mówi jak wariatka, lecz mimo to nie zamierza się wycofać z ani jednego słowa.

W internecie Sylwia Kalińska wyświetla się głównie w linkach powiązanych z poszukiwaniami rozdzielonych adopcją rodzin. Zalogowała się na niemal wszystkich portalach, gdzie ludzie poszukują bliskich. Za każdym razem podaje swoje dane i prosi krewnych o kontakt. Tylko raz, w 2012 roku, dodała komentarz wykraczający poza standardowe informacje. Napisała: „Adopcja nie powinna rozdzielać rodzeństwa”.

Ku mojemu zdziwieniu znajduję jej komentarze również pod moimi artykułami. „Podziwiam

pani starania – napisała w 2013 roku pod materiałem, w którym opisuję, jak udało mi się odszukać biologiczną siostrę sześćdziesięcioletniej kobiety. – Skąd u pani chęć niesienia tak daleko idącej pomocy?"

Nie odpowiedziałam na to pytanie. Nigdy nie koresponduję z komentatorami.

Kopiuję jej IP i wklejam w wyszukiwarkę.

– O kurwa! – wyrywa mi się na głos. – O Boże!

Nagle czuję, jakby ktoś przekręcił mój świat o sto osiemdziesiąt stopni, a twarz Sylwii w mojej wyobraźni zmienia się tak, że zaczyna przypominać maskę: miły, niemal dziecięcy uśmiech tężeje, oczy stają się nieruchome, przypominają spojrzenie lalki…

Marszcząc brwi, pochylam się nad laptopem. Sylwia komentowała moje reportaże od pięciu lat, od kiedy – jeszcze na studiach – podjęłam pracę za kamerą. Robiłam wówczas reportaże o schroniskach dla zwierząt albo o domach gwiazd, a ona już wtedy próbowała się ze mną skontaktować.

„Piękny reportaż!" – napisała w 2009 roku, komentując historię chłopca, którego rodzicom bank chciał odebrać zadłużone mieszkanie. Zorganizowałam wtedy akcję pod tytułem „Ratujmy dom Krzysia", pod bankiem zaczęli pikietować ludzie, a na konto, które otworzyłam rodzinie, wpłynęło tak wiele pieniędzy, że bez trudu spłacili dług i zatrzymali mieszkanie. To był mój pierwszy poważny reportaż dotyczący tematu społecznego, otworzył mi drzwi do programu telewizyjnego w Wielkiej Czwórce. Nerwowo spoglądam na swoje zdjęcie zamieszczone przy artykule: szatynka z włosami przerzuconymi przez ramię uśmiecha się ustami pomalowanymi na ciemną czerwień, czarna koszula rozchyla się na jej piersiach.

Sylwia, pisząc komentarze, posługiwała się różnymi nickami. Zdezorientowana notuję sobie te pseudonimy na kartce. Chwaliła mnie albo motywowała – raz jako Indraseni, raz jako Sylwia, raz pod nickiem Niechciana31. Nieustannie podążała za moimi dziennikarskimi działaniami, tropiąc każdy kolejny ruch.

Przed komputerem zalewa mnie fala niepokoju. Mam wrażenie, że trafiłam na stalkera, choć przecież Sylwia nie dręczy mnie w żaden sposób i oczekuje ode mnie tylko tego, czego oczekiwały inne osoby zgłaszające się do mnie w przeszłości.

Uderza mnie jednak nie to, że szukała ze mną kontaktu, lecz łatwość, z jaką zmieniała sposób pisania w zależności od tego, jakim pseudonimem się podpisywała. Jako nastolatka Kasia_11 była krzykliwa i wesoła. Jako Indraseni ostra i skora udzielać mi wskazówek. Jako Sylwia wydawała się ciepła i nieśmiała.

Z kamerzystą Jackiem spotykam się rano na rogu ulicy Grunwaldzkiej. Bar, który oglądałam poprzedniego dnia z okna taksówki, jest już otwarty i właśnie w tej chwili w drzwiach staje mężczyzna z butelką piwa w ręce i bezceremonialnie się nam przygląda.

Jacek nic się nie zmienił przez ostatnie tygodnie, gdy go nie widziałam: wciąż nosi długie włosy, które wiąże w kitę, a jego ubranie upodabnia go do ubogiego studenta. Przedstawia mi swoją asystentkę Asię, niską, krótko ściętą, rudowłosą dziewczynę, która będzie się zajmować makijażem.

– Robię to naprawdę świetnie – chwali się Asia, chyba nie zdając sobie sprawy, że brzmi to, jakby była dziewczyną z agencji towarzyskiej.

Niebo dopiero jaśnieje, na horyzoncie pojawia się cienki pas szarego błękitu. Dojazd do dzielnicy Sylwii okazuje się utrudniony przez śnieg, którego pług nie zdążył jeszcze usunąć.

Przed klatką, w której mieszka Kalińska, stoi kilku nastoletnich chłopców ubranych

w szerokie spodnie, czapki z daszkami i niemal identyczne watowane kurtki. Rozmawiają, zaciskają palce w nerwowym geście, a kiedy ich mijamy, jeden rzuca niedopałek papierosa pod moje nogi.

– Hej! – Cofam stopę w kozaku na obcasie.

– Pałuj się – słyszę w odpowiedzi.

Rozlega się gromki śmiech jego kumpli. Są tak wysocy, że mogliby należeć do drużyny koszykarskiej, i kiedy się do mnie zbliżają, uświadamiam sobie, że sama nie miałabym z nimi żadnych szans.

– Co mi zrobisz? – Nastolatek uśmiecha się od ucha do ucha, a pozostali z uznaniem kiwają głowami i przybijają sobie piątki.

– Możesz się cmoknąć, wiesz gdzie! – dorzuca jego kolega.

– Możesz wsadzić sobie groźną minkę, wiesz gdzie! – dodaje trzeci.

Pokazują środkowe palce i udają, że gaszą papierosy na mojej kurtce. Przy okazji dotykają moich kieszeni, torebki i szalika. Próbuję się od nich opędzić, Jacek odpycha jednego, ale od razu zbijają się w ciasną gromadę, a torba ze sprzętem, którą niesie na ramieniu, uderza o mur.

– Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?! – awanturuje się jeden z chłopców, gdy Jacek kolejny raz odsuwa go od siebie. – Powiedz, masz? Masz?! Masz problem, bracie?!

Jacek z trudem powstrzymuje się przed reakcją; odnoszę wrażenie, że gdyby nie sprzęt, zmazałby im te uśmiechy z twarzy.

Domofon bzyczy, więc pociągam za klamkę i odcinamy się od nich, zamykając z hukiem drzwi.

5

Współcześnie

Sylwia wydaje się dzisiaj bledsza, pociąga nosem, oddycha ustami, zauważam zaczerwienione ślady na jej skórze przy skrzydełkach nosa.

– Uzyskałam dla ciebie dostęp do fundacji – tłumaczę, podczas gdy Jacek rozsznurowuje wysokie zimowe buty.

Asystentka pyta, gdzie może rozłożyć kosmetyki. Sylwia wskazuje kuchnię.

– Masz dokumentację choroby, o którą prosiłam?

Sylwia znowu pociąga nosem.

– Kiedy zaczniesz jej szukać? – Robi unik.

Zamieram z ręką na guzikach płaszcza.

– Kiedy dasz mi dokumentację? Może nie wyraziłam się jasno…

– Dam ci ostatnie wyniki badań zrobionych przed weekendem. Wystarczą? – W jej oczach czai się irytacja i strach.

Prosi, żebym poszła za nią do kuchni. Zdejmuje kartkę z lodówki i rozkłada na stole. Na dokumencie zauważam jej imię i nazwisko, a potem dociera do mnie, że przy niemal wszystkich informacjach postawiono wykrzykniki albo strzałki, co oznacza wykroczenie wyników poza przyjęte normy. Poniżej w kwadratowym oknie dopisano: „Pilne!”.

– Czy to wystarczy jako dowód, czy chcesz pojechać ze mną na badania do szpitala i zajrzeć do innej dokumentacji? – Sylwia mówi takim głosem, jakby miała duży katar i musiała oddychać przez usta. Pochyla się ku mnie tak blisko, że na policzku czuję ciepło jej oddechu. Kontynuuje równie cicho, choć patrzy na mnie niemal wrogo: – Miałam trzy chemioterapie. Spędziłam w szpitalu ostatni rok, byłam tak słaba, że ledwie mogłam ustać na nogach, krwawiły mi dziąsła, ciągle walczyłam z mdłościami, miałam uczucie, jakby moje ciało rozpadało się na kawałki. Straciłam brwi i włosy. Chcesz zobaczyć ślad po wkłuciu centralnym? – Wiedzie spojrzeniem od jednego mojego oka do drugiego. – Chcesz porozmawiać z moim lekarzem?

Wytrzymuję jej spojrzenie tak długo, aż uświadamiam sobie, że jednak dłużej nie dam rady.

– Chcę dostać dokumentację twojej choroby, Sylwio. – Cofam się. – Inaczej nie kiwnę palcem w twojej sprawie. Załatw to do jutra rana.

Sąsiedzi Sylwii wcale nie wykazują chęci stanięcia przed kamerą.

– Co mogę o nich powiedzieć? Nie trzymamy się przecież blisko, każdy ma swoje życie. – Starsza kobieta, którą na razie jako jedyną udało mi się przekonać do wzięcia udziału w nagraniu, niepokoi się. – Znam ją od małego, od takiego kajtka. Zawsze wyglądała na młodszą, niż była. Nie rosła, ciągle wydawała się straszną chudzinką. Chodziła do szkoły, a wyglądała jak przedszkolak!

– Były z nią jakieś problemy?

– Z nią? – Kobieta śmieje się jak z żartu. – Dziecko idealne! Cicha, spokojna, uprzejma… Jakby dziecka nie było! A mówi się, że dzieci z sierocińca sprawiają kłopoty!

– Słyszała pani, że Sylwia ma biologiczną siostrę?

Kobieta spogląda na mnie, jakby nie rozumiała, o czym rozmawiamy.

– Jak to „ma siostrę”? – Zdumiewa się. – Przecież gdyby miała, Kaszmir na pewno zabrałaby ją do domu razem z Sylwią.

– Nie ma przepisu nakazującego rodzeństwu mieszkać razem.

Kobieta znowu potrząsa głową, wpatrzona w oko kamery.

– To niepodobne do Kaszmir. Pani jej nie zna. Kaszmir pochodzi z wielodzietnej rodziny. Gdyby wiedziała o siostrze… Nie rozdzieliłaby rodzeństwa! To kompletnie nie w jej stylu!

– Matka to matka. – Mężczyzna, który ze mną rozmawia, zakłada nogę na nogę. Siedzi w starym fotelu, który wygląda, jakby powstał jeszcze w czasach Ludwika XVIII. – Kiedy odchodzi, nasz świat przestaje być harmonijny. – Wzdycha filozoficznie. – Proszę sobie wyobrazić, że życie toczy się odwiecznym, dobrym rytmem, a każde zdarzenie ma swój czas. W odpowiednim momencie rodzimy się, zaczynamy mówić, idziemy do szkoły, zakochujemy się, planujemy dzieci, umieramy. Matka, jeśli nawet nie jest blisko nas, bierze udział w większości tych wydarzeń. Dlatego jej brak powoduje, że świat staje na głowie. Nic już nie przebiega we właściwy sposób. Dziecko może przestać mówić, może nie chcieć wstać. Odejście najważniejszej osoby może zaburzyć cały jego rozwój. Antoni Kępiński napisał kiedyś, że „koloryt naszego świata wywodzi się ze stosunku do matki”… – Wzdycha filozoficznie.

– Uważa pan, że rozwój Sylwii został zaburzony?

Mężczyzna kiwa nogą, szukając czegoś w pamięci.

– Zawsze miałem wrażenie – na moment zamyka oczy – że ona stara się zadowolić wszystkich wokół i przez to nikt nie wie, jaka jest naprawdę.

Trzydzieści lat temu biologiczna matka Sylwii była zameldowana na ulicy, która pnie się po łuku. Nie dotarł tu jeszcze żaden pług, więc kozaki moje i Sylwii po kostki toną w śniegu posypanym solą. Jest wczesne popołudnie, śnieg przypomina pianę morską, temperatura spadła do prawie minus dziesięciu stopni, zmierzcha.

– To tu. – Staje w miejscu i wpatruje się smutnym wzrokiem w dom o klockowatej ciasnej bryle, z płaskim dachem.

Opieram ręce o płot. Sylwia miała rację – to zła, biedna dzielnica, jedna z tych, których po zmroku unikałabym jak ognia. Podwórko okazuje się małe, ledwie starcza miejsca na ogródek, o tej porze roku zasypany śniegiem. Spod śniegu wystaje kilka opon; muszą tu leżeć bardzo długo, skoro zdążyły w nich wyrosnąć krzewy. Moje spojrzenie przykleja się do okna na parterze. Żółty woal został udrapowany po bokach, dając złudne wrażenie luksusu. Przez uchylone drzwi balkonowe wysypują się dźwięki telewizora.

Kiedy wciskam dzwonek, w głębi domu rozlega się wyraźny ostry odgłos.

– Słucham – mówi nastoletnia dziewczyna o oczach obrysowanych czarną kredką. Nieznacznie rozchyla drzwi, ale mój starannie dopracowany makijaż i elegancki płaszcz sprawiają, że otwiera je szerzej.

– Szukam Moniki Stefaniak – czytam z kartki, a Sylwia prostuje się, jakby przeszedł przez nią prąd.

– Nie mieszka tu nikt taki.

– To ten dom – odzywa się Sylwia szeptem, chyba bojąc się, że zrezygnuję rozczarowana.

– A wcześniej? – pytam nastolatkę. – Wiesz, kto tu mieszkał przed twoją rodziną?

Dziewczyna zamyka za sobą drzwi i kuląc się z zimna, podchodzi do furtki.

– Wprowadziliśmy się tutaj jakieś trzynaście lat temu. Mogę zapytać mamę. Nie wiem, kto mieszkał tu kiedyś. A czy to ważne?

Pokazuję jej dziennikarską legitymację.

– O! – Zdziwiona i podekscytowana, z uwagą spogląda mi w twarz. – Pani z telewizji? Tak mi się wydawało, że skądś panią znam. – Jej ton od razu staje się milszy.

– Nie pamiętasz kobiety, która sprzedała dom?

Nastolatka wzrusza ramionami.

– Sprzedawał go jakiś facet, nie kobieta. Coś tam pamiętam, ale byłam wtedy mała.

– Pozwolisz nam zrobić zdjęcia w środku?

Palce Sylwii wędrują po giętych prętach ogrodzenia, ociera je o brzegi wiszącej doniczki, z której z głębokiego śniegu wystają tylko uschnięte gałęzie kwiatów. W tym czasie dziewczyna szczypie się w górną wargę i lustruje nas spojrzeniem od stóp do głów.

– Kiedyś mieszkała tu kobieta, która poszła do pierdla – mówi nagle, w zamyśleniu. – To któraś z pań?

Sylwia nieruchomieje, a ja uśmiecham się wbrew sobie.

– A skąd! Robimy program o tej kobiecie. Wiesz o niej coś więcej?

W środku jest niemal klaustrofobicznie i duszno. Poruszając się, wzbijamy tonę kurzu z dywanu i podłogi. Sylwia idzie za nastolatką trochę jak pijana, kołysząc się na boki. Co chwila obraca się do mnie, jakby szukała potwierdzenia, że jestem.

– Coś mówiono o tamtej kobiecie? – pytam, otwierając torbę ze sprzętem. – O tej, która trafiła do więzienia?

– Tylko tyle, że ją zamknęli. Zrobiła coś z dzieckiem.

– Z dzieckiem? – Sylwia gubi krok. Staje z opuszczonymi rękami, jakby zabrakło jej sił. – Ale co zrobiła? Z którym dzieckiem?

Nastolatka wzrusza ramionami, aż kołyszą się jej kolczyki, zawieszone po trzy w każdym uchu.

– W naszej dzielnicy ciągle coś się dzieje – stwierdza z nieskrywaną dumą. – Dopiero co jakiś kretyn puścił ulicą płonące opony. Ale był syf i smród! Nie wyobraża sobie pani!

Rozglądam się po niedużym salonie, szukając śladów przeszłości albo chociaż czegoś, co nadawałoby się na ujęcia do filmu. Niczego takiego jednak nie znajduję.

– A tamci ludzie, poprzedni właściciele, nie wiesz, gdzie się przeprowadzili? – pytam dalej.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Co słyszałaś o tym dziecku, któremu kobieta wyrządziła krzywdę?

– Że poszła za to siedzieć.

Sylwia przelotnie dotyka tapety, chyba dawno niezmienianej, zielonej, w motyw białych kwiatów. Wyciągam z torby aparat fotograficzny i kieruję obiektyw na ścianę.

– Tylko proszę tak fotografować, żeby nie było widać bałaganu, bo matka mnie zabije – błaga nastolatka.

Zamiast robić zdjęcia pomieszczeniu, w kadrze łapię Sylwię. Stoi z rozchylonymi ustami wpatrzona w dywan leżący na środku pokoju. Fotografuję ją na tle tapety: rozchylone usta, zaczerwieniony od kataru i mrozu nos, spojrzenie zaszczutego zwierzęcia.

– Sąsiedzi długo tu mieszkają? – zagaduję nastolatkę.

– Nikt tu długo nie mieszka. Ruch jak w Galerii Centrum. – Dziewczyna chichocze. – Kto by tu chciał mieszkać, jak wszystko do remontu i coraz gorzej z roku na rok? Ci, co mieli kasę,

pouciekali do bloków albo kupili ziemię. Naprawdę ludzie stąd wieją.

– I nie ma nikogo, kto mieszkałby tu od lat osiemdziesiątych?

– Niestety…

– To wasze? – Sylwia zatrzymuje się przy starej białej futrynie oddzielającej jeden pokój od drugiego. Kuca. Z pietyzmem dotyka poziomych, stawianych pisakiem i długopisem kresek znajdujących się na wysokości około metra od podłogi. Obraca się do mnie.

– Pola! – Jej palce poruszają się po śladach, a policzki purpurowieją od emocji. – Pola – powtarza stłumionym głosem.

Przykładam aparat do oczu, fotografuję dłoń Sylwii na kreskach.

– Nie, chyba nie nasze, bo tu był pokój babci – odpowiada nastolatka, wskazując schody pnące się na piętro. – Mnie i brata mama mierzyła na górze.

– I nikt nie malował tych futryn, od kiedy się tu wprowadziliście? – upewniam się, zdziwiona.

Nie wyglądają na odświeżane, cały dom sprawia wrażenie, jakby właściciele nie robili w nim remontu od lat. Wymieniono chyba tylko podłogę w salonie i meble.

Palce Sylwii biegną po najwyższej z kresek. Oblizuje usta, wygląda jak zahipnotyzowana.

– Nie pamiętam nic takiego, więc chyba nie – dobiega mnie głos nastolatki.

Poziome linie to żaden dowód, ale Sylwii pewnie się wydaje, że właśnie odnalazła wspomnienie o siostrze. Kręci z niedowierzaniem głową, mruga, jakby strzepywała coś z rzęs.

– Musiała mieć nie więcej niż trzy lata, gdy zrobiono ostatnią kreskę – szepcze.

Kucam przy niej, z bliska przyglądam się liniom i w końcu przenoszę wzrok na jej twarz.

– To mogą być twoje ślady – mówię łagodnie. – Miałaś trzy lata, kiedy cię porzuciła.

Ale ona kręci głową.

– Nie, to jej.

Nie spuszczam z niej oczu, a ona pociera powieki, jakby zachciało jej się płakać.

– Musisz mi uwierzyć – prosi. – To jej ślady!

– Sylwio, nie wiesz tego.

– Ależ wiem!

Przez moment to sobie wyobrażam: dziewczynkę, niewyraźną, jakby była duchem, podobną do Sylwii. W mojej wyobraźni jest utkana ze światła i cienia. Stoi nieruchomo pod futryną, wyprostowana, gdy matka odznacza pisakiem jej wysokość. Potem, chichocząc, odbiega w głąb pokoju i zostaje po niej tylko ten ślad… Cienki ślad czarnego pisaka.

– Są tu jakieś rzeczy po tamtej rodzinie? – Podnoszę się, fotografuję okno z upiętą firaną, zza której widać fragment podwórka.

– Jakie rzeczy? – pyta nastolatka.

– Ubrania, zdjęcia… coś… cokolwiek.

Rozlega się ciche skrzypienie podłogi, gdy ruszam w stronę schodów biegnących na piętro. Cokolwiek tu kiedyś było, zostało ukryte pod nowymi panelami, zamazały to jasne nowoczesne meble, wykurzył dźwięk telewizora plazmowego i zdjęcia rodziny nastolatki wiszące w ramkach na ścianach.

– Nie, nic takiego tu nie mamy.

Sylwia rusza za mną do schodów, ale raptownie zawraca.

– Gdzie znajdował się dziecięcy pokój? – pyta.

– Nie mam pojęcia. Mój jest na górze, ale tam był robiony remont, więc ciężko…

– Czy możemy już iść? – przerywa Sylwia histerycznym tonem. – Pola, idźmy już, proszę.

W drodze powrotnej porusza się szybko, jakby ktoś ją gonił.

– Sylwio, chciałabym omówić kilka spraw! – wołam zasapana, tonąc w wysokim śniegu niemal po kolana. Kozaki na szpilkach dodatkowo utrudniają chodzenie. – Możemy wejść gdzieś na herbatę i…

– Muszę odebrać dziecko ze szkoły. – Sylwia ogląda się przez ramię, ale nie obejmuje mnie spojrzeniem. Znowu się wycofała; mam wrażenie, że wróciłyśmy do naszej pierwszej rozmowy, podczas której unikała kontaktu wzrokowego. – Nie mogę się spóźnić.

Ulicę przecina samochód, więc muszę stanąć, a Sylwia jest już po drugiej stronie. Z rękami w kieszeniach płaszcza i czapką nasadzoną nisko na oczy wygląda jak mała dziewczynka. Gdybym jej nie znała, w życiu nie pomyślałabym, że ma ponad trzydzieści lat.

– Nikt inny nie może jej odebrać? – Czekam, aż samochód przejedzie.

– Kto? – Rzuca mi nerwowe spojrzenie. – Moja adopcyjna mama mieszka i pracuje w Anglii, ojciec Mai jest teraz na wyjeździe.

Doganiam ją, z trudem łapiąc oddech.

– A twój ojciec adopcyjny? Nic o nim nie mówisz.

– Bo nie ma o czym mówić. Nigdy nie było go w domu. – W jej głosie pojawia się irytacja. – Kaszmir upierała się, żebym mówiła do niego „tato”, ale nie mogłam. Prawie go nie znałam. Wypłynął w rejs zaraz po tym, jak mnie adoptowali. Po powrocie ciągle się kłócili z Kaszmir. W końcu się przyznał, że ma kogoś na statku. Nie rozwiedli się ze względu na mnie, ale potem już z nami nie mieszkał.

Jej wzburzenie nie ma nic wspólnego z ojcem adopcyjnym – widzę to w jej oczach. Staję w miejscu, zmuszając ją, żeby też się zatrzymała.

– Sylwio, tamta futryna to żaden dowód – mówię, ale znowu przyspiesza kroku, jakby nie chciała słyszeć.

– Jest wiele osób, które mogę poprosić o odebranie córki, ale nie chcę tego robić, rozumiesz? Sama chcę ją odebrać. Ona… – Marszczy brwi i na jej czole pojawiają się bruzdy. Znowu przystaje i z nagłą bezradnością patrzy mi w oczy. – Kiedyś bałam się śmierci – ciągnie. – To znaczy nie mogłam znieść myśli, że nie wiem, co będzie po drugiej stronie. Czy w ogóle jest jakaś druga strona. – Ostrzegawczo unosi dłoń, gdy chcę zaprzeczyć. – Teraz jest inaczej. Wiesz, wydaje mi się, że… że oswajam śmierć… Jeśli przyjdzie, stawię jej czoła.

6

Gdańsk Wrzeszcz, 1987 rok

– Nie odbiera telefonu. Co robimy?

Dyrektorka podstawówki weszła do sali, wezwana przez opiekunkę świetlicy, równo o siedemnastej, czyli w czasie, kiedy świetlica powinna zostać zamknięta. Większość dzieci wyszła ze szkoły już o piętnastej, do szesnastej w świetlicy nie było nikogo poza Sylwią i cygańskim chłopcem z jej osiedla Andrzejem, którego jednak odebrał wujek, przepraszając za spóźnienie. A Sylwia została. Siedziała smutna na dywanie, ubierała lalkę w sukienkę księżniczki i słuchała rozmowy.

Dowiedziała się, że procedury nakazują, by dziecko, po które nie zjawili się rodzice w chwili zamknięcia świetlicy, nie zostało bez opieki. Albo pojedzie z opiekunką świetlicy do jej domu, albo dyrektorka powiadomi opiekę społeczną i Sylwia trafi na noc do pogotowia opiekuńczego.

– Nie chciałabym tego. – Dyrektorka westchnęła. – Placówka opiekuńcza to ostateczność. Dziewczynka i tak wiele przeszła. W karcie wyczytałam, że Kalińscy to jej trzecia rodzina. Kto przyprowadził ją rano?

– Jakiś facet. Nie wyglądał na kogoś, komu można dać dziecko pod opiekę.

– O Boże. To ktoś z rodziny?

– Gdy zapytałam, powiedział, że jest przyjacielem matki.

– A wczoraj?

– W karcie mam zapisane, że ten sam mężczyzna zabrał ją do domu.

– Jezu! Myślisz, że… – Urwała.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

– O Boże – powtórzyła dyrektorka.

– Sylwio – opiekunka przysiadła się do dziewczynki – czy w nocy byłaś w domu sama z tym mężczyzną?

Dziewczynce udało się włożyć buty na stopy lalki.

– Sylwio!

– Ma na imię Stefan – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku.

– Stefan… – Opiekunka rzuciła spojrzenie dyrektorce. – Byłaś z nim w domu sama? Kochanie? – Delikatnie dotknęła kolana dziewczynki. – Dobrze go znasz? To twój wujek?

Sylwia zapięła sukienkę na plecach lalki i rozprostowała fałdy materiału.

– Sylwio, możesz mi wszystko powiedzieć. Nie będę zła.

Dziewczynka rzuciła jej spojrzenie spod zmarszczonego czoła.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – naciskała opiekunka.

Dziecko powoli pokręciło głową.

– A gdzie Stefan spał, gdy byliście razem w mieszkaniu?

Sylwia zauważyła, że dyrektorka złożyła ręce jak do modlitwy.

– W dużym pokoju – odpowiedziała apatycznie, a opiekunka głośno wypuściła powietrze. Zaraz też przystąpiła do dalszych pytań:

– A czy mama odbierała cię na czas z przedszkola, do którego chodziłaś wcześniej?

Tamto stało się tylko raz, dawno temu, i Kaszmir obiecała, że się nie powtórzy. Sylwia

zamrugała, żeby wyrzucić spod rzęs obraz przedszkola po godzinach: ciemnych korytarzy, pustych sal, ciszy…

– Zdarzyło się? – powtórzyła opiekunka. – Sylwio, muszę wiedzieć.

Mała potrząsnęła głową.

– Na pewno?

– Tak.

W sali znowu zapadła cisza. W tej ciszy opiekunka i dyrektorka myślały tak intensywnie, że Sylwia miała wrażenie, iż zaraz nad ich głowami pojawi się dym.

– Wiesz co? – Opiekunka w końcu wpadła na pomysł. – Zawiozę ją do mojej siostry. Ma córkę w wieku Sylwii. Pobawią się, Sylwii szybciej zleci czas i nie będzie tak bardzo czekać na mamę. A ja spróbuję znaleźć tę Kalińską. Może to jakieś nieporozumienie. Nie ma co wyciągać pochopnych wniosków!

Dom wyłonił się spomiędzy drzew: niski, parterowy budynek z czerwonymi dachówkami i szeroką werandą. Zmierzch powoli kładł się na stole nakrytym na zewnątrz do kolacji, spływał po huśtawce i zjeżdżalni stojących w ogrodzie.

Opiekunka opuściła szybę w aucie.

– Cześć, kochanie! Przywiozłam ci koleżankę! – zawołała do dziewczynki, która właśnie wyszła na werandę.

Jej matka wycierała ręce w fartuch, schodząc ze schodów.

– Po co przywiozłaś tę małą? – Niespokojnie zajrzała na tylne siedzenie samochodu.

– Potem ci opowiem. – Opiekunka pomogła Sylwii odpiąć pas. – Olga, zajmij się koleżanką. Zabierz ją do pokoju. A ty, proszę, zrób kolację. Dziecko na pewno umiera z głodu.

Olga otworzyła pokój tak, jakby to było sekretne królestwo, w którym poza nią nie przebywała jeszcze żadna inna osoba. Sylwia zrobiła krok i stanęła jak wryta, porażona widokiem białych regałów zastawionych lalkami i pluszowymi misiami. Nigdy w życiu nie widziała tylu zabawek, chyba że w sklepie. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po lalkach Barbie, zachwycił ją domek dla nich, zdumiały stojące w nim filigranowe fotele, kanapa, stół, nie wspominając o komodzie i telewizorze.

– Chodzisz do szkoły, w której pracuje moja ciocia? – Olga zebrała ciemne włosy w kucyk.

– Chyba tak. – Sylwia wzruszyła ramionami.

– Dlaczego mama nie odebrała cię ze świetlicy?

Właśnie stanęła na miękkim białym dywanie i ogarnęło ją przerażenie na myśl, że jeśli poruszy nogą, po bucie zostanie czarny ślad.

– Mama mówi, że może będziesz u nas spała. – Olga sondowała ją spojrzeniem spod długich rzęs. Minęła pełna napięcia chwila i nagle dziewczynka uśmiechnęła się, odsłaniając trochę za długie jedynki. – Byłoby fajnie! Jestem już tak zmęczona, że mogłabym zasnąć na stojąco!

– Jestem tak zmęczona, że mogłabym spać na pudełku szpilek – podchwyciła Sylwia i też uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem tak zmęczona, że mogłabym zasnąć na mrowisku! – odkrzyknęła Olga i dziewczynki zaniosły się śmiechem.

– Boisz się? – spytała Olga w wannie, prowadząc gumową lalkę po kolorowej pianie, podczas gdy Sylwia zatkała nos, przygotowana do zanurzenia głowy.

– Nie.

Świat widziany spod wody wyglądał inaczej. Dźwięki zrobiły się głuche, postać Olgi wydłużyła się i zbladła, zegar wiszący koło lustra zaczął się rozmazywać. Było jakby bezpieczniej. Sylwia zacisnęła powieki. Dziesięć. Dwadzieścia sekund. W skroniach zaczęło jej łomotać, serce przyspieszyło rytm. Trzydzieści sekund. Mocniej zacisnęła palce na nosie. Olga o coś spytała, ale Sylwia słyszała tylko huczący głos zamiast słów. Trzydzieści pięć sekund. Zaczęły boleć ją płuca, ciało wpadło w drżenie. Wskazówka na zegarze dobiegła do czterdziestu pięciu sekund.

– Och! Kto cię tego nauczył? – Olga była pod wrażeniem, gdy Sylwia raptownie usiadła, wzburzając wodę i szeroko otwierając usta.

Minęła chwila, nim była w stanie odpowiedzieć:

– Nie wiem, chyba moja mama.

– Zabieram ją – stwierdził znajomy głos. – Przepraszam za kłopot. Nie miałam skąd zadzwonić.

Sylwia rozpoznała kroki matki Olgi. Kaszmir szła szybciej i ciężej.

– Położyłam je tutaj – szepnęła Zalewska, wchodząc do ciemnego pokoju. – Były zmęczone.

Opasłe ramię Kaszmir wsunęło się pod głowę Sylwii.

– Wstań, jedziemy do domu. Obudź się!

Sylwia posłusznie usiadła na łóżku. Była jednak tak senna, że nie wiedziała, co się dzieje, więc przytuliła do siebie jasiek i z powrotem chciała się położyć.

– Gdzie są jej buty? – Szept Kaszmir mógłby obudzić zmarłego.

– Powinny być pod łóżkiem. – Zaniepokojona mama Olgi starała się ją uciszyć. Sama poszukała tenisówek i wsunęła je Sylwii na nogi. – Rajstopy dałam do pralki; były brudne, więc może…

– Mamo? – Olga też się podniosła. – Mamo? – Na bosaka, z oczami przysłoniętymi dłońmi poszła za Sylwią i Kaszmir do przedpokoju. – Czy Sylwia będzie mogła jeszcze u nas spać? Proszę, to moja przyjaciółka! Proszę!

– Zobaczymy. Chodź! – Kaszmir pociągnęła Sylwię za sobą na zewnątrz. – Miałam fatalny dzień.

W mieszkaniu pochyliła się nad lustrem leżącym na toaletce. Wizytówką zakładu fryzjerskiego, w którym pracowała, rozdzieliła na boki biały proszek i zrobiła z niego dwie równe ścieżki.

– Koleżankę pobił mąż. – Nosem wciągnęła jedną kreskę, odchyliła głowę i na moment zacisnęła powieki, jakby ją coś mocno zabolało. Podjęła dopiero po chwili: – Musiałam jej pomóc się spakować i zabrać dziecko w bezpieczne miejsce. Ten kretyn mógł je skrzywdzić.

Znowu pochyliła się nad lustrem i wciągnęła drugą kreskę. Chwilę siedziała z otwartymi ustami i zaciśniętymi oczami, a kiedy zamrugała, oczy jej błyszczały, chociaż były czerwone jak u królika.

– Nie patrz tak. Stefan miał się tobą zająć. Byłam przekonana, że prosiłam go również o dzisiaj – ciągnęła mocniejszym tonem, z nagłym ożywieniem. – Coś mi się pomyliło. Nie jestem idealna, do cholery! I tak wszystko jest na mojej głowie: ten dom, nasze finanse, pracuję i gotuję. A zresztą pomyśl: to, co zrobiłam wczoraj, to dobry uczynek; tam, w niebie, anulowano mi trzynaście lat bez spowiedzi!

Na podwórko prowadziła wąska brama, a dalej znajdował się niewielki kwadrat zieleni z trzepakiem. Sylwia właśnie minęła chodnik, kiedy nagle czyjeś ręce złapały ją za gardło i ktoś pchnął ją na ścianę. Dłoń tak ciemna, że wyglądała na brudną, zakryła jej usta i dziewczynka stanęła twarzą w twarz z chłopcem z rodziny polskich Romów, którzy zamieszkali w kamienicy naprzeciwko.

– Będziesz zakładnikiem – oznajmił Andrzej.

– Zakładnikiem kogo? – Sylwia strząsnęła jego rękę.

– Nie bądź głupia! – skwitował piskliwym głosem młodszy brat Andrzeja, Toni. – Zostałaś porwana!

– Porwana przez kogo? – Sylwia obrzuciła chłopców twardym spojrzeniem. – Przez was, głupki?

– Słyszałeś, co powiedziała? – zapiszczał brat. – Za takie coś powinna dostać kulkę w łeb.

– Porwana przez terrorystów – odpowiedział Andrzej z godnością, puszczając jednak Sylwię.

– Chcę się wykupić. – Dziewczynka splunęła mu pod nogi, a chłopiec z podziwem uniósł brwi.

– Zagramy w monetę. Masz jakąś?

Sylwia się zawahała, ale w końcu wyciągnęła jedną z monet przeznaczonych na chleb i mleko, które dała jej Kaszmir, wysyłając dziewczynkę do sklepu.

– Co się stanie, jeśli przegram? – spytała już mniej pewna siebie.

Andrzej uśmiechnął się tak, że oblał ją zimny pot. Cofnęła się odruchowo, gdy chłopiec odparł:

– Wtedy pójdziemy do drogerii. Mówiłaś, że pamiętasz, jak wyglądały perfumy twojej prawdziwej mamy.

– Tak, pamiętam. – Sylwia nerwowo obejrzała się na bramę, z której wyszła.

– No to przecież chyba chcesz je znaleźć, prawda? – Ostatnie słowo przeciągnął, by je podkreślić.

Podrzucił monetę. Za każdym razem, gdy pieniądz spadał, widać było na nim reszkę, więc Sylwia zaczęła się martwić, że Andrzej jest naprawdę dobry w tę grę.

– Zaczynamy!

Kiedy chłopiec podrzucił pieniądz, tym razem odbiło się w nim słońce. Sylwia wstrzymała oddech, gdy moneta spadła na chodnik. But Andrzeja zakrył ją, chłopiec zrobił stosowną pauzę i cofnął stopę.

– Czego tu szukacie? – Tęga sprzedawczyni podniosła się z krzesła, kiedy weszli do drogerii. – To nie miejsce dla dzieciaków! Coś zbijecie i kto będzie płacił? Ukradnijcie cokolwiek, a wezwę milicję i traficie do więzienia!

– Nie trafia się do więzienia, kiedy ma się tyle lat, co my – odpowiedział Andrzej, ale Sylwia już zniknęła między regałami, więc chłopiec ruszył za nią.

Perfumy zajmowały niemal całą przestrzeń sklepu od półek znajdujących się na samym dole do tych ustawionych na wysokości głowy Andrzeja.

– To te? – Chłopiec zatrzymał się przy niższym regale. – Mają złoty napis, taki jak mówiłaś.

Wcześniej, kiedy Sylwia myślała o biologicznej mamie, ta wydawała się odległa, jakby stała na drugim końcu wszechświata. Teraz jednak, gdy dziewczynka spojrzała na flakon wskazany przez Andrzeja, mama zbliżyła się o krok.

Delikatnie, tak by niczego nie uszkodzić, Sylwia dotknęła butelki. Pod palcami poczuła zimne szkło. Wrócił niemal zapomniany obraz: kobieta na tle okna, brązowe włosy spadające przez ramię, uśmiech uszminkowanych ust…

– Jesteś pewna? – Andrzej był starszy od Sylwii o rok, umiał już pisać i czytać i znał liczby, więc przesunął palcem po cenie flakonu. – No bo mówiłaś, że ona była biedna i dlatego musiała cię oddać.

Sylwia też popatrzyła na cenę, ale liczba zer ani poprzedzająca je cyfra nic jej nie powiedziały. Na palcach odliczyła jedno zero, drugie, trzecie, piąte…

Andrzej odsunął się, jakby z butelki wyszły wszy.

– Twoja mama nie była biedna, ktoś cię okłamał.

Ona też się odsunęła, ale przed kolejnymi słowami, które w nią uderzyły:

– Sylwia, to droga rzecz. Moja mama na pewno by ich nie kupiła, a ciągle mówi, że wcale nie jesteśmy tacy biedni.

Wszystko stało się za szybko. Wydawało się jej, że popchnęła Andrzeja, a on wpadł na stojak, rozległ się głośny brzęk i wówczas tęga sprzedawczyni wybiegła zza lady. Sylwia przemknęła pod jej ręką. Nie pamiętała, jak udało się jej uciec. Usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi, a potem okazało się, że już stoi na chodniku przy gorącej od słonecznego żaru ścianie.

– Co się stało? – zapytała jakaś kobieta, przystając przy niej. – Skarbie, dlaczego płaczesz?

Naraz wszystko do niej wróciło: uszminkowane usta mamy, jej brązowe włosy przerzucone przez ramię, huk jadącego pociągu, a potem cisza aż piszcząca w uszach, jakby urwały się wszystkie dźwięki i miały już nigdy nie wrócić.

7

Gdańsk Wrzeszcz, 1987 rok

Donka, starsza siostra Andrzeja, opowiadała, jak to kiedyś Cyganie jeździli taborami po świecie i zamieszkiwali na polanach w lasach, gdzie rozbijali namioty. Mówiła, że tak podróżowała jej babcia, obecnie najstarsza z rodziny Watraków. Kobieta pamiętała jeszcze stary świat Romów, który potem się rozpadł, a w którym uczono magii, rzucania i odczyniania uroków oraz prawdziwych wróżb z ręki. Sylwia z zapartym tchem słuchała, jak to jeszcze kilka lat temu do Watrakowej przyjechała kobieta z prośbą o pomoc.

– Lekarze nie potrafili znaleźć przyczyny jej choroby – mówiła Donka. – Babcia zaprosiła ją do kuchni, tam poruszyła włosami kobiety, a strasznie były splątane, i od razu stwierdziła, że to urok, skoro włosy tak skręciło. A urok można leczyć tylko odczynianiem.

Sylwia słuchała zafascynowana, jak babcia Donki kazała kobiecie usiąść na stołku pośrodku kuchni. Jajkiem w skorupce przesuwała po ciele kobiety, jakby mazała je gumką. Potem uniosła jajko nad głowę klientki i tam wykonywała koliste ruchy, nie przestając szeptać jakichś słów.

– To, co złe, weszło do jajka. – Spojrzenie ciemnych oczu Donki prześlizgnęło się po twarzach dzieci i zatrzymało na Sylwii. – Kiedy babcia rozbiła je nad szklanką, w środku jajko było całe w czarne plamy! Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego! To było obrzydliwe! Babcia zamknęła je w słoiku i kazała mi zakopać w ziemi. Powiedziała, że zło zostanie w gruncie, a kobieta jest już od niego wolna. Chodź z nami, Sylwia, babcia powróży ci z ręki!

W mieszkaniu Romów pachniało rosołem.

– Jeść! Jeść! – zawołał Toni, ale nikt mu nie odpowiedział.

– Babciu! – krzyknęła Donka. – Powróżysz Sylwii?!

Mieszkanie, zawsze pełne ludzi, tego dnia wydawało się puste. Krople deszczu bębniły w parapet i pluskały w rynnach. Dzieci rozglądały się chwilę zdziwione. Dotarł do nich cichy dźwięk przypominający kwilenie niemowlęcia.

– A to co? – Donka ze zdumieniem pociągnęła za klamkę w drzwiach sypialni rodziców.

– A to nic! – Dobiegł ze środka głos Watrakowej, wyższy o oktawę niż normalnie. – I po co tu wchodzicie? Nie ma nic do oglądania!

Andrzej rzucił się biegiem w tamtym kierunku, a Sylwia pognała za nim, łapiąc się koszulki chłopca. Wyhamowała w progu z ręką na jego plecach, wpatrzona w kanapę, na której siedziała Watrakowa ze swoją matką. Pomiędzy nimi na kocu leżało jakieś zawiniątko.

Minęła chwila, minęła cała wieczność, nim do Sylwii dotarło, że to żywe dziecko. Było tak małe, że wyglądało jak lalka owinięta w koc. Dziewczynka bezwiednie zrobiła kilka kroków w stronę kanapy.

– Tylko cicho – ostrzegła Watrakowa, przekładając sobie niemowlę na kolanach. Zaczęła nim z wprawą kołysać. – Nikt nie może się dowiedzieć.

– Skąd je masz? – Zdumiona Donka kucnęła przy kolanach matki. – Kto urodził to dziecko?

– Ktoś, kto nie powinien – odpowiedziała Watrakowa i wysoko uniosła brodę.

Andrzej usiadł na dywanie koło nóg matki, a Toni wgramolił się na kolana starszej kobiety.

– Nie możemy go zatrzymać? – spytała Donka.

W tym czasie dziecko sennie rozchyliło powieki. Były jasne jak bezchmurne niebo latem. Sylwia złapała się na tym, że odruchowo wstrzymuje oddech. Donka czule dotknęła łysej głowy, podczas gdy Andrzej wsunął palec w dłoń dziecka.

– Jak ma na imię, mamo?

– Nazwałabym ją Aza – stwierdziła Watrakowa. – To dziewczynka. Ma nie więcej niż cztery miesiące.

– Skąd ją masz? – dopytywała Donka, a w jej oczach pojawiły się niepokój i fascynacja. – Nie może być nasza, prawda?

– Nie będzie nasza – przyznała Watrakowa. – Nie powinna też należeć do swojej matki.

– Gdzie ją znalazłaś? – Andrzej uśmiechnął się nerwowo, kiedy dziecko zacisnęło pięść na jego palcu.

– Na ziemi koło zsypu. Była owinięta tylko w koc. – Głos Watrakowej wciąż brzmiał piskliwiej niż normalnie.

Kolejne dni mijały Sylwii jak sen. Codziennie przychodziła do domu Romów, żeby zobaczyć znalezione niemowlę. Pani Watrak zawsze miała je przy sobie. Nosiła je w chuście na brzuchu albo trzymała na kolanach i przemawiała do niego czule. Karmiła je mlekiem z proszku i ubierała w rzeczy po Tonim. Każdego dnia Sylwia słyszała, jak dorośli z rodziny Andrzeja zastanawiają się, co dalej robić. Uważali, że nie mogą zatrzymać dziecka, ale bali się powiadomić milicję, ponieważ ojciec Andrzeja pracował, robiąc nie do końca legalne rzeczy.

– To co teraz będzie? – dopytywała się Sylwia. – Dziecko głośno płacze, ktoś na pewno w końcu usłyszy. Nie ukryjecie tego.

– Mama też się martwi – stwierdził chłopiec. – Tata mówi, że narobimy sobie kłopotów Azą. I że nic dobrego dla nas z tego nie wyniknie.

Było coś znajomego w opowieści, którą Sylwia usłyszała. Ta historia otwierała inną, która dotyczyła jej samej.

Wieczorem Kaszmir wręczyła jej worek ze śmieciami.

– Tylko zaraz wracaj – dodała, gdy dziewczynka wsunęła tenisówki i zaczęła mozolnie wiązać sznurowadła.

Na dworze wciąż było wilgotno i wietrznie. Sylwia naciągnęła na głowę kaptur wełnianego rozpinanego swetra, ale i tak skórę miała sztywną z zimna.

Pies szczekał na parterze, wysuwając pysk zza prętów balkonu, gdy dziewczynka była już dwa kroki od niskiego budynku, gdzie za siatką stały kontenery ze śmieciami. Czuła zapach zbutwiałych liści, resztek jedzenia i wilgoci. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je rozchyliła, a środek wypełniała ciemność rozdzielona tylko jednym niedużym prostokątem światła, padającym na podłogę koło kontenera.

„Czy tu leżała Aza? – zastanawiała się, a strach nie pozwolił jej wejść głębiej. – Ile czasu tu leżała? Dlaczego to takie ważne?”

– To twoje buty na jesień? – Mama Olgi ze zdumieniem popatrzyła na tenisówki Sylwii, kiedy odbierała ją ze szkoły. – Jedyne? – W ostatnim słowie zabrzmiało przerażenie.

Zamiast pojechać do domu Zalewskich, gdzie dziewczynki miały spędzić popołudnie, udały się do hali targowej. Sylwia jeszcze nigdy tam nie była, za to Olga znała niemal każdy stragan.

Ledwie weszły do środka, rzuciła się biegiem w głąb korytarza rozdzielającego dwa pasaże, a Sylwia pobiegła za nią. Przyciskały nosy do szyb, oglądały wystawy sklepów, Sylwia śmiała się, gdy Olga robiła miny do sprzedawczyń.

Zakupy z mamą wyglądały inaczej: Kaszmir zginała podeszwy butów, wodziła palcami po szwach, oglądała zelówki i zapięcia i dopiero kiedy but wydawał się jej praktyczny, pozwalała Sylwii go zmierzyć.

Zalewskiej nie obchodziły zelówki i podeszwy.

– Może te? Byłoby ci w nich ładnie. – Podała Sylwii półbuty z frędzlami przypominającymi te tradycyjnie noszone przez Indian. Miały złotą wkładkę i zapięcie z błyszczącym sercem. – Ładne, prawda?

Olga przytaknęła skwapliwie.

– Są prześliczne! Sylwia, proszę, wybierz je!

– Kochanie, nie podobają ci się? – Zaniepokojona kobieta kucnęła przy dziewczynce.

Sylwia skinęła głową. Miała nadzieję, że mama koleżanki zrozumie, jak bardzo chce mieć te buty.

Zalewska ponad jej ramieniem spojrzała na Olgę, a potem na sprzedawczynię.

– Sylwio? Skarbie?

Dziewczynka poczuła na policzku jej dłoń, a potem chłód palców na czole. W brzuchu urosły jej kamienie. Nie zastanawiając się, zarzuciła kobiecie ręce na szyję i przytuliła się do niej.

– O, moje kochanie – powiedziała Zalewska, kołysząc dziewczynkę w ramionach. Chusteczką wytarła jej nos i brodę. – No już, dobrze. Już dobrze, jasne, że kupimy te buty. Są twoje.

W nocy obudziły ją hałasy. Kaszmir była już w pokoju i rozchylała zasłonę w oknie, zza której bił silny niebieskawobiały blask.

– Zabierają Cyganów – rzuciła szeptem.

Zimne powietrze ciągnęło po parkiecie i wędrowało wzdłuż bosych stóp dziewczynki, kiedy podbiegła do okna. Musiała się wspiąć na palce, żeby zobaczyć parking położony w dole między kamienicami. Scena przypominała kino akcji. Na parkingu stały dwa wozy milicji. Mundurowi właśnie wyprowadzali z klatki ojca Andrzeja. Miał na sobie tylko spodnie od pidżamy i podkoszulek. Watrakowa też została zmuszona do wyjścia na zewnątrz. Płakała i gestykulowała, coś tłumacząc.

W oknach pojawiło się więcej sąsiadów. Powychodzili na balkony, otuleni bluzami i kocami. Sylwia zauważyła Andrzeja z Donką i Tonim.

– Zanosiło się tam na coś? – spytała Kaszmir. Niebieski blask rozświetlał jej twarz. – Trzymasz się przecież z chłopakiem od nich. Co zmalowali?

Sylwia nie mogła oderwać oczu od bosych stóp Andrzeja. Patrzyła, jak Toni przytula się do Donki.

– Znaleźli dziecko – odpowiedziała drętwo.

– Gdzie? – Kaszmir się zdumiała. – U nas na osiedlu? Co ty mówisz? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

Milicjant właśnie wynosił niemowlę, więc tajemnica już nikogo nie obowiązywała.

Pobiegła do Watraków zaraz po śniadaniu, ledwie Kaszmir pozwoliła jej odejść od stołu.

Zdyszana wspięła się po schodach i zapukała do drzwi. Otworzyła jej Donka z nożem w ręce i bochenkiem chleba w drugiej dłoni. Przesunęła się, by zrobić Sylwii miejsce.

Noc odmieniła mieszkanie Watraków. Wcześniej było tu przytulnie, a pomieszczenia wydawały się wręcz ciasne, ale teraz, bez rodziców Donki, Sylwia pierwszy raz miała wrażenie, że to ogromna, pusta, brzydko urządzona przestrzeń, gdzie tapety niemal spadają ze ścian, dywany przypominają ścierki do podłóg, a segmenty są zabałaganione. Andrzeja zauważyła dopiero po chwili. Chłopiec siedział przy oknie, tęsknie wyczekując rodziców.

Stara Watrakowa odezwała się w nieznanym Sylwii języku, załamując dłonie. Donka w tym czasie poszła do kuchni, więc Sylwia ruszyła za nią. Grające tam radio nie pasowało do napięcia wyczuwalnego w mieszkaniu.

– Nie wiem, co to będzie – mamrotała Donka, krojąc chleb na blacie. – Dzisiaj przyjedzie wujek i dowie się, co z rodzicami. Powinni ich wypuścić, nic na nich nie mają.

Pustka po zniknięciu niemowlaka zdawała się wypełniać wszystkie kąty. Sylwia bała się dotknąć kocyka porzuconego na krześle, w który Watrakowa owijała Kosmę. Przerażała ją grzechotka leżąca na stole, małe skarpetki i butelka z resztką mleka.

– Nie wiem, co robić. – Donka wytarła nos rękawem. – Mówiłam, żeby oddać to dziecko, zanim znajdzie je milicja. Narobiliśmy sobie kłopotów głupią Azą.

W „Wieczorze Wybrzeża” pojawił się artykuł o Watrakach. Kaszmir przyniosła gazetę do domu, usiadła w fotelu, założyła nogę na nogę i wpatrzyła się w czarno-białą fotografię matki Andrzeja.

– Brzydko jej w tej fryzurze – stwierdziła. – Nie wygląda dobrze, ludzie nie będą jej lubić.

Sylwia zajrzała jej przez ramię. Watrakowa rzeczywiście nie wyglądała na zdjęciu korzystnie. Wykrzywiła usta i zmrużyła oczy, jakby była zła na cały świat. Dziewczynka zaczęła się martwić, że Kaszmir ma rację – nikt nie uwierzy, że matka Andrzeja kochała Azę i tak naprawdę uratowała jej życie.

Kiedy po południu rzucała drobnymi kamykami w okno Andrzeja, by wyszedł na dwór, chłopiec wychylił się tylko na chwilę.

– Nie mogę dzisiaj wyjść, Sylwia. Czekamy na wujka, ma wrócić z rodzicami.

– Wypuścili ich? – Ucieszyła się.

– Musieli. Przecież nie zrobili nic złego!

– A co z Azą? – Sylwia odruchowo ściszyła głos. – Czy ona też z nimi wróci?

– Nie, nie dadzą jej nam.

Nie usłyszała kroków, więc dopiero gdy minął ją ojciec Andrzeja, uświadomiła sobie, dlaczego chłopiec tak nagle zamilkł. Watrakowa, z półprzymkniętymi zaczerwienionymi oczami i śmiertelnie bladą twarzą, wyglądała jak zombi.

– Idź do domu, kobieto! – Ojciec Andrzeja się denerwował. – Nie rób widowiska!

Jak na potwierdzenie jego słów na balkonach pojawili się ciekawscy sąsiedzi. Wychylali się przez barierki, podchodzili do okien. Watrak machnął rękami, jakby wypędzał ptaki z pola.

– Przedstawienie zakończone! – wołał. – Nie ma na co się gapić! Do domów! Wszyscy do domów!

8

Współcześnie

– Mam kobietę chorą na anemię aplastyczną. Musi szybko znaleźć biologiczną rodzinę – informuję przez telefon Michała, mojego dawnego kolegę, a obecnie producenta popularnego porannego programu w telewizji.

– Znasz naszą formułę. Nie rozmawiamy o trudnych tematach w telewizji porannej.

– Dla niej liczy się każda chwila, a twój program ma dużą oglądalność.

Kolega ku mojemu zdziwieniu nie kończy rozmowy. Wspomina, że może zgłosić temat na kolegium redakcyjnym, ale nie sądzi, żebyśmy poszli z nim dalej.

– Ludzie nie lubią od rana słuchać o tragediach.

Podaję mu kilka informacji z nadzieją, że go poruszą:

– Została adoptowana, nie zna nikogo z biologicznej rodziny, ale pamięta, że miała siostrę.

– Robi się dramatycznie… Anemia aplastyczna, tak? – Michał chrząka. – Mów dalej. Czy ta choroba jest dziedziczna albo może częściej występować w obrębie jednej rodziny?

Nieruchomieję. Nie pomyślałam o tym. Nie pomyślałam, że siostra Sylwii mogła umrzeć na tę samą chorobę.

Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z Romami, więc rodzina Watraków, mieszkająca w czteropokojowym mieszkaniu w dzielnicy Sylwii, wywiera na mnie duże wrażenie. Wokół Romów narosło tak wiele legend i mitów, że pogubiłam się w tym, gdzie leży prawda. Najstarsza kobieta, o twarzy pomarszczonej jak wysuszony owoc, na mój widok owija się czarną chustą i ostentacyjnie przesiada się na kanapę, jakby chciała podkreślić, że nie zamierza brać udziału w nagraniu. Wyczuwam, że wkraczam w jakąś jej intymną sferę, czego być może nie powinnam robić, ale jest już za późno na odwrót. Od chwili, kiedy weszłam do ich mieszkania, nie padło ani jedno słowo.

Spojrzenie kobiety, rzucone spod trochę opadniętych powiek, prześwietla mnie jak laser, czujnie biegnie po moich umalowanych na czerwono paznokciach, po dopasowanej koszuli i ołówkowej spódnicy z rozcięciem sięgającym uda. Czuję się tak, jakby potrafiła zobaczyć wszystko, zrozumieć nawet to, co udało mi się ukryć przed resztą ekipy.

– Sylwia i Andrzej poznali się jako dzieci – zaczyna opowiadać Donka, śliczna kobieta o rumianych policzkach i pełnych ustach, które pomimo braku makijażu wyglądają jak umalowane. – Andrzej przyszedł do mnie do pokoju i powiedział – zmienia głos na bardziej męski – „Wiesz, Donka, chciałbym się z nią kiedyś ożenić”.

Uśmiecham się, ona też się śmieje.

Ich mieszkanie wydaje się przytulne, chociaż trochę zagracone. Finezyjnie upięte staromodne zasłony w oknach mają duże falbany, dobrano do nich poduszki na kanapie. Na każdym wolnym centymetrze powierzchni stoi jakaś ozdoba. Drewniane miski w ludowym stylu, kolekcja porcelanowych figurek, tandetne świeczniki suto wykładane błyszczącymi paciorkami.

Staruszka odzywa się w obcym języku, więc rzucam pytające spojrzenie na jej wnuczkę.

– Babcia mówi, że tracisz czas – tłumaczy Donka, trochę zakłopotana słowami kobiety.

– W jakim sensie?

– Babcia twierdzi, że ona nie istnieje.

– Kto?

– Siostra Sylwii. Gonicie za cieniem.

Wyczuwam ruch Jacka za kamerą. Spoglądam staruszce w oczy.

– Co to znaczy? Zapytaj, skąd jej się to wzięło.

– Babcia cię rozumie. – Donka ścisza głos. – Bardzo dobrze zna język polski, ale nie z każdym ma ochotę rozmawiać po polsku.

– Ze mną nie zamierza pani rozmawiać po polsku? – zwracam się do staruszki.

Jej dłonie przypominają pobielałe gałęzie drzew, kiedy zaciska je na brzegach czarnej haftowanej chusty. Wciąż odpowiada w obcym języku, a Donka tłumaczy:

– Babcia mówi, że nic dobrego nie przyjdzie z szukania tej dziewczyny. Uważa, że wykopiesz tylko głębokie doły i Sylwia w nie wpadnie.

– Lepiej już się pakujcie – prosi Donka niemal pół godziny później, niespodziewanie przerywając nagranie. Nerwowo wygląda przez okno. – Naprawdę lepiej się pospieszcie. Wrócił tata, a on nie lubi dziennikarzy.

Przypominam, że robimy reportaż o Sylwii, w dodatku na jej prośbę i mamy zgodę rodziny. Nie weszliśmy do ich domu bezprawnie, poza tym nie dysponujemy nieograniczoną ilością czasu. Dzisiaj chcemy wykonać większość ujęć i w weekend zająć się montażem materiału.

– Tak, wiem, ale… Schowajcie kamerę, dobrze? Nie mówcie, że jesteście dziennikarzami. – Cała radość i odwaga Donki gdzieś ulatują. Kobieta zaczyna się kołysać na piętach, jakby tańczyła. – Proszę, nie mówcie, że jesteście dziennikarzami.

Zbieramy kosmetyki, Jacek wsuwa za siebie statyw i chowa kamerę do pokrowca, a Asia składa notatki. W tym czasie słyszymy szybkie kroki na klatce schodowej, ktoś naciska klamkę, drzwi się otwierają i w korytarzu pojawia się niski, krępy mężczyzna w sportowej kurtce i spranych dżinsach. Nawet nie przystaje w progu, z odległości niemal całego pokoju czuję jego oddech po dniu pełnym kawy i papierosów.

– Kto to? – zwraca się do Donki, nie spuszczając z nas oczu.

– Jesteśmy dziennikarzami – odpowiada asystentka Jacka i uświadamiając sobie, co właśnie powiedziała, wciąga głośno powietrze.

Mężczyzna robi krok w moją stronę.

– Jazda stąd! – Wskazuje gestem drzwi, a jego oczy mrużą się z gniewu.

Posyłam Donce szybkie spojrzenie, a ona wstawia się za nami.

– Robią program o Sylwii. To Sylwia ich prosiła.

– Jazda! – Mężczyzna z hukiem otwiera drzwi, aż uderzają o futrynę.

– Oni robią program o Sylwii. – Donka mocniej kołysze się na piętach. – Sylwia ich zaprosiła. Mają pomóc w znalezieniu jej biologicznej siostry. Wiesz, tato, jakie to ważne… Chodzi o dawcę. Sylwia…

– Zabierać się stąd! Jazda! Już! Sylwia nie musi szukać przyjaciół wśród dziennikarzy!

Mężczyzna raptownie wkracza do pokoju, więc odruchowo cofam się pod okno, ale to nie ja jestem jego celem. Łapie Asię za rękę i ciągnie ją do przedpokoju, niemal wlecze, a ona powtarza wystraszonym głosem:

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Wypierdalać! Nie chcę was tu więcej widzieć! – krzyczy tak głośno, że słychać go chyba w całej kamienicy. Przestaje też mówić po polsku, tylko szybko wyrzuca słowa w języku,

którego nie rozumiem, ale domyślam się, że wyrzeka na mnie i na Jacka, kiedy w pośpiechu zbieramy resztę rzeczy i niemal biegiem rzucamy się do drzwi.

Ostatni obraz, jaki zabieram ze sobą, to widok wystraszonego chłopca trzymającego się spódnicy Donki.

– Odpowie pan za to! – Unoszę się gniewem już na klatce schodowej i wygrażam Watrakowi palcem.

– Jak tu wrócisz, zrzucę cię ze schodów! – odkrzykuje mężczyzna, a wyraz jego oczu świadczy o tym, że nie żartuje.

– Co to było, do licha? – Na półpiętrze zdyszany Jacek ogląda się za siebie.

– Nie mam zamiaru więcej tu wracać! – woła asystentka piskliwym głosem, gnając po dwa schody w dół.

W notatkach odnajduję imię i nazwisko dziennikarza, który w 1984 roku napisał kilka artykułów o Niebieskiej Dziewczynce. Szukam go przez smartfona na Facebooku, ale nie znajduję, więc przeglądam inne portale społecznościowe. W końcu dzwonię do gazety, dla której pisał, i ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że nadal tam pracuje. Umawiamy się na popołudnie następnego dnia.

Śnieg pęka jak lód pod naszymi butami, kiedy kierujemy się w stronę głównego dworca PKP. Nigdy tu nie byłam: wahadłowe ciężkie drzwi, a za nimi szeroki, jasny hol z wysokim sufitem i McDonaldem po lewej stronie od wejścia. Zegar powieszony w środku, tuż przy tablicach z rozkładem przyjazdów i odjazdów, wybija godzinę jedenastą.

– Sfilmuję tamto przejście. – Jacek ustawia statyw na środku korytarza, w miejscu, gdzie kładą się długie cienie, a schody biegną w górę, na perony.

Chce namówić Sylwię, żeby tu przyjechała. Uważa, że powinniśmy nakręcić z nią kilka ujęć: rzut kamery na dorosłą kobietę, która dawno temu przeżyła w tym miejscu dramat. Nigdy nie podważał tematów, po które sięgałam, ale teraz po raz pierwszy w jego głosie wychwytuję obawę.

– W tej historii jest coś dziwnego – podejmuje. – Nie daje mi spokoju, że biologicznej matce Sylwii udało się przez kilka miesięcy ukrywać porzucenie dziecka. Może teraz żyjemy w zglobalizowanym świecie i mamy do czynienia z ogromnym przepływem informacji, którego w latach osiemdziesiątych nie było, ale… sama powiedz. Jest w tym coś niepokojącego, co nie trzyma się kupy – mówi tak, jakby nalegał, żebym się z nim zgodziła.

Ma rację, przecież Monika Stefaniak po porzuceniu córki musiała gdzieś wrócić. Dokąd poszła? Musiała mieć jakiś dom, sąsiadów, znajomych, pracę. Dziewczynka być może chodziła do żłobka albo przedszkola… Trzyletnie dzieci nie siedzą w domu z samotnymi matkami. Samotne matki muszą pracować, żeby zarobić na utrzymanie.

„Grudzień to nawet nie koniec semestru – myślę. – Nie można porzucić dziecka, tak by nikt tego nie zauważył. Gdzie miały oczy przedszkolanki, skoro nie rozpoznały zdjęcia dziewczynki w gazetach? Gdzie byli sąsiedzi Moniki Stefaniak?”

– Każdy kogoś ma, choćby kuratora albo sąsiadów – stwierdza Jacek.

Oko kamery skupia się na plecach kobiety odchodzącej tunelem dworca. Potem ujmuje paroletnie dziecko wałęsające się wzdłuż ściany, blisko drzwi wyjściowych.

Do kas biletowych ustawiły się długie kolejki, bezdomny rozłożył matę pod kaloryferem, para policjantów zmierza do niego, nie dostrzegając, że dziewczynka znalazła się już przy

drzwiach wahadłowych. Ruszam w jej stronę, ale wyprzedza mnie jakaś kobieta. Zdyszana, łapie dziecko za ramię.

– Gdzie ty się szwendasz?! – Podnosi głos. – Na dwie minuty spuściłam cię z oczu! Zwariować z tobą można!

Silnik samochodu krztusi się, gaśnie i znowu podrywa się do pracy. Przez szybę spoglądam na rozświetlony dworzec, który zostawiamy za sobą. Droga wydaje się bardziej nierówna i pełna kolein, niż gdy jechaliśmy nią po raz pierwszy. Zostawiamy za sobą Gdynię, nad którą zdążyło pociemnieć niebo. Samochód podskakuje na wybojach, spod kół chlapie błoto zmieszane ze śniegiem.

Mgła spływa ze zbocza i otula obwodnicę Trójmiasta na wysokość półtora metra, przez co ledwie widzę budynki i drzewa znajdujące się po obu stronach drogi. Wjeżdżamy w mleczny kocioł, reflektory samochodu są w stanie wyłowić tylko kilka najbliższych metrów.

Sylwia nie prosi o pieniądze ani o rozgłos. Nie zależało jej przecież na fundacji i datkach od ludzi, nie dopytuje się o numer konta i emisję programu. Jest skupiona na znalezieniu rodziny i na mojej pomocy. Dlaczego więc zrodził się we mnie cień wątpliwości?

W hoteliku panuje błoga cisza. Poza zaczytaną w książce recepcjonistką nie widzę żywej duszy. Jedyny dźwięk, jaki słyszę na ciemnych korytarzach, to własne kroki i oddech.

– Proszę pani! – woła mnie recepcjonistka. Przypomina, że doba hotelowa skończyła się kilka godzin temu i zaczęła się nowa, za którą nie zapłaciłam.

– Już, zaraz zapłacę, przepraszam. – Zamieram z ręką w przegródce torebki, gdzie powinien się znajdować portfel. Chyba zostawiłam go w pokoju, myślę, ale potem nabieram pewności, że poprzedniego dnia miałam go w torebce. Moje spojrzenie ucieka do okna, niemal całego zasypanego śniegiem. Mimo że w holu jest ciepło, przenika mnie zimny dreszcz. Przypominają mi się wysocy chłopcy stojący pod klatką schodową kamienicy Sylwii, ich macające mnie ręce, podniesione głosy, które miały odwrócić moją uwagę.

Nie mogę w to uwierzyć! O Boże! Mam ochotę uderzyć się dłonią w czoło, palce zaciskają mi się w pięści. Okradli mnie! Okradli mnie!

Wychodzę przed budynek, żeby recepcjonistka nie słyszała mojej rozmowy. Wykręcam numer do banku. Jestem pewna, że nastolatki nie są aż tak sprytne i zajmie im trochę czasu, zanim rozszyfrują mój PIN, ale mimo to pytam, czy z konta pobrano jakieś pieniądze.

– Wybrała pani z karty kredytowej dwa tysiące pięćset złotych – słyszę w telefonie i omal nie potykam się o próg przy drzwiach.

– Co? Ile? Może pani powtórzyć, bo chyba źle usłyszałam?

Rozmowa z policją nie przynosi rezultatów. Obiecali, że znajdą chłopców, ale uprzedzili, że jeśli któryś z nich nie będzie miał przy sobie mojego portfela albo gotówki, z której nie da rady się wytłumaczyć, policja nie ma możliwości o nic ich oskarżyć. Bez większego zainteresowania wysłuchano też mojej sugestii, by sprawdzić, z którego bankomatu pobrano pieniądze, a potem przejrzeć taśmy z monitoringu.

– Oczywiście, zajmiemy się tym – odpowiada policjant takim tonem, jakby miał mnie dość.

Wracam piechotą do dzielnicy Sylwii, czego nie ułatwiają wysokie obcasy moich kozaków i uparcie sypiący śnieg. Mróz ściął wodę w kanale i wszystkie kałuże, przez co mam wrażenie, jakbym poruszała się w nierealnym świecie lodu i świateł latarni ulicznych. Szukam nastolatków wśród dzieciaków opierających się o siatkę okalającą boisko szkolne, a potem

przy sklepie monopolowym. Jest tak zimno, że cała drżę, a stopy mi lodowacieją. Ogrzewam ręce, chuchając na nie, ale to nie pomaga. Nigdzie nie widzę chłopców – zniknęli, jakby spodziewali się, że wrócę. Zresztą na pewno tak właśnie było.

Jest dopiero wczesne popołudnie, ale nad dzielnicą zapadł już grudniowy zmrok. W światłach latarni mój cień ma długość prawie dwóch metrów, a dzielnica zaczyna przypominać ponure miejsce jak z katastroficznych filmów fantasy, w których świat pogrąża się w zagładzie: ciemne okna, odrapane tynki kamienic. Trafiam na kosz na śmieci stojący blisko wejścia do klatki Sylwii. Spod śniegu wyciągam złamany patyk i grzebię w resztkach jedzenia, papierach i wilgotnych reklamówkach.

– Nie wiedziałam, że pani jeszcze na posterunku! – woła sąsiadka Sylwii, otwierając kluczem drzwi do zsypu i patrząc na mnie spod nisko naciągniętej na oczy czapki. Uśmiecha się od ucha do ucha: – A mówi się, że dziennikarze dobrze zarabiają!

Portfel zauważam od razu po wejściu, leży na wierzchu pierwszego z brzegu kontenera. Rękawem strzepuję z niego obierki ziemniaków i szkielet makreli. Tak jak sądziłam, zniknęły pieniądze i karty kredytowe, chłopcy zostawili mi jednak dowód osobisty i zdjęcia moich rodziców. Ich widok sprawia, że złość nagle wyparowuje, zostawiając mnie z poczuciem smutku i bezradności. Palcem dotykam fotografii mamy, zdjęcia ojca, gładzę policzek mojego brata, ukryty za folią.

– Mam problem z portfelem. – Nienawidzę kłamać ani tym bardziej budzić w ludziach współczucia, więc zamiast spojrzeć recepcjonistce w oczy, podpieram głowę na ręce i wpatruję się w słoje drewna na blacie.

– Ojej, to straszne. – Kobieta wzdycha ze współczuciem, ale wyczuwam jej narastającą nieufność.

– Czy mogę zostać w pokoju chociaż do rana i pokryć część kosztów doby hotelowej?

Recepcjonistka prostuje się na krześle.

– Pani jest dziennikarką – uśmiech rozświetla jej twarz – więc wyjątkowo może pani zostać do jutra. Jakoś to załatwimy.

W pokoju nie mogę znaleźć sobie miejsca, czuję, że powinnam zająć czymś myśli. Za oknem nic nie widać, jest tylko biała ściana z wiatru i śniegu. Światła latarni ledwie przebijają się przez zadymkę, na chodniku nie dostrzegam żadnych przechodniów.

Włączam jedną z płyt DVD, które dała mi Sylwia. „Kwiecień 2013 roku", czytam w nagłówku filmu. Musiała go nagrać w swoim mieszkaniu – za ramionami kobiety rozpoznaję znajomą tapetę w drobne kwiatki.

Sylwia rozpoczyna opowieść, a ja przypominam sobie, że kiedyś, gdy byłam mała, przyszłam zimą z rodzicami nad morze. Było wczesne przedpołudnie. Morze wyglądało jak na najbardziej surrealistycznych obrazach: zastygłe pod lodem fale, czarne ostrogi na tle bieli śniegu i wygłodniałe mewy. Weszliśmy na lód, żeby zobaczyć dziwne formy utworzone przez mróz koło ostróg.

– Uważaj! – ostrzegła mama.

– Lód nie pęknie przy tej pogodzie – odparł z przekonaniem tata.

Mama zatrzymała się jednak i wyciągnęła do mnie rękę.

– Postój ze mną, nie idź dalej, Pola.

Obejrzałam się za tatą.

– Nic jej się nie stanie – zapewniał. – Jest bezpiecznie.

O wiele cięższy ode mnie, bez problemów pokonał kolejne metry. Zignorowałam więc napominania mamy i poszłam za nim. Zrobiłam ledwie kilka kroków, gdy usłyszałam cichy trzask, jakby pękło niewielkie szkło. Tata akurat stał tyłem i podziwiał lodowe formy, a mama powoli odchodziła na brzeg. Rozległ się kolejny trzask, bliżej moich nóg. Popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że pod lodem coś się poruszało. Małe pęknięcia rozchodziły się wokół moich butów i stawały się coraz dłuższe. Nie zdążyłam krzyknąć ani się cofnąć. Nagle lód ustąpił mi spod nóg i wpadłam po czubek głowy do lodowatej wody, która zamknęła się nade mną, jakby ktoś zatkał korkiem butelkę.

– Pola! – Mama rzuciła się w moim kierunku.

Teraz lód pękał już wszędzie wokół, mama po pachy zatonęła w wodzie, tak zimnej, że zapierała dech. Śnieg spowalniał ruchy, a gruby wełniany płaszcz ciągnął ją w dół.

– Mam ją! – Tata złapał mnie i poderwał do góry. – Jest przytomna! – Ledwie mówił ze zdenerwowania. – Szybko do domu! – Wyciągnął rękę do mamy, która złapała się go, z trudem brnąc do brzegu.

Nie potrafiłam powstrzymać dreszczy, czułam, jak mokre ubranie sztywnieje na mnie niczym pancerz. Skóra szczypała, dłonie piekły.

– Będzie chora! – Mama się denerwowała. – Ma słabe płuca, trzeba uważać.

Rozpłakałam się i próbowałam objąć tatę za szyję, ale ręce zdrętwiały mi z zimna.

– Ostrzegali! – krzyczała mama, roztrzęsiona.

Ojciec zauważył moje spojrzenie i położył palec na ustach, nakazując mamie, by była cicho.

„[…] urodziłam w wannie”.

Coś mi umknęło. Podrywam głowę, wsłuchując się w dźwięk dobiegający z głośnika. Ale Sylwia mówi już o czymś innym. Cofam więc nagranie o minutę i staram się uważnie słuchać.

„Byłam wtedy sama w mieszkaniu. – Po pokoju roznosi się jej dźwięczny cienki głos. – Wiedziałam, że już czas, a jednocześnie, że tego czasu nie mam wiele. Było za późno. Mieliśmy głęboki brodzik, w którym kucnęłam i… po prostu to zrobiłam: urodziłam w wannie. Tak na świat przyszła Maja”.

Ogarnia mnie szacunek i lęk, a potem niesmak, który pozostaje najdłużej. Kim ona jest? – zastanawiam się. – Jak w dzisiejszych czasach można urodzić dziecko samej w domu, bez żadnej pomocy?

9

Współcześnie

– Nie możecie tam wejść z kamerą – stwierdza kobieta, którą spotykamy przy recepcji pogotowia opiekuńczego, gdzie pracuje Sylwia. – Dam wam przepustki, Sylwia uprzedziła, że przyjdziecie. Pan może zabrać ze sobą aparat fotograficzny, ale i tak na upublicznienie zdjęć będzie potrzebna zgoda rodziców dzieci.

– Nie ma problemu, nie zrobię ujęć twarzy – uspokaja Jacek.

„Doskonały ma być człowiek, który tak samo myśli, mówi i czyni", czytam na plakacie wiszącym w holu i nie wiem dlaczego, ale zaczynam się strasznie denerwować. Głos Sylwii dobiega zza zamkniętych drzwi, towarzyszy mu chór dziecięcych okrzyków i śmiechów. Najchętniej już bym do niej dołączyła, ale Jacek zatrzymuje mnie przy drzwiach do jadalni.

– Poczekaj, zrobię kilka ujęć, może się przydadzą.

Niezdecydowana staję w progu, starając się omijać wzrokiem dzieci, one jednak jakby nachalnie cisną mi się przed oczy. Dziewczynka, może czteroletnia, korzystając z zamieszania wywołanego wejściem Jacka, właśnie wsunęła kawałek chleba do rozprutego misia, z którym usiadła przy stole. Patrzę na jej wystraszoną twarz, gdy nerwowo rozgląda się dookoła. Nasze oczy się spotykają i dziecko aż otwiera usta ze strachu, a do mnie dociera, że jest tak chude, iż na tym ciele mogłabym się uczyć anatomii.

– Kamień, nożyce, papier! – woła mały chłopiec w rogu jadalni i ściska dłoń, a drugi siedzący przy nim rozprostowuje palce.

– Wygrałem!

Jacek fotografuje wnętrze, a ja wpatruję się w plastikowe sztućce, które wyłożono na stół. Zauważam nastolatkę, wysoką i szczupłą, z włosami ściętymi na zapałkę. Moje spojrzenie zsuwa się na jej rękę, naznaczoną bliznami jak tatuażem. Spuszczam wzrok jeszcze niżej, na poplamiony obrus.

– Jesteście! – Sylwia w cienkiej bawełnianej czapce i z uszminkowanymi ustami wygląda pogodnie i tylko cienie pod oczami oraz jej chudość słabo ukryta pod luźnym białym topem i dżinsami świadczą o chorobie. – Witaj, Pola!

Ku mojemu zdziwieniu na powitanie całuje mnie w policzek. Nie jestem przyzwyczajona do takich ciepłych gestów i na pewno widać to po mnie na kilometr, ale ona nie cofa ręki z mojego ramienia.

– Poznaliście naszych podopiecznych? – Nie przestaje się uśmiechać.

– Dziewczynka schowała jedzenie do misia – bąkam w korytarzu, oglądając się na drzwi do jadalni.

– Och, to nic takiego! – Sylwia zaciska palce, jakby chciała dodać mi otuchy. – Zawsze tak robią te dzieci, które w domach nie miały jedzenia. Musimy zamykać przed nimi śmietniki, bo potrafią zbierać obierki z ziemniaków. Ale nie martw się, tutaj nie są głodne. Robią to, ponieważ się boją, ale jedzenia mają pod dostatkiem.

Jacek snuje się za nami po korytarzu jak cień, chyba równie jak ja przybity otoczeniem i sytuacją. W niewielkiej sali podzielonej kolorowymi stolikami, gdzie prowadzi nas Sylwia, rozkłada sprzęt do fotografowania.

Dzieci, które wcześniej widziałam w jadalni, wchodzą do środka. Siadam w ostatnim

rzędzie, żeby nikomu nie przeszkadzać, a koło mnie na krzesło opada dziewczynka, która schowała jedzenie w misiu. Żeby na nią nie patrzeć, gapię się na tapetę na ścianach, ale i tak wyczuwam każdy jej ruch, a nawet oddech.

– Chciałabym, żebyście narysowali swoją rodzinę. – Sylwia spaceruje między rzędami utworzonymi przez podopiecznych, a siedząca koło mnie dziewczynka szybko sięga po kredki. Zerkam kątem oka. Spod jej palców wyłania się patykowata męska postać.

– Co narysujesz? – Sylwia kuca przy nastolatce o przedramionach pooranych bliznami i łagodnie zagląda jej w twarz.

Tamta kręci głową na znak, że jeszcze nie wie.

– Nie zastanawiaj się długo. Narysuj to, co czujesz.

Nastolatka posłusznie sięga po pędzel i moczy go w farbie.

– Pola, ty też się włącz – Sylwia uśmiecha się do mnie – skoro już tutaj jesteś. – Stanowczo podsuwa mi blok i kredki.

Nie rysowałam, odkąd skończyłam szkołę średnią, nigdy zresztą nie lubiłam plastyki. Kiedy teraz patrzę na kredki, wraca niechęć wynikająca ze wspomnienia rywalizacji, która towarzyszyła mi przez całą edukację, od podstawówki aż po studia. Nie lubiłam plastyki, ponieważ jedynie na tej lekcji liczył się talent, a nie pracowitość i dyscyplina. Stawałam na głowie, żeby być najlepsza, ale to się nie udawało. Boże, nie myślałam o tym od lat, a teraz nagle widzę siebie z tamtego okresu jako prymuskę: najlepszą, piątkową czy szóstkową uczennicę, którą wszyscy chwalili. Jako pierwsza kończyłam zadania klasowe, podnosiłam rękę, gdy padały trudne pytania, i nigdy nie zdarzyło mi się przyjść do szkoły nieprzygotowaną.

– Kochanie, kogo narysowałaś? – Sylwia jest już przy mojej małej sąsiadce.

Dziewczynka podnosi na nią trochę wystraszony wzrok.

– To twój brat?

– Tatuś.

– Bardzo ładnie. – Sylwia marszczy brwi nad rysunkiem. – A dlaczego narysowałaś mu takie duże ręce?

Dziewczynka częściowo pokolorowała już postać mężczyzny na szaro, jego ręce zaznaczyła jednak pomarańczowym kolorem i pogrubiła ich kontury.

– Jego ręce są najważniejsze, prawda? – podpowiada Sylwia łagodnie, tak jak zwracają się matki do gorączkujących dzieci w reklamach telewizyjnych.

Dziewczynka z powagą kiwa głową.

– Co robią ręce taty? – pyta Sylwia dalej, a ja nieruchomieję wpatrzona w głowę dziecka, na której ciemne włosy rozdzielają się, odsłaniając przedziałek jasnej skóry.

Mija długa chwila, nim dziecięcy głosik odpowie:

– Biją mamusię i mnie.

W ogrodzie za budynkiem leży tak wiele śniegu, że tonę w nim po kolana. Najchętniej bym uciekła, ale brakuje mi sił.

– Przepraszam – mówię, gdy zbliża się Sylwia. Wczepiłam palce w białych rękawiczkach w oczka siatki, która ogradza budynek, i teraz ogarnia mnie pewność, że stoję tylko dzięki temu.

– Chodź. – Sylwia wyciąga rękę zapraszającym gestem.

Prowadzi mnie do pomieszczenia na tyłach ogrodu, które z daleka przypomina szopę, ale

w środku okazuje się miejscem do pracy z podopiecznymi. Tam w kantorku parzy mi herbatę i dodaje do niej miodu. Zamyślona, nie zwraca na mnie uwagi. Zbliżam się do korkowej tablicy, do której przyczepiono rysunki. Tak wiele tu historii, aż boję się czytać. Moją uwagę przyciąga twarz mężczyzny narysowana wprawną ręką jakiegoś nastolatka. Pod spodem zauważam podpis „Krzysiek, 14 lat". Z bliska przyglądam się sennym oczom patrzącym z kartki, małym źrenicom przypominającym łebki od szpilek. Czy to ojciec Krzyśka? Był narkomanem? To tak zapamiętał go syn?

Sylwia włącza radio. Ciszę rozrywają dźwięki utworu Pharrella Williamsa *Happy*.

Because I'm happy.

Clap along if you feel like a room without a roof.

Because I'm happy…

Sylwia tymczasem szuka czegoś w stercie rysunków.

– To moja praca. – Podaje mi kolaż wykonany ze ścinków materiałów.

– Jak to twoja? – Zastanawiam się, czy dobrze ją zrozumiałam. Zaskoczona przypatruję się czterem narysowanym na kartce postaciom.

– Trafiłam tu, kiedy miałam dwanaście lat – wyjaśnia Sylwia, kołysząc się do rytmu melodii.

10

Gdańsk Wrzeszcz, 1993 rok

– Gdzie jest twój ojciec?

– Na statku.

– Daj mi numer telefonu, pod którym mogę go zastać.

– Nie wiem… Ja… Oni są w separacji.

Karetka przed chwilą odjechała na sygnale i dopiero teraz na szybie przestał się odbijać niebieski blask. Sylwia sięgnęła po papierosa i zaciągnęła się, a policjant popatrzył na nią, marszcząc brwi.

– Nie pal przy mnie! – Gwałtownie zabrał jej papierosa i zgasił w popielniczce pełnej niedopałków. W odpowiedzi napotkał wpatrzone w siebie oczy dziewczynki obrysowane czarną kredką, znajdujące się tuż pod linią jasnej, niemal białej grzywy.

Sylwia przyciągnęła kolana do piersi i oparła na nich brodę. Ciągle się trzęsła, słyszała, jak szczękają jej zęby. Obserwowała policjanta, który zabrał się za przeszukiwanie torebki Kaszmir. Znalazł notes z zapisanymi nazwiskami klientek salonu kosmetycznego, które przyjmowała po godzinach, biorąc za to pieniądze do kieszeni. Były tam też wpisane adresy rodziny Kaszmir, rozsianej po całej Polsce.

– Jest tylko jeden numer telefonu. – Funkcjonariusz pokazał notes koledze i wymienili się spojrzeniami.

Nie patrzyli na nią, więc Sylwia sięgnęła po jeszcze tlącego się papierosa i zaciągnęła się, na sekundę znajdując ukojenie. Zamknęła oczy. Pod powiekami pojawiła się nieprzytomna Kaszmir leżąca na podłodze w łazience, z zakrwawioną głową. We wspomnieniu Sylwii matka miała rozchylone oczy, zwężone źrenice, jej klatka piersiowa ledwie się poruszała. Biały proszek został na policzku i nosie, reszta leżała rozsypana na lustrze. Lustro Kaszmir – tak często używała go do rozdzielania kokainy, że na powierzchni zrobiły się rysy.

– Rodzina w Bielsku-Białej – usłyszała głos policjanta i zmusiła się, żeby rozchylić powieki.

– Nie znam ich. – Pocierała oczy, jakby chciała się przebudzić ze snu. – Ja… byłam adoptowana. To nie jest moja prawdziwa mama.

Jeden z funkcjonariuszy ruszył do drzwi i zachęcił ją, żeby też wstała.

– Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy – powiedział.

– Gdzie pojadę?

Kiedy Sylwia się podniosła, zauważyła spojrzenie mężczyzny przyklejone do jej czarnej koszulki na ramiączkach, opiętej na dopiero co rozkwitłych piersiach. Odruchowo otuliła się ramionami.

– Nie możesz tu czekać – odpowiedział funkcjonariusz. – Odwiozę cię do pogotowia opiekuńczego. Jesteś nieletnia i nie powinnaś przebywać sama w mieszkaniu!

W samochodzie policyjnym złapała się na tym, że obgryza paznokcie. Blask radiowozu ściągnął gapiów. Czekając, aż funkcjonariusz usiądzie za kierownicą, obserwowała dzieci, które zakradły się blisko samochodu i dotykały go, nieświadome, że ktoś siedzi z tyłu.

– Kiedyś będę policjantem – stwierdził niski, chudy chłopiec, uśmiechając się szeroko. – Oni zawsze noszą spluwy! Bach! Bach!

„Doskonały ma być człowiek, który tak samo myśli, mówi i czyni", przeczytała na plakacie wiszącym przy recepcji. Odruchowo skrzyżowała ramiona. Ciągle nie mogła się rozgrzać, pomimo że założyła gruby sweter.

Nie odzywała się do momentu, gdy policjant, który przywiózł ją do ośrodka, zawrócił do wyjścia. Wtedy nagle poczuła, że coś w niej pęka, że nie da sobie rady, że nie powinna tu zostać ani chwili dłużej.

– Niech pan mnie nie zostawia! – poprosiła głosem, którego prawie nie rozpoznała, tak dziecinnie zabrzmiał. – Proszę! Ktoś na pewno może się mną zająć! Proszę zadzwonić do Stefana albo do Watraków! Ktoś na pewno weźmie mnie do siebie!

– Sylwia Kalińska, lat dwanaście – zapisała pielęgniarka w karcie. – Rozbierz się za parawanem. Tu masz rzeczy. – Podała Sylwii pidżamę, która okazała się za duża o kilka numerów.

Kiedy dziewczynka się przebrała, pielęgniarka przyjrzała się jej uważnie.

– Zmyj makijaż. Tu nie jesteś w domu.

Nogawki pidżamy wlekły się po podłodze, Sylwia przydeptywała je przy niemal każdym kroku, a spodnie spadały jej z bioder, pomimo że ściągnęła je gumą najmocniej, jak mogła. Pod sufitem palił się rząd jarzeniówek. Razem z opiekunką szły długim holem, od którego odbiegały drzwi do pomieszczeń.

– Tu jest twój pokój. Będziesz spała z dziewczynką w twoim wieku – wyjaśniła tęga kobieta, naciskając klamkę. – Gdybyś była głodna, możesz przyjść do kuchni. Zrobię ci kanapkę. Jesteś głodna?

Potrząsnęła głową. Nie byłaby w stanie nic przełknąć.

– Lodówka ma zabezpieczenia, więc sama jej nie otworzysz. Powtarzam: jeśli będziesz chciała coś zjeść albo wypić, zwróć się do mnie. Rozumiesz?

– Tak.

W pokoju było tak ciemno, że dopiero po chwili zauważyła puste, pościelone dla niej łóżko. Oprócz niego stało tu jeszcze drugie, na którym pod kołdrą zaznaczał się jakiś kształt. Kształt nie zareagował, kiedy Sylwia weszła do pokoju, nie poruszył się ani nie wydał głośniejszego dźwięku, gdy dziewczynka pochyliła się nad swoją poduszką.

Weszła pod kołdrę i naciągnęła ją na głowę. Pod podszewką słyszała swój głośny, szybki oddech, ręce i nogi miała lodowate, pomimo mijających minut nie udało się jej ogrzać ciała. Objęła się rękami i zwinęła w kłębek. Dopiero teraz zauważyła, że kołdra ma wzór drzew, jak z baśni braci Grimm. Łatwiej było myśleć o nich niż o wszystkim, co się stało. Dlatego dotknęła materiału i przesunęła ręką wzdłuż rysunku. Drzewa miały grube pnie. Pomyślała, że w bajkach przy takich pniach mogłyby tańczyć wróżki.

Na ścianach rozciągała się ładna, pozornie nowa tapeta, z bliska jednak było na niej widać ślady po dzieciach, które przebywały tu przed Sylwią. Leżąc na łóżku, wodziła wzrokiem po kreskach wyrytych w tapecie, zauważyła miejsce, gdzie róg się odkleił, a gdy delikatnie go odchyliła, pod spodem znalazła wypisane imiona i inicjały.

Dzieci, które były tu przed nią. Dzieci niechciane tak jak ona. Zacisnęła powieki i pomyślała, że chciałaby być niedźwiedziem – wtedy zwinęłaby się w gawrze i przespała całą zimę, a wiosną Kaszmir na pewno będzie już zdrowa i Sylwia wróci do domu.

– Dlaczego nie uczestniczysz w zajęciach? – Opiekunka zajrzała do niej przed obiadem. –

Źle się czujesz, Sylwio?

Pomyślała, że jeśli zignoruje kobietę, ta da jej spokój. Ale opiekunka nie odeszła.

– Nie poczujesz się lepiej, gdy zostaniesz w pokoju, podczas gdy wszyscy są na dole. Chodź do nas.

Sylwia pokręciła głową.

– Ależ chodź! Nie zostawię cię tutaj samej!

Minęło kilka chwil, zanim dziewczynka uświadomiła sobie, że kobieta wciąż stoi za jej plecami. Wyglądało na to, że nie odpuści, więc Sylwia zmusiła się, żeby usiąść na łóżku. Miała wrażenie, że do jej głowy przyczepiono tonę cegieł, skoro tak trudno było jej wstać. Jeszcze więcej wysiłku kosztowało spuszczenie nóg na podłogę.

– Nie myśl, że się poddam. – Młoda, szczupła i piegowata kobieta z uśmiechem podparła się pod boki, jakby cała ta sytuacja była mimo wszystko zabawna.

Sylwia mozolnie się podniosła. Tego dnia czuła się jak pajęczyna na oknie, która choć jest naderwana, trzyma się w jednym kawałku. Dopiero kiedy się jej dotknie, rozpadnie się na małe części.

Bawialnia przypominała świetlicę szkolną, stały tutaj kartony z zabawkami, na regałach ułożono pudełka z puzzlami i grami planszowymi. Gdyby Sylwia przymknęła oczy, gdyby wyrzuciła z pamięci obraz policzka Kaszmir, białego od proszku, wspomnienie bijącego w szyby światła karetki i jazdę tutaj na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, mogłaby dać się oszukać, że to zwyczajne miejsce, takie jak każde inne.

Młodsze dzieci bawiły się w zajmowanie trzech stojących na środku krzeseł, inne siedziały pod ścianami zajęte czytaniem, rysowaniem albo oglądaniem telewizji. Sylwia najchętniej dołączyłaby do nich, ale opiekunka wyczuła, dokąd dziewczynka się kieruje, stanowczo złapała ją za łokieć i zaprowadziła do krzeseł.

– Pobaw się trochę, należy ci się – zarządziła, a Sylwia popatrzyła na nią jak na wariatkę.

Nie znała tej zabawy i nadal czuła się zbyt osowiała, by wykonać jakikolwiek szybszy ruch, jednak opiekunka tak bardzo naciskała, że dziewczynka w końcu ruszyła opieszale w stronę tego krzesła, które akurat było puste.

Koło niej przebiegł rudowłosy chłopiec i usiadł na nim.

– Ruszasz się jak mucha w smole – oznajmił wesoło. – Włącz drugi bieg!

Sylwia wpatrywała się w niego przez chwilę otępiałym wzrokiem. Kolejne krzesło się zwolniło, więc zrobiła krok w jego stronę, ale miejsce natychmiast zajęła tęga nastolatka.

Rzuciła spojrzenie na opiekunkę i stwierdziła, że kobieta jest zawzięta, bo nie spuszczała z niej oczu. Po chwili wahania wbiła wzrok w trzecie krzesło. Kiedy tym razem ruszyła, z kąta pokoju oderwała się dziewczynka, więc Sylwia przyspieszyła kroku.

– Będę pierwsza! – krzyknęło dziecko, rozpychając kolegów na boki.

Sylwia w pierwszym odruchu chciała ją przepuścić i się poddać, ale w następnym poczuła, jak coś się w niej buntuje, i rzuciła się biegiem do przodu. Jej ociężałe ciało nagle stało się zwinne i lekkie. Niemal krzyknęła z ulgi, gdy zajęła miejsce na krześle.

– Brawo! – pochwaliła opiekunka. – Dobrze ci poszło.

Pokój dzieliła z Alicją, trzynastoletnią dziewczynką, która była tęga jak Kaszmir. Kiedy Sylwia pierwszy raz ją zobaczyła, Alicja właśnie wpychała do ust potężny kawałek makowca; reszta ciasta owinięta w folię częściowo wystawała spod poduszki.

– Cześć. Moja mama jest wysoko postawiona w sejmiku gdańskim – oznajmiła, zamiast podać swoje imię, a przez kolejne minuty opowiadała Sylwii o tym, jak bardzo bogaci są jej rodzice, że na każdą uroczystość jeżdżą taksówkami i ją też wożą taksówką do szkoły. – A kim jest twoja mama?

Sylwia obejrzała się na drzwi w nadziei, że zobaczy w nich opiekunkę, która zawoła ją do siebie.

– Kosmetyczką. – Głos miała schrypnięty, jakby odzwyczaiła się od mówienia.

– Chcesz trochę ciasta? – Alicja wskazała makowiec. – Mama mi upiekła.

– Odwiedziła cię tutaj?

Współlokatorka przytaknęła.

– Jest tu telefon? Można stąd do kogoś zadzwonić?

– Jasne, ale oni, no wiesz kto, muszą się na to zgodzić.

Na zajęciach plastycznych posłusznie sięgnęła po pędzel i zamoczyła go w farbie. Chciała namalować to wspomnienie, w którym widziała mamę na tle okna, z brązowymi włosami spadającymi na ramiona. Kiedy jednak przytknęła pędzel do kartki, okazało się, że musiałaby malować bez farb. Mama była jak duch, zjawa, nie miała prawie żadnych kolorów.

– Może potrzebujesz czegoś innego niż farby? – Malarka, która prowadziła warsztaty, jakby czytając w jej myślach, postawiła przed nią wiklinowy kosz pełen ścinków materiałów, kolorowej bibuły i innych akcesoriów plastycznych.

Sylwia zagłębiła w nim ręce. Wyjęła przeźroczystą kalkę, klej i nożyczki. Nigdy wcześniej nie zajmowała się kolażami, ale teraz zaczęło jej to sprawiać przyjemność. Z kawałków materiałów wykleiła fragment ramienia ledwie odcinającego się od tła kartki. Dodała włosy, tnąc brązową wełnę w pasy. Docisnęła je pięścią do podłoża i kredką dorysowała mamie oczy. Praca pochłonęła ją tak bardzo, że nawet nie usłyszała kroków malarki i zorientowała się, że kobieta stoi nad nią, dopiero kiedy tamta się odezwała:

– Chciałabyś porozmawiać o swoim rysunku?

Sylwia potrząsnęła głową, ale zaraz zmieniła zdanie.

– Tak. – Głos wciąż miała zachrypnięty.

Kobieta zajęła krzesło obok Sylwii i dotknęła zaznaczonej grubą kreską postaci na kartce.

– Kto to jest?

– Kaszmir. Moja adopcyjna mama.

– A to?

Poczuła, że kąciki jej ust drgnęły, jakby miała się uśmiechnąć.

– Stefan.

– Twój adopcyjny tata?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Patrzyła, jak opiekunka gładzi kawałki miękkich futrzanych tkanin, z których wykleiła Stefana.

– Musi być dla ciebie miły, co? – zapytała malarka, a Sylwia poczuła, że zaczyna się czerwienić. Spuściła wzrok.

Jak z oddali dobiegł do niej głos kobiety:

– A to kto, Sylwio?

Dziewczynka wstrzymała oddech.

– Specjalnie narysowałaś ją taką dużą? – Malarka uśmiechnęła się do niej tak, jakby chciała zmusić usta Sylwii do uśmiechu, i o dziwo, to zadziałało. – Jest największa na rysunku, więc

rozumiem, że najważniejsza.

Nie pomyślała o tym. Nie przyszło jej do głowy, że stworzona z przeźroczystych kawałków kalki biologiczna mama, wyglądająca na kolażu jak cień, zdominuje całą pracę, górując nad Kaszmir, Sylwią i Stefanem.

Pozwolono jej wykonać telefon, więc zadzwoniła do Stefana.

– Gdzie jesteś, mała? – zapytał z niepokojem.

Musnęła palcem ścianę, brudną od rąk dzieci dotykających ją w ten sam sposób podczas rozmów telefonicznych. Za sobą słyszała kroki: korytarz przecięła szczupła, zadbana kobieta, uczesana w kok, w modnym płaszczu i z jaskraworóżową torebką na ramieniu. Sylwia odruchowo obróciła się za nią. Zdziwiło ją, że kobieta zniknęła w drzwiach jej pokoju. „Może to matka Alicji?" – przemknęło jej przez myśl.

– Stefan? – Potrzebowała chwili, żeby zapanować nad głosem, który zaraz mógł zacząć drżeć. – Zabierz mnie stąd. – Ledwie panowała nad emocjami. – Na pewno możesz. Zrób coś, proszę!

Zamknęła oczy i przywołała obraz wysokiego mężczyzny o jasnych włosach. Ten obraz nie zmieniał się mimo upływu lat. Nie miało znaczenia, czy Stefan się obciął, czy ubrał się inaczej, czy pachniał perfumami jakiejś kobiety – dla Sylwii był mężczyzną o niebieskich oczach, który dawno temu odebrał ją ze szkoły i sprawił, że świat stał się piękniejszy. Tęsknota za nim stała się nie do wytrzymania.

– Nie dadzą mi cię – odezwał się jakoś tak, że łatwo było sobie wyobrazić, jak zwiesza głowę.

Gdyby tu był, wtuliłaby twarz w zagłębienie jego ramienia i błagała: „Zabierz mnie stąd, zabierz!".

– Nie mam żony. – Pierwszy raz słyszała, żeby Stefan się jąkał, żeby wypowiadał słowa z takim trudem. – Nie jesteśmy spokrewnieni… Nikt mi cię nie da, Sylwio. To niemożliwe.

Podrzucała piłkę, siedząc na parapecie, podczas gdy Alicja gromadziła zapasy przywiezione przez matkę. Od popołudnia w ich pokoju przebywała jeszcze jedna dziewczyna: wysoka nastolatka o rękach umięśnionych jak mężczyzna i gniewnym spojrzeniu. Wyglądało na to, że dziewczyny dobrze się znają, i Sylwii przyszło do głowy, że spotykają się tu pewnie nie pierwszy raz.

– Masz ochotę na sernik? – Alicja uśmiechnęła się przyjaźnie do nastolatki. – Mama mi upiekła, była dzisiaj mnie odwiedzić… Wiesz, ona…

– Twoja matka to zwykła kurwa. – Dziewczyna przeniosła na nią podsiniałe z niewyspania oczy. – Mam w dupie jej wypieki!

– Sylwia Kalińska! Przyjechała twoja ciocia! – Z głębi korytarza rozległ się głos opiekunki.

Sylwia poderwała się z parapetu. W pośpiechu pozbierała do torebki kilka rzeczy, które ze sobą przywiozła w dzień, gdy z domu zabrał ją policjant, i szybkim krokiem wyszła na korytarz. Spodziewała się, że zobaczy kobietę podobną do Kaszmir jak dwie krople wody, ciemnowłosą, otyłą, z szerokim, szczerym uśmiechem, ale zamiast niej w holu czekała szczupła, wysoka blondynka o twarzy tak szarej, jakby nigdy nie tknął jej promień słońca. Jej kroki stały się powolniejsze, poczuła narastającą niepewność.

Kiedy zostały same, zapadła kłopotliwa cisza.

– Na zdjęciach wyglądałaś inaczej – stwierdziła blondynka, nieporadnie dotykając ramienia

Sylwii. – Jestem Anna i tak możesz się do mnie zwracać.

– Dobrze, Anno – odpowiedziała Sylwia, marszcząc czoło.

Kobieta musiała wcześniej pojechać do domu Kaszmir i spakować Sylwię, może nawet odwiedziła siostrę w szpitalu; ciągnęła za sobą walizkę, jedyną, którą miała dziewczynka i która całe lata przeleżała na szafie w mieszkaniu Kaszmir: stara, z naklejkami Pszczółki Mai zdobiącymi bok i rączkę.

Teraz, kiedy Sylwia i Anna wyszły na parking przed ośrodkiem, walizka je rozdzielała. Siostra Kaszmir umieściła ją w bagażniku starego, przerdzewiałego poloneza i z hukiem zatrzasnęła klapę.

– No to ruszamy! – Uśmiechnęła się jakoś tak, jakby nie była przyzwyczajona do uśmiechu. – Kawał drogi przed nami. Zasada numer jeden to nie marnować czasu.

Ledwie popołudnie przerodziło się w zmierzch, a Gdańsk został w tyle, gdy w samochodzie zepsuł się prawy kierunkowskaz, więc kiedy Anna chciała skręcić, musiała dawać kierowcom znać ręką wysuniętą za okno.

– Nasza rodzina całe życie dostawała cytryny – oznajmiła, ściszając grające radio. – Na szczęście nauczyliśmy się robić z cytryn lemoniadę.

Zwiększyła obroty, bo droga biegła pod górę, ale samochód i tak zaczął zwalniać już w jej połowie i ledwie wjechał na szczyt.

– Nikt nam nie dał cukru – rzuciła, gdy samochód zagrzał się i poboczem wyprzedził je rowerzysta. – Po prostu trzeba się z tym pogodzić.

Sylwia podniosła wzrok na ciotkę. Przemknęło jej przez myśl, że Anna ma właśnie taki wyraz twarzy, jakby jadła cytrynę. Odwróciła wzrok. Jedyną pamiątką po Kaszmir, którą wiozła ze sobą, była bransoletka z pearloidu, doskonałej imitacji macicy perłowej. Kaszmir twierdziła, że dostała ją od swojego męża; podarowała ją Sylwii na jedenaste urodziny. Teraz Sylwia wsunęła ją na rękę, a bransoletka łatwo przeszła przez dłoń, aż do łokcia.

11

Bielsko-Biała, 1993 rok

Dwie dziewczynki siedzące na krawężniku przed skąpaną w słońcu kamienicą przyglądały się jej nieufnie, kiedy nadeszła z Anną. Jeszcze nigdy nie widziała tak popisanej sprejem kamienicy, a prowadzące do niej schody były tak wydeptane, że wyglądały, jakby potokiem chciały spłynąć na chodnik.

– Nauczysz mnie jeździć na rowerze? – spytała młodsza dziewczynka, gdy Sylwia minęła ją, ciągnąc za sobą walizkę.

Dużo tu betonu – to jako pierwsze rzuciło się jej w oczy. Nigdzie nie widziała drzew, trawników, kwiatów, jeśli nie liczyć doniczki na parapecie pierwszego piętra, w której rosła biała pelargonia.

Anna mieszkała na pierwszym piętrze, a jej mieszkanie okazało się o wiele mniejsze niż M3 Kaszmir. Kiedy ciotka rozsunęła harmonijkowe drzwi pokoju dzieci, Sylwia zobaczyła podłużne wnętrze, umeblowane tak ciasno, że tworzyło klaustrofobiczne wrażenie.

– Możesz iść na dwór, ale nie odchodź daleko – odezwała się Anna, ustawiając walizkę przy wejściu. – Nie chcę, żebyś się zgubiła. O dziewiętnastej będzie kolacja.

Sylwia nie odpowiedziała, zapatrzona w ściany. Były tak brudne, jakby nikt ich nie mył latami. Pierwsze, co zrobiłaby Kaszmir, to wręczyłaby jej wiadro i gąbkę. Podłoga i dywan okazały się jednak jeszcze brudniejsze, brudniejsze nawet od ziemi na zewnątrz.

– Masz na imię Sylwia? – Starsza dziewczynka mogła mieć dziesięć albo jedenaście lat. Nosiła okulary ze zwisającą z tyłu głowy kolorową gumką. Właśnie kręciła kółka na rowerze przed kamienicą, co chwila opierając nogi o ulicę. – Ja jestem Marika, a tam siedzi Hania. Pobawisz się potem z nami?

– A w co się bawicie? – Sylwia osłoniła dłonią oczy przed ostrym słońcem.

– Chodzimy do dużej kałuży i łowimy kijanki.

– I co z nimi robicie?

– Trzymamy w słoikach.

Podwórko i niebo wyglądały tak, jakby tylko czekały, aż kamienica, w której Sylwia miała zamieszkać, się rozpadnie. Dziewczynka stwierdziła, że nie będą musiały czekać długo: budynek wyglądał, jakby miał runąć lada moment. Dach chylił się na jedną stronę, w zapadniętej części brakowało kilku desek, ale tym chyba nie trzeba było się martwić, skoro siostra Kaszmir nie mieszkała na ostatnim piętrze.

Młodsza dziewczynka zaczęła odliczać na palcach:

– U nas w domu jesteśmy Marika i ja, są też Tomek i Kasia, to bliźniaki. Mama ciągle mówi, że nie ma miejsca na kolejne dziecko, ale pewnie i tak je urodzi w przyszłym roku.

– Babcia mówi, że co rok to prorok – wtrąciła starsza, poprawiając okulary.

– Mama kłamie! – Młodsza podniosła głos i pogroziła palcem. – Zasada numer jeden: nigdy nie ufaj pijaczce!

Sylwia poszła przed siebie słoneczną stroną ulicy, a młodsza z dziewczynek pobiegła za nią. Za niskim starodawnym murem zauważyła kobiety siedzące na kocu na trawie, zajęte robieniem na drutach. Ich widok wydał się jej niecodzienny, aż stanęła w miejscu. Jednonogi mężczyzna podparty na kulach właśnie mijał dziewczynki.

– Czy pan jest piratem? – zapytała Hania ze zdumieniem, łapiąc Sylwię za rękę.

Kolejny przystanek zrobiły pod kamienicą przeznaczoną do rozbiórki, której okna przypominały czarne dziury, a dźwig właśnie zawisł nad tym, co zostało z dachu.

– Tutaj pracuje tatuś – tłumaczyła Hania. – Pracuje bardzo ciężko i długo, więc przychodzi do domu dopiero wieczorem. Czy ty zostałaś wzięta z domu dziecka? – Ostatnie słowa wymówiła tak, jakby były refrenem piosenki, który nagle przyszedł jej do głowy.

Sylwia spojrzała na nią, marszcząc brwi.

– Tak.

– I gdzie jest teraz twoja mama?

Zapatrzyła się w okrągłą, piegowatą twarz dziecka.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała, zdziwiona, jak łatwo przyszła jej odpowiedź.

Ochrona półtorarocznych bliźniaków przed upadkami i uderzeniami albo przed zjedzeniem z podłogi rzeczy nienadających się do jedzenia pochłaniała całą uwagę Sylwii. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmęczona, a Anna cały czas dokładała jej nowych obowiązków.

– Może uda ci się posadzić je na nocnik. – Wpadła na pomysł. – Już najwyższy czas, żeby wyszli z pieluch!

Dywan, po którym poruszały się dzieci, nie był odkurzany od wielu tygodni, więc po podłodze walały się nitki, paprochy, resztki jedzenia, a nawet kilka szpilek, których Anna używała podczas przerabiania ubrań klientów. Twierdziła, że jako młoda dziewczyna była bardzo sprawną krawcową, ale zmarnowała umiejętności przez wczesne wyjście za mąż i urodzenie dziecka.

– Nie stać mnie na otworzenie własnego zakładu. – Westchnęła, tnąc na stole dżersej według wykroju, który odznaczyła kawałkiem białego mydła. – Gdyby Kaszmir się tu przeprowadziła, razem prowadziłybyśmy interes. Ona to miała złote ręce do szycia.

Sylwia pomyślała, że Kaszmir nie wytrzymałaby tutaj ani minuty. Zawsze powtarzała, że porządek jest najważniejszy na świecie, i przynajmniej raz w tygodniu zmuszała Sylwię i mobilizowała siebie, by wysprzątać całe mieszkanie od podłogi do sufitu. Teraz dziewczynka zaczęła rozumieć dlaczego. Kaszmir wychowała się w brudzie. Zgodnie z opowieścią Anny ich dom rodzinny znajdował się w podobnej kamienicy, tyle że w Toruniu. Kaszmir miała troje rodzeństwa, matka pracowała jako kucharka na plebanii, a ojciec był robotnikiem. Anna, wzruszając ramionami, jakby opowiadała o czymś najzwyczajniejszym na świecie, wspomniała, że pierwszą wódką poczęstował ją właśnie ojciec. Miała wtedy dziesięć lat.

– Zawsze umiał ładnie śpiewać – dodała z nostalgicznym uśmiechem. – Kiedy to robił, czułam się tak… – Szukała właściwego słowa. – Bezpiecznie.

Podobno Kaszmir od małego walczyła z rodzicami. Nie dogadywała się z ojcem, strofowała matkę. Jako nastolatka była zajęta raczej malowaniem ust i paznokci niż pomocą w domu albo dorywczą pracą. Ledwie skończyła dwanaście lat, już zaczęła się uganiać za chłopakami.

– Była w twoim wieku, kiedy latała na randki. Nie mogliśmy wyjść ze zdumienia, że nie wpadła z żadnym chłopcem! Boże, tylu ich miała!

Adopcyjny ojciec Sylwii pojawił się w jej życiu podobno dopiero wtedy, gdy Kaszmir wyjechała do Trójmiasta. Był marynarzem, a Kaszmir przecież uwielbiała mundury.

– Za mundurem panny sznurem! – Anna się roześmiała i aż klasnęła w ręce. Spoważniała po chwili. – Dopiero wtedy okazało się, dlaczego wcześniej nie wpadła z żadnym chłopcem.

Myślałam, że jest taka sprytna albo może tak dobrze się zabezpiecza, a ona po prostu nie mogła zajść w ciążę.

Sylwia z kawałków materiałów wycięła kamienicę do rozbiórki i nakleiła na kartkę. Dorysowała męża Anny w dżinsowych spodniach ogrodniczkach i ze skotłowanymi siwymi włosami. Dopisała: „Lubię go. Jest naprawdę fajny. Dawno z nikim tak się nie śmiałam", a potem przyszło jej do głowy, że Andrzej może być zazdrosny o tego mężczyznę. Zawsze tak dziwnie na nią patrzył, gdy w szkole zauważał przy niej chłopców. Nie lubił też Stefana, chociaż właściwie go nie znał.

Do zobrazowania siebie wybrała modelkę z wózkiem, wyciętą z czasopisma. „Ciągle zajmuję się dziećmi", dopisała. Andrzeja na pewno to rozbawi – zawsze to on musiał się użerać z młodszym bratem, nawet na szkolne imprezy przychodził z Tonim. Długo się wahała, co dopisać na koniec. Czy powinna dodać: „Uściski!" albo „Do zobaczenia"? Nigdy wcześniej nie pisała listów, bo nie miała do kogo. Teraz przyszło jej do głowy, że może powinna wspomnieć Andrzejowi, że tęskni, ale w końcu, nie mając żadnego pomysłu, zerwała kwiatek z pelargonii, którą Anna hodowała w doniczce, i wsunęła do koperty.

– Nie ruszaj się! – zakomenderowała, więc Marika posłusznie zamarła z głową odchyloną na oparciu kanapy.

W telewizorze głośno grała muzyka, wokalistka 4 Non Blondes śpiewała ochrypłym głosem, kołysząc się na huśtawce w gigantycznych butach na nogach i w śmiesznym kapeluszu: „*And I try, oh my God, do I try? I try all the time in this institution*".

Sylwia przytrzymała ustami kredkę do oczu, skupiona na malowaniu starszej dziewczynki.

– „*And I pray, oh my God, do I pray?*" – zanuciła, kiedy wyjęła kredkę spomiędzy warg, żeby podmalować kąciki oczu Mariki. – Zamknij oczy. Masz ładną cerę. „*I pray every single day for a revolution*".

Kiedy się cofnęła, Marika szybko sięgnęła po lustro, a Hania aż pisnęła z zachwytu.

– Jezu, jak to zrobiłaś? – Marika wprost nie mogła oderwać oczu od swojego odbicia. Zamrugała, sprawdzając cienie na powiekach.

– Podoba ci się? – Sylwia skrzyżowała ręce na piersiach. Wcześniej sobie też zrobiła makijaż, więc teraz patrzyła na dziewczynki spod powiek, które wydawały się aż ciężkie od ciemnych pasteli.

– Doskonale!

Hania podkręciła dźwięk, a Marika zaczęła podskakiwać na łóżku z radości.

– „*And I said hey yeah yeah-eh-eh, hey yeah yeah* – zaśpiewała razem z 4 Non Blondes. – *And I said: Hey! What's goin' on?*"

Wszystko żyło tu swoim życiem: grzyb piął się po ścianach, kłęby kurzu sunęły po podłogach, plamy od dziecięcych palców rozprzestrzeniały się na szybach. Ręce bliźniąt rano jeszcze były czyste, ale już przed południem robiły się czarne i lepkie. To samo działo się z ich buziami, a Anna ciągle powtarzała, że nie stać ją na marnowanie wody. Meble, ustawione tak ciasno, że Sylwia miała problem z poruszaniem się między nimi, stanowiły zagrożenie dla dzieci. Wystarczył moment nieuwagi i rozlegał się wrzask, a na buziach, ramionach czy w innych miejscach pojawiały się kolorowe wybroczyny.

Kiedy ciocia przyjechała po Sylwię, wyglądała jak sprane ubranie pozbawione kolorów,

ale teraz przy pomocy dziewczynki zaczęła ożywać: miała czas wyjść na zakupy, zaprosić na kawę sąsiadkę, Sylwia ufarbowała jej też włosy na czarno.

– Powinnaś pójść do szkoły fryzjerskiej – stwierdziła Anna, mieszając lody w kubku z kawą, podczas gdy Sylwia sprawnie rozprowadzała farbę na jej lokach i zawijała w sreberka. – Najważniejsze to zdobyć zawód. Mam nadzieję, że nie wybierasz się do liceum. To strata czasu. Zasada numer jeden to dobry zawód. Zapamiętaj, Sylwio.

– Nie jedz tego! – Sylwia wyrwała najmłodszej dziewczynce kawałek zaschniętego makowca. Kiedy chciała umyć twarz dziecka, okazało się, że nie ma wody.

– Znowu to samo. – Anna załamała ręce. – I jak ja spłuczę włosy?

Poszła sprawdzić, czy sąsiedzi mają wodę, ale okazało się, że zakręcono ją na całej ulicy.

– Na rynku jest pompa. – Ciotka wręczyła Sylwii wiadro, a dziewczynkom po kilka plastikowych butelek. Sama sięgnęła po flaszkę piwa wyjętą z lodówki. – Ale gorąco. No już, idźcie, bo mi się włosy spalą!

Wiadro pełne wody okazało się tak ciężkie, że Sylwii drżały ramiona. Starała się nie rozlać, ale potknęła się o korzeń, potem o kamyk. Dłoń kompletnie jej zdrętwiała, a palce przywarły do drewnianego uchwytu na metalowej rączce.

– Daj, przecież to praca nie dla ciebie. – Ojciec dziewczynek wyszedł spomiędzy dźwigów i koparek stojących przy rozbieranej kamienicy i wyrwał jej wiadro z ręki, jakby nic nie ważyło. – Co ta Anna wymyśliła, żeby cię gonić do ciężkiej roboty?

– Jestem silna – zapewniła go Sylwia, rozcierając bolące ręce. Wytarła je o krótkie spodnie i zauważyła spojrzenie mężczyzny, prześlizgujące się po niej, od podeszew pobazgranych pisakami tenisówek, przez gołe nogi, koszulkę w paski, która była za szeroka, więc zsuwała się z ramienia, aż po blond włosy.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyła siebie tak, jak widzieli ją inni. Ujrzała niską, drobną dziewczynę, wciąż bardziej przypominającą dziecko niż młodą kobietę. A jednak białe włosy ścięte do ramion sprawiały, że przyciągała wzrok. Już w szkole zauważała, że chłopcy do niej lgną. Teraz, gdy szła ulicą, patrzyli na nią również niektórzy mężczyźni. Spod równej grzywy wystawały duże i okrągłe jak u lalki Fleur oczy. Widziała swoje odbicie w szybie wystawowej sklepu, który wcześniej mijały: klatka piersiowa nie wydawała się już płaska – pod koszulką wyraźnie zaznaczały się piersi, zobaczyła długie nogi i wąską talię.

– Fajna z ciebie laska! – stwierdził mąż Anny, uśmiechając się szeroko. W jego ton głosu wkradła się jednak jakaś nowa nuta. – Słyszałem, że nie pamiętasz swojej mamy, ale myślę sobie, że to musiała być bardzo ładna kobieta!

Na placu zabaw obserwowała bliźniaki usiłujące się wspiąć po drabinkach. Jakieś wspomnienie, choć blade i kruche, próbowało odwrócić jej uwagę od dzieci i pokazać inną rzeczywistość. Sylwia przechyliła głowę na bok, czując, jak wilgotne od potu włosy opadają jej na ramię. Patrzyła, jak Kasia kładzie rączkę przy ręce swojego brata. Ich identyczne palce, identyczne stopy, światło na białych czapkach…

Nigdy wcześniej nie widziała, jak matka pisze. Teraz, trzymając w ręce list, uświadomiła sobie, że Kaszmir ma bardzo niewyrobione pismo.

„Pozwolili mi napisać do Ciebie, więc chyba jest ze mną dużo lepiej – przeczytała. – Na początku zamknęli mnie tu jak więźnia, nie mogłam nawet sama ogolić sobie nóg. Zabrali mi wszystkie rzeczy. Próbowali też wmówić, że jestem narkomanką i nie panuję nad nałogiem.

Dobre, co?

Jeśli chodzi o Annę, to nie daj się jej wykorzystywać. Zawsze zgrywała w rodzinie księżniczkę. Taka z niej cwaniara! Mnie i brata rodzice zajeżdżali, ale Anna zawsze była pod ochroną. Świetnie dogadywała się z ojcem, dotrzymywała mu kroku w piciu. Miej więc oczy szeroko otwarte. Nie pozwalaj jej też mówić o mnie źle i pamiętaj, że nie wszystko złoto, co się świeci. Jak tylko mnie stąd wypuszczą, wrócimy do domu".

Poniżej dopisała: „Całuję!".

– Całuję – powtórzyła Sylwia. Dotknęła kartki w tym miejscu, jak gdyby chciała się upewnić, że słowo znajduje się na papierze, że nie stworzyła go w fantazji. Nie pamiętała, żeby Kaszmir kiedykolwiek ją pocałowała.

Hania wyrwała jej z dłoni butelkę z mlekiem. Sama chciała podać picie bliźniakom.

– Cały czas się nimi zajmowałam, zanim tu przyjechałaś. – Oburzyła się, gdy Sylwia zaoponowała.

– Co znaczy „cały czas"? Przecież twoja mama opiekuje się bliźniakami.

– Nie bądź śmieszna.

Maszyna do szycia przestała terkotać, było na to za gorąco. Anna wydawała się senna. Od kilku dni głównie leżała na sofie, wachlując się dłonią i narzekając na falę upałów. Kaszmir miała rację: Anna piła. Butelki chowała za koszem na śmieci w szafce w kuchni, co odkryła starsza z dziewczynek.

Pijana ciągle się pociła, kapało jej z nosa i mówiła bełkotliwie. Potykała się o rozrzucone na dywanie zabawki, złościła na dzieci, że po sobie nie sprzątają, denerwowała się, że wszystko jest na jej głowie. Pomimo że było jeszcze jasno, próbowała zapędzić dzieci do łóżek.

– Myć zęby i spać! – krzyknęła. – Do łóżek, już!

Bliźniaki skuliły się w pokoju, młodsza z dziewczynek posłusznie wsunęła się pod kołdrę, ale starsza nie zamierzała odejść od biurka, gdzie rysowała zaproszenia na swoje urodziny.

– Niech się pieprzy – wyszeptała konspiracyjnie do Sylwii.

– Powiedziałam: do łóżka! – Anna chwiejnym krokiem wkroczyła do pokoju, rozbijając się o meble.

– Mamusiu, brzydko pachniesz – szepnęła młodsza dziewczynka, gdy matka próbowała otulić ją kołdrą.

– Ty nie w łóżku? – Anna wskazała na starszą dziewczynkę. – A jutro to jak… wstaniesz?

– Jutro jest niedziela – odparła Marika, nie podnosząc wzroku znad rysunku. – Nigdzie nie będę wstawać.

Anna przez chwilę tylko stała, chwiejąc się na nogach. W końcu wycelowała palcem w plecy córki.

– Szanuj matkę!

– Sama się najpierw szanuj – odwarknęła Marika.

– Coś ty powiedziała? – W głosie kobiety zabrakło pewności siebie. – Jak się do mnie odzywasz? Skąd takie nawyki?

Dziewczynka przewróciła oczami, nie przerywając rysowania. Spojrzenie kobiety padło więc na Sylwię.

– Tylko tak ci się wydaje, że możesz tu przyjść i wszystko wziąć – odezwała się, uderzając ramieniem o ścianę. – Że możesz wejść i wyjść. Że wszystko ci się należy. I nic cię więcej nie

interesuje. Tak, do ciebie mówię.

Sylwia pochyliła nisko głowę i skupiła się na studiowaniu wzoru na dywanie.

– Myślisz, że nie widzę, jak on na ciebie patrzy? Dawno nie widział takiej dziewczyny jak ty. – W słowach brzmiała coraz większa niechęć, wręcz obrzydzenie.

Gdyby Sylwia mogła, zmieniłaby się w okruchy rozsypane na dywanie, byleby tylko Anna przestała mówić w ten sposób.

– Ślini się na twój widok jak pies na widok kości!

Jedno z bliźniąt wyciągnęło do Anny ręce, więc kobieta wycelowała w nie palcem.

– Ty idziesz do kąpieli!

Chwiejnie zawróciła z nim do łazienki, skąd po chwili dobiegł szum wody, głośnych kaskad niczym wodospadu.

Marika wróciła do rysowania, a Sylwia złapała się na tym, że gryzie paznokieć.

– Ty sobie nie myśl! – usłyszała poirytowany głos Anny. – Nie myśl, że cokolwiek zdziałasz! Tak, do ciebie mówię, ty znajdo!

– Jezuuu – wyszeptała Marika. – Ale się na ciebie uwzięła.

Zapadła cisza, którą chwilę później rozerwał pisk. Był tak głośny, że Sylwia i Marika znieruchomiały wpatrzone w siebie. Sylwia pierwsza zerwała się z miejsca, omal nie wywróciła się w progu. Szarpnięciem otworzyła drzwi łazienki. W środku było tyle pary, że prawie nic nie widziała. W końcu w gęstych mlecznych obłokach dostrzegła Annę. Kobieta próbowała włożyć dziecko do kąpieli, ale wrzeszczało i wiło się, łapiąc ją za włosy i ręce.

– Woda jest za gorąca! – krzyknęła Sylwia, próbując odepchnąć Annę.

Rozległ się kolejny wrzask. Sylwia poślizgnęła się na mokrej podłodze, uderzyła czołem o krawędź zlewu.

– Puść go! Natychmiast go puść! – wrzasnęła.

– Już nie jest niemowlakiem, żeby bać się kąpieli! – Anna próbowała ją odepchnąć.

Głos ciotki brzmiał jak z najgorszych koszmarów. Może przerażający był nie sam głos, ale otchłań, z której wybrzmiewał. Rozchodził się falą, rozbijając się o dziewczynkę, przekształcał się, zmieniał we wściekły ból.

Sylwia poczuła, jakby w jej mózgu eksplodowały iskry, miała wrażenie, że w powietrzu unosi się smród spalenizny. Myśli strzelały jak fajerwerki, złość promieniowała.

– Wyjdź! – krzyknęła do Anny. Wyszarpnęła jej dziecko z rąk. – Wyjdź natychmiast!

I nagle było po wszystkim. Cisza. Wraz z wyjściem Anny i z jednym uderzeniem serca dziewczynki uleciał cały nagromadzony gniew, wszystkie porażki i złe wspomnienia.

Tego dnia mąż Anny zabrał dzieci do brata za miasto. Nie rozmawiali o tym, co się stało. Kiedy wrócił z pracy, kobieta spała w ubraniu na sofie w dużym pokoju, a dzieci jadły podwieczorek przygotowany przez Sylwię. Teraz bliźniaki drzemały w fotelikach, Hania i Marika gniotły się między nimi, próbując się zmieścić, a Sylwia zajęła miejsce z przodu.

W polonezie nikt jeszcze nie wymienił żarówki kierunkowskazu, więc mężczyzna musiał wystawić rękę za okno, by dać znać kierowcom, że skręca w prawo. Przed nimi na poboczu pojawiła się tablica z napisem: „Witamy w mieście". Sylwia wyglądała oznak miasta, ale przy drodze nie pojawiły się żadne budynki, a te, które w końcu dostrzegła, w niczym nie przypominały domów w Gdańsku czy Bielsku-Białej.

Dziewczynki się biły.

– Spadaj, głupia!

– Nie dotykaj mnie!

– Tato, ona rzuca we mnie papierkami po cukierkach!

– Tato, ona mi siada na kolanach!

Słońce powoli chowało się za chmury i resztki światła kładły się na szerokich łąkach, polach i pastwiskach.

– Konie! Są konie! – krzyczały dziewczynki, przepychając się do szyby.

Im bliżej było do domu brata, tym bardziej mąż Anny wiercił się na siedzeniu, aż w końcu się wyprostował i uderzył dwa razy dłonią w klakson, dając znać, że nadjeżdżają.

Przed duży, jasno oświetlony dom wyszła młoda kobieta ubrana jak do jazdy konno, a za nią starsza pani. Dwa kundle szczekały i łasiły się do nóg dziewczynek.

– Cześć, Kruczek! Cześć, Brudas! – zawołała radośnie Marika, witając się z psami, podczas gdy Hania rzuciła się w objęcia babci, a mąż Anny zaczął odpinać bliźniaki z foteli.

– Witaj, kochanie! – wykrzyknęła kobieta na widok Sylwii. Jasne, zniszczone trwałą ondulacją włosy wiły się na jej czole w wilgotnych lokach, gdy przywitała dziewczynkę pocałunkiem. – Jaka ty już jesteś duża!

Młodsza z kobiet wyciągnęła do Sylwii rękę jak do dorosłej osoby.

– Cześć, jestem Patrycja!

Sylwia odpowiedziała uściskiem dłoni.

Mąż Anny zaprowadził dziewczynki na piętro. Pomalowany na błękitno dach opadał pod skosem i sięgał szerokiego okna.

– Tu będzie wasz pokój na dzisiejszą noc – oznajmił.

Sylwia zapatrzyła się na fotografie koni rozwieszone na ścianach. Chciała zapytać wujka, czy naprawdę są tutaj konie, ale uprzedziła ją młodsza z kobiet, która w tym momencie weszła do pokoju.

– Mamy ranczo. Może będziesz chciała jutro pojeździć, kochanie?

Sylwia była pewna, że Patrycja zapomni o propozycji jazdy konno, ale kobieta czekała na nią po śniadaniu.

– No, nie bój się! To idealny koń dla ciebie! – oznajmiła, gdy weszły do stajni. Otworzyła drzwi boksu, prezentując czarną klacz z jasnobrązowymi plamami na nogach. – Osiodłać? – Pogłaskała błyszczącą, aksamitną sierść zwierzęcia. – Jest spokojna, to taki nasz trochę większy pies. Hucuły w ogóle są bardzo spokojne i świetnie nadają się do nauki.

Koń wydał się Sylwii piękny. Zafascynowana patrzyła, jak Patrycja sprawnie go siodła i wyprowadza na zewnątrz. Wspomniała, że tak doświadczona klacz jak ta w sekundę zorientuje się, kto jej dosiadł.

– To co, wskakujesz?

Wcześniej dziewczynka wprost nie mogła się doczekać, aż usiądzie w siodle, ale kiedy teraz zrobiła krok w stronę konia, poczuła przypływ paniki. Zaczął się w końcówkach palców i rozbiegł po całym ciele. Przeraziła się, że koń ją zrzuci – przecież Patrycja powiedziała, że zwierzę potrafi w sekundę wyczuć, kto na nim siedzi. Jeśli jednak Sylwia zrezygnuje z jazdy, Patrycja się na nią obrazi – narobiła sobie kłopotu, przychodząc po nią, poświęciła jej tyle uwagi. A jeśli straci sympatię Patrycji, a co za tym idzie, pewnie też jej rodziców, męża Anny…

– Sylwio, co się dzieje? – Kobieta się zaniepokoiła. – Ależ dziecko, ty jesteś chora ze strachu!

– Nie! Proszę, nie… Ja… dam radę, tylko… muszę…
– Przesadziłam. Nigdy nie jeździłaś konno, możesz się bać.
– Nie! Już czuję się dobrze, naprawdę, proszę…
– Skarbie, do niczego cię nie zmuszam.
– Naprawdę chcę – przekonywała Sylwia, bliska łez. – Po prostu…
Patrycja pogłaskała ją po ramieniu.
– Nikt nie jest na ciebie zły, Sylwio. Tutaj nie musisz się bać.

Prawdziwa rodzina. Normalny dom. Nie mogła uwierzyć, że to nie film, tylko zwyczajne życie. Pijąc lemoniadę z długiej szklanki, obserwowała, jak mąż Anny wraz z bratem rozstawili puszki na płocie i strzelali do nich z wiatrówki.
– Spudłowałeś! – wołała Hania, biegnąc po każdym strzale, żeby obejrzeć puszki z bliska.
– Dawaj jeszcze raz! Hanka, zejdź z linii strzału!
Starsza kobieta przyniosła radio podłączone do przedłużacza i ustawiła na beczce z wodą. Po ogrodzie rozszedł się dźwięk piosenki Louisa Armstronga *What a Wonderful World*. Patrycja, z nogami opartymi na składanym krześle, zaczęła śpiewać, udając chrypę:
– „*I see trees of green, red roses too*"…
– Dawaj!
Mąż Anny podał Sylwii wiatrówkę, która okazała się kilka razy cięższa, niż wskazywał na to jej wygląd. Wytłumaczył dziewczynce, jak ma oprzeć broń o ramię, żeby nie spudłować.
– Dawaj!
Nacisnęła spust, huk rozciął dźwięki muzyki, a kula przebiła puszkę.
– Brawo! – Mężczyźni zaczęli klaskać. – Jesteś do tego stworzona!
Sylwia też się roześmiała.
– Naprawdę trafiłam? Naprawdę dobrze mi poszło?
– Wręcz cudownie, skarbie!
– „*And I think to myself, what a wonderful world!*" – zaśpiewała babcia dziewczynek do wtóru z Patrycją.
Marika podchwyciła piosenkę, a w ślad za nią poszedł jej ojciec i jego brat:
– „*I hear babies crying*"…
Patrycja uniosła kieliszek z winem. Błysk światła na szkle, roześmiane twarze, zmrużone oczy i lato wiszące w powietrzu. Sylwia przysiadła się do kobiety, oparła głowę o poręcz krzesła i wodziła wzrokiem po twarzach członków rodziny. Pomyślała, że nie zapomni tego do końca życia. Poczuła palce Patrycji w swoich włosach, gdy kobieta zaczęła splatać z nich drobne warkoczyki.
– Co to znaczy, babciu? – dopytywała Hania. – Co wy śpiewacie?
– Nie wiem, skarbie. Coś o świecie. Nie uczyli nas w szkole angielskiego. Patrycja na pewno wie.
– Że świat jest piękny! – Kobieta oparła brodę o czubek głowy Sylwii i dokończyła śpiewać razem ze schrypniętym głosem wokalisty: – „*Yes… I think to myself, what a wonderful world!*".

Czekająca na dworcu PKP Kaszmir przypominała ciężarówkę, tak bardzo utyła w ośrodku odwykowym.
– Witaj, moja panno! – Rozłożyła ręce na powitanie i zamknęła Sylwię w uścisku. Po

chwili chciała wypuścić ją z objęć, ale dziewczynka trzymała się jej mocno i nie odstępowała na krok. – No już, co ty? – Jej dłonie nieporadnie pobiegły po plecach córki. W końcu poklepała ją po łopatce.

– Trochę sprzątnęłam w mieszkaniu – wyjaśniła w samochodzie. – Dużo się zmieniło, teraz jestem innym człowiekiem.

Sylwia nie miała pewności, czy to prawda, zwłaszcza że gdy stanęły na czerwonym świetle, matka spojrzała na bramę, gdzie zawsze kupowała narkotyki, i to takim wzrokiem, jakim dzieci patrzą w supermarkecie na słodycze.

– Już tam nie wrócę! – Im więcej Kaszmir o tym mówiła, tym mniej prawdy Sylwia słyszała w jej głosie. – Zobaczysz, jaka jestem teraz silna. I mądrzejsza. Wiele się nauczyłam. Bóg dał mi drugą szansę. – Długimi, pomalowanymi na żółto paznokciami dotknęła srebrnego krzyżyka kołyszącego się na łańcuszku pomiędzy wydatnymi piersiami. – Wiele się nauczyłam, Sylwio. Dostałam szansę i jej nie zmarnuję.

Na boisku rozświetlonym ulicznymi latarniami Andrzej właśnie celował piłką do kosza, ale kiedy zauważył Sylwię, popełnił błąd, piłka odbiła się od obręczy i spadła na asfalt.

– Dostałeś mój list?

Zajęła miejsce na drabinkach, które dawniej, gdy była dzieckiem, wydawały się jej tak wysokie, że bała się wejść na ostatnie szczeble. Teraz, siedząc na samej górze, sięgała nogami do ziemi.

Andrzej przysiadł się do niej, wsunął piłkę między kolana, a ona od razu zauważyła zmianę. Urósł przez tych kilka miesięcy, gdy jej nie było, wydawał się taki wysoki, sięgała mu ledwie do ramienia. Jego dłonie stały się duże, palce długie, pod skórą dostrzegła niebieskie żyłki jak u dorosłego mężczyzny.

– Nie umiem pisać listów – odparł. – Nie wiedziałem, co odpisać.

Powiodła wzrokiem po jego czarnych gęstych włosach sięgających ramion. Miała wrażenie, że powietrze wypełnia całe jej ciało, od czubka głowy aż po pięty. Zaczęły ją mrowić dłonie i usta. Wydawało się jej, że na coś czeka, chociaż nie miała pojęcia na co.

– Sylwia?

– Co?

Popatrzył jej w twarz jasnymi oczami cygańskiego chłopca.

– Sylwia, brakowało mi ciebie – powiedział po prostu, a ona poczuła, jakby w jej brzuchu motyle zaczęły trzepotać skrzydłami.

12

Współcześnie

– Miała pani się wyprowadzić o dziewiątej rano.

– Przepraszam, już zabieram walizkę.

Recepcjonistka, trochę zawstydzona, wskazuje coś koło swoich nóg.

– Pani walizka jest tutaj. Musieliśmy przygotować pokój, więc… Proszę o zwrot klucza.

W pierwszej chwili nie reaguję, wpatrzona w moje rzeczy przygotowane do drogi. Chciałam się przebrać, wziąć prysznic. Teraz przychodzi mi do głowy, że mogłabym ją poprosić, by jednak pozwoliła mi zostać jeszcze chwilę.

– Po prostu proszę go zwrócić – powtarza recepcjonistka tonem matki, której ktoś porwał dziecko, więc występuje z apelem telewizyjnym. Rozpaczliwie wyciąga dłoń po klucz.

Wychodzę z hotelu na mróz, śnieg chrzęści pod kozakami, niebo zrobiło się białe jak mleko i właśnie rozpoczyna się kolejna zamieć. Zaczynają spadać wielkie płaty śniegu.

Dzwoni mój telefon. Na linii mam producenta telewizyjnego Michała, który z niedowierzaniem w głosie, ale też z niemałą dumą informuje, że przedyskutowano sprawę Sylwii na kolegium redakcyjnym.

– Możesz ją tu przywieźć – dodaje, ledwie skrywając radość.

Nieruchomieję, oszołomiona tymi słowami. Udało się!

– Zapraszamy ją na występ w piątek rano. Obiecałem szefostwu, że nie będzie opowiadała o sprawach związanych z chorobą, żadnych obrazowych historii o umieraniu i cierpieniu, skupimy się tylko na jej poszukiwaniach siostry i dawcy, tak żeby dało się tego słuchać przy śniadaniu. Nadstawiłem karku, więc teraz ty się wykaż i przećwicz z nią, co ma mówić, żebym potem nie dostał po głowie!

Sylwia ma przyjechać do Warszawy za trzy dni. To potężny krok – nawet bałam się myśleć, że może się udać. Ogromny zasięg porannego programu umożliwi nam dotarcie do tych widzów, którzy prawdopodobnie nie mieliby okazji dowiedzieć się o Sylwii w inny sposób, bo nie interesują ich programy o tematyce społecznej. Teraz mamy szansę zmusić ich, by rozejrzeli się wokół siebie w poszukiwaniu biologicznej rodziny Sylwii lub skierowali kroki do najbliższego ośrodka zdrowia w celu sprawdzenia zgodności tkankowej. Nie sądziłam, że naprawdę się nam uda!

Starając się opanować emocje, dziękuję Michałowi i zapewniam, że zrobię, co w mojej mocy, by nagranie wyszło idealnie.

– Jasne, że pamiętam tę sprawę. – Starszy mężczyzna ubrany w wojskową kurtkę i wytarte wojskowe spodnie ściska moją dłoń długo i mocno. – Pola Michalak, tak? Widziałem pani reportaże z Syrii. Mocna rzecz.

– Dziękuję. – Jego komplement przyjmuję z rezerwą, ponieważ żadne nagranie nie oddało tego, co naprawdę działo się na moich oczach na Bliskim Wschodzie. Poza tym nigdy nie zrobiłam najważniejszego reportażu: nie przekazałam światu historii z miasta Adra.

– Co się wydarzyło w mieście Adra? – pyta dziennikarz, jakby czytał w moich myślach. – Widziałem pani wystąpienie po powrocie stamtąd. Blada, niewyspana…

Czuję przypływ energii, co mi się czasem zdarza, gdy coś mnie poruszy.

– Dokonano tam rzezi ludności cywilnej – odpowiadam z wahaniem. Nie chcę mówić zbyt wiele. – Kiedy przyjechałam do miasta, wszędzie były trupy.

– Rodziny, dzieci – wchodzi mi w słowo mężczyzna. – Znam to, wiem, o czym pani mówi. Syria i Libia czy jeszcze inne kraje? – Wkłada ręce do tylnych kieszeni spodni, niezdecydowany, czy może się już kierować do stolika. – Bo ja bywałem w Kosowie i Czeczenii.

– Syria i Libia.

Jego oczy błyskają zielenią pod siwymi brwiami. Obejmuje mnie ramieniem i prowadzi na miejsce.

– Ale wróćmy do Polski – podejmuje. – Po to pani przyjechała. Dziewczynka znaleziona w hali dworca w biały dzień, krótko przed Wigilią. – Wodzi wzrokiem po mojej twarzy i chyba podoba mu się to, co widzi.

Odruchowo się prostuję, w dłoniach gniotę wilgotną końcówkę warkocza.

– Potem co roku podczas każdych świąt zastanawiałem się, dlaczego opiekunowie zrobili tej małej taką krzywdę. Kiedyś pisałem artykuł o wigilijnym szaleństwie. Jest w nim coś przerażającego: ludzie kupują prezenty, nawet się zadłużają, byle tylko nie zawieść swoich rodzin. Biorą zwierzęta ze schronisk, a po Nowym Roku je zwracają. Włączają się w akcje charytatywne, wrzucają pieniądze do puszek bezdomnych. Ale w Wigilię wzrasta też liczba samobójstw, kradzieży i wszelkich innych przestępstw. Myślałem: matka chorowała na depresję albo miała problemy finansowe, a zbliżające się święta kompletnie ją rozbiły. Może zrobiła to w nadziei, że małą spotka lepszy los, skoro ludzie przed Wigilią są skorzy do wielkich gestów? Albo naćpała się lub upiła i zwyczajnie zgubiła dziewczynkę. Tyle że świadkowie nie zapamiętali pijanej kobiety czy narkomanki z dzieckiem. Powiem pani, że nie chciałem z nią rozmawiać.

– Z kim? – Chyba się pogubiłam. Coś mi umknęło. Pochylam się nad stołem, wpatrzona w niego z niepokojem.

– Z pani klientką. Z Sylwią.

– Była u pana?

– Nie powiedziała pani o tym? Przyszła kilka lat temu do budynku gazety i pytała o mnie ludzi, którzy tam pracowali. Nikt nie podał jej mojego numeru, dzięki Bogu mamy ochronę danych osobowych, ale spryciara wyszperała mnie w internecie. Napisała list, uprzejmy i miły, coś w rodzaju: „Proszę pana… Bardzo mi na tym zależy… Będę niezmiernie wdzięczna… To dla mnie niezwykle ważne… Pozdrawiam serdecznie…”.

Prawie nie zauważam kelnerki, która położyła przed nami karty dań. Rzucam półgłosem „dziękuję”, a dziennikarz odsuwa menu na bok.

– Nie chcę mieszać się w sprawy rodzinne – dodaje. – Pisałem o jej matce, ponieważ jestem dziennikarzem, ale nie mieszam pracy z życiem prywatnym. Kiedy więc pani klientka zaczęła mnie szukać, nie chciałem się babrać w temacie, który zamknąłem dawno temu. To nie mój cyrk i nie moje małpy!

Niespodziewanie dla mnie uśmiecha się jak paroletni łobuz, który zaraz kopnie piłkę w okno najbliższego mieszkania.

– I co pani myśli? Dlaczego kobieta zostawiła dziecko na dworcu?

Jakaś układanka, którą zaczęłam składać w chwili, gdy znalazłam wpisy Sylwii na forach internetowych, i potem, gdy widziałam ją w pracy z dziećmi – ta układanka chce się ułożyć, ale wciąż mam zbyt mało elementów. Leżą na stole pomiędzy moimi dłońmi, poruszam więc

palcami, ale trafiam tylko na zimne drewno.

– Bo nie stać jej było na prąd i ogrzewanie, więc chciała, żeby mała znalazła ciepły dom?

Nie werbalizowałam tego, ale od kiedy usłyszałam tę historię, wyobrażałam sobie tamten dramat właśnie w ten sposób: skrajnie samotna i nieszczęśliwa kobieta, której zabrakło pieniędzy i motywacji, przyszła z dzieckiem na dworzec. Nie wiem, czego naprawdę chciała: czy planowała popełnić samobójstwo, czy może miała zamiar wsiąść z dziewczynką do pociągu i rozpocząć nowe życie w nowym miejscu.

– Szuka pani dramatu. – Mężczyzna się uśmiecha jak kot nad miską pełną mleka.

Opowiada, że pierwszy raz zobaczył biologiczną matkę Sylwii krótko po aresztowaniu. Wcześniej napisał na temat Niebieskiej Dziewczynki kilka artykułów.

– Transportowali ją z aresztu na jakieś badania, chyba psychiatryczne. Pierwsze rzuciło mi się w oczy to, że jest młoda i ładna. Była naprawdę ładna, delikatna, o subtelnej urodzie, spokojnie mogła zostać modelką albo jakąś lokalną miss. Pomyślałem, że może to prostytutka, skoro taka śliczna. A potem kolega, który też o niej pisał, powiedział, że to studentka. Uczyła się na przedszkolankę. Pomyślałem: nieee! Taka kobieta nie zostawiłaby dziecka! Przecież dziewczynka miała już trzy lata! Przez trzy lata kobieta ją wychowywała, karmiła, musiała kochać. Więc co się stało, do jasnej cholery?

Słuchając go, chcę, żeby jego opowieść dotyczyła snu lub filmu, który obejrzał dawno temu.

– Zabiegałem o rozmowę z nią, ale jej adwokat odmówił. To były inne czasy. Wtedy dziennikarstwo nie obejmowało tak wielu sfer jak dzisiaj, nie było *reality show* czy długich wywiadów z dzieciobójczyniami, matka Madzi pewnie nie miałaby swoich pięciu minut. Sprawy takie jak porzucenie dziecka nie powinny były krzyczeć z pierwszych stron gazet, by nie budzić sensacji i chęci naśladownictwa. Ustawa o dziennikarstwie obywatelskim dopiero wchodziła w życie, wszystko jeszcze było w powijakach. Dano mi zielone światło, więc o niej napisałem. Mój kolega też o niej pisał, nawet udało mu się do niej zbliżyć. Miał informatora w milicji, otrzymał jasne odpowiedzi, ale nawet on nie miał okazji z nią rozmawiać. Przeciwko niej toczyła się sprawa o narażenie życia dziecka. Gdy tylko milicja znalazła matkę Niebieskiej Dziewczynki, ta zrzekła się do niej praw rodzicielskich.

– Zrzekła się praw? – Nie wiedziałam o tym. Myślałam, że matka Sylwii walczyła o dziecko, a praw została pozbawiona na drodze sądowej.

– Tak, od razu. Czego pani dokładnie szuka?

Dotykam pierwszego z rozsypanych elementów.

– Szukam siostry tej porzuconej dziewczynki.

Waha się. Widzę, że ma wątpliwości.

– Pani to zna: nie mamy czasu na śledzenie losów bohaterów naszych tekstów – odpowiada.

– Nie, nie. Źle mnie pan zrozumiał. Nie chodzi mi o to, czy Stefaniak miała później dziecko. Chodzi o siostrę Niebieskiej Dziewczynki, z którą prawdopodobnie się wychowywała.

Wydaje się zakłopotany, mam wrażenie, że zapędziłam go w kozi róg.

– A pani ma takie informacje?

– W pewnym sensie. A pan nie miał?

Wygładza palcami siwiejące włosy.

– Stefaniak chyba nie miała bliskich. Albo się jej wstydzili po tym, co zrobiła. Na sali sądowej nie zauważyłem nikogo takiego. Była całkiem sama, a reszta ludzi przeciwko niej. Zabijali ją wzrokiem.

Więc teraz jesteśmy na sali rozpraw. Pierwszy obraz: Monika Stefaniak stojąca na miejscu

dla oskarżonych. Ale nawet nie wiem, jak wyglądała matka Sylwii. Patrzę na dziennikarza, żądając więcej, oczekując całej opowieści o rozprawie.

– Byłem tylko przez kilka pierwszych minut. – Wycofuje się. – Potem już nas nie wpuszczali. Nie wiem, co ujawnił dalszy proces. Nic nie przeciekło do prasy. Zrobiło się trochę zamieszania wokół tej sprawy. Kobieta porzuciła dziecko: takie rzeczy dzieją się codziennie. Gdyby pani poszukała informacji w internecie albo w byle jakiej gazecie, przekonałaby się pani, ile tego jest. Ale zawsze przychodzi taki moment… – Zastanawia się i niespodziewanie pochyla nad stołem, by zajrzeć mi w oczy. – Ludzie szukają symbolu. Znaleźli ją.

Milczę; wiem, o co mu chodzi.

– Symbolu grzechu – wyjaśnia, źle odczytując moje milczenie. – Matka Niebieskiej Dziewczynki nadała się idealnie.

Potrząsam głową.

– Ależ rozumie pani! – odpowiada ostro, znowu źle interpretując mój gest. – Zamknęli ją. Potem czytałem, że wyszła za dobre sprawowanie po paru latach, ale wtedy nikt już nie pamiętał o sprawie Niebieskiej Dziewczynki, więc nie było sensu o niej pisać. W międzyczasie porzucono setki dzieci. Kogo by tam obchodziła kobieta, która zostawiła dziecko na dworcu, skoro inne matki robią gorsze rzeczy? Mój kolega napisał o niej wnikliwy artykuł; pewnie tam znajdzie pani informacje, których pani szuka. Wtedy przestałem się tym interesować. Kiedy tu jechałem, szukałem tego artykułu w internecie, żeby pani pokazać, ale nic nie znalazłem. Musiałaby pani próbować w jakichś archiwach. Kolega nie żyje, więc sam nie opowie. Wracając do Stefaniak: w chwili, gdy ją aresztowali, była jeszcze dość młoda. – Uśmiecha się, a ja zamieram, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę to mówi. – Dość młoda, żeby kolejny raz zajść w ciążę, i myślę, że tak właśnie zrobiła. Podejrzewam, że jest teraz przykładną matką.

Płatki śniegu spadają wokół mnie jak konfetti rozsypane w sylwestra. Ciągnąc walizkę, w głowie ciągle mam obrazy podsunięte mi przez dziennikarza. Zastanawiam się, czy Stefaniak naprawdę ma teraz dzieci, a jeśli tak, to jaką jest matką? Czy dzieci wiedzą o dziewczynce porzuconej na dworcu? Zdają sobie sprawę, że to ich siostra?

Dociera do mnie cichy dźwięk przychodzącej wiadomości. „Piszę w imieniu Sylwii Kalińskiej – czytam informację wysłaną z obcego numeru. – Sylwia źle się poczuła i…”

Rozlega się raptowny huk i trzask łamanych blach. Podnoszę gwałtownie głowę, zdumiona patrzę na samochód, który kręci piruet na środku trzypasmowej jezdni, podczas gdy opony głośno szumią na zalodzonym asfalcie. Jak na zwolnionym filmie obserwuję wykrzywioną przerażeniem twarz kobiety w środku, nad otwartą zmiażdżoną maską drugiego samochodu unoszą się kłęby jasnego dymu.

Zapominam o SMS-ie. Zostawiam walizkę na chodniku i biegnę w kierunku wypadku.

– Nic pani nie jest?! – wołam do kobiety, która próbuje się wydostać z rozbitego samochodu.

Drzwi się zakleszczyły, kobieta nie może ich otworzyć. Krzyczy, ale słowa giną w huku – kolejny samochód nie zdążył wyhamować na zalodzonej nawierzchni i uderza w wirujące auto. Ogłusza mnie chrzęst łamanych blach, wycie silnika. Spod maski samochodu wydobywają się kłęby pary.

– Zaraz panią wyciągniemy! – woła mężczyzna, który dołącza do mnie.

Obiegam samochód, próbuję otworzyć tylne drzwi i zauważam, że za przyciemnianą tylną szybą siedzi mały chłopiec. Jest tak wystraszony, że zakrywa głowę rękami. Udaje mi się otworzyć bagażnik.

– Niech pani wyjdzie tędy! – wołam. Szukam w kieszeni komórki, ale musiała mi gdzieś wypaść. – Proszę dzwonić po pogotowie! – krzyczę do przechodniów.

– Trzeba zadzwonić po karetkę! – podchwytuje ktoś inny.

Kobieta uwięziona w środku i w dodatku przypięta pasami uderza pięścią w okno.

Ludzie łapią za telefony, z samochodu wychodzi chłopiec, a ja szybko wsuwam palce pod jego brodę i spoglądam mu w oczy. Wszystko w porządku, nic się nie stało. Dziecko jest po prostu przestraszone.

Zauważam swój telefon porzucony w głębokim śniegu. Zapomniałam o SMS-ie, więc gdy rozświetlam ekran, zaskakuje mnie wiadomość: „Sylwia źle się poczuła i jest w szpitalu. Prosiła, żeby pani tu przyjechała”.

13

Współcześnie

Znajduję go w korytarzu na oddziale hematologii, gdzie właśnie kupuje kawę z automatu. Wiem, że to on, chociaż nikt mi go nie wskazał. Przyspieszam kroku, a wysoki, szczupły mężczyzna, który stoi odwrócony do mnie plecami, okutany w bluzę z kapturem, w spranych niebieskich dżinsach i butach z niebieskimi sznurowadłami, odbiera napój i gdy jestem już blisko, zauważam, że drżą mu ręce.

– Nazywam się Pola Michalak – mówię do jego pleców, zdyszana po szybkim marszu, i nagle robi mi się głupio, że przedstawiam się tak oficjalnie. Przecież wie, kim jestem. – Pan do mnie napisał?

– Tak.

Mężczyzna spogląda na mnie niebieskimi oczami, niepasującymi do czarnych włosów i równie ciemnych rzęs. Wydaje mi się znajomy, ale tylko przez moment.

– Jestem ojcem Mai – wyjaśnia.

– Domyślam się.

Tłumaczy, że dopiero wrócił z podróży, nie było go na Wybrzeżu przez kilka dni, ale słyszał o programie, który kręcimy. Jest wdzięczny za wszystko, co robimy dla jego partnerki. Sylwia na pewno zostanie w szpitalu do jutra, lekarze zrobią jej badania.

– Jeśli chodzi o program, który kręcicie, to myślę, że powinniście już skończyć – dodaje, patrząc mi w oczy. – Sylwia powinna się skupić na innych rzeczach.

Mija nas pielęgniarka pchająca wózek z lekami. Ściągam czapkę z głowy, wycieram smugi oleju z rąk i płaszcza.

– Nie mogę tak po prostu odpuścić – oponuję rwącym się głosem. – Obiecałam, że znajdę jej…

– Siostrę! – Andrzej wchodzi mi w słowo. Mam wrażenie, że za jego spokojnym głosem kryją się wielkie emocje. – Tracicie czas na poszukiwania kogoś, kto nigdy nie próbował znaleźć Sylwii. – Kolejne słowa są naładowane tak silnymi uczuciami, że na jego miejscu nie byłabym w stanie ich wypowiedzieć. Ale on mówi: – Nie wiem, ile zostało jej czasu, choroba postępuje bardzo szybko, a samymi lekami nie da jej się zatrzymać… Sylwia powinna być z dzieckiem! Na tym powinna się teraz skupić, zamiast tracić czas!

Przysuwam krzesło do jej łóżka. Czuję niepokój, taki sam jak na wyjazdach, gdy byłam korespondentką wojenną i jadąc do miasta wskazanego przez informatorów, przewidywałam, że za chwilę na własne oczy zobaczę śmierć. Uderza mnie papierowa bladość Sylwii, cienie pod oczami, zapchany katarem nos. Nie wiem, jak mogłam to wcześniej przeoczyć; czy całkiem oślepłam?

– Cześć. – Uśmiecha się i próbuje usiąść.

Patrzę na plaster na jej nadgarstku, zakrywający wenflon. Przeźroczysta rurka biegnie do kroplówki, z której sączy się lekarstwo. Gapię się na wzór chemiczny zapisany na torebce.

– Co mam robić? – pytam z natarczywością w głosie, nad którą nie panuję. – Zostałaś zaproszona do programu telewizyjnego, ale…

Przecież nie pojedzie. Musiałybyśmy pojechać do Warszawy pojutrze. To się nie uda.

W sali leżą jeszcze dwie pacjentki i obie przysłuchują się rozmowie, nawet nie udając, że jest inaczej.

– Czwarta władza. – Sylwia śmieje się słabo, wpatrzona we mnie przekrwionymi oczami. – Tak się mówi o mediach.

– Wiem, że tak się mówi. – Marszczę brwi. Nie wiem, do czego Sylwia zmierza.

– Masz rację, nie pojadę do Warszawy. – Pociera oczy, jakby poczuła się strasznie zmęczona. – Zabierz Maję.

Patrzę na nią przez chwilę, szukając delikatnych słów, by jej wyjaśnić, że to najgłupszy pomysł, jaki słyszałam. Mam zabrać siedmioletnie dziecko do Warszawy i postawić przed kamerami w programie o tak dużej oglądalności? Dzieci są nieprzewidywalne. Nie robi się takich rzeczy.

– Zabierz ją – powtarza z uporem. – Wypadnie o wiele lepiej niż ja.

Mam wrażenie, że czegoś mi nie mówi. Chce, żebym zabrała Maję, ale z całkiem innego powodu, a ja nie potrafię go odgadnąć.

Andrzej krąży po korytarzu z telefonem przy uchu i na siłę ścisza głos. Wyjaśnia córce, że jest z mamą w szpitalu. Nie, nie stało się nic złego, po prostu trzeba było po coś podjechać. Czy Sylwia tu zostanie? Może kilka dni, ale nie ma się czym martwić – przecież wróci do domu. Jak zawsze.

Za oknem zrobiło się ciemno jak w nocy. Pod sufitem rozbłysły jarzeniówki i w ich białym świetle kafle na podłodze robią się trupio blade. Słyszę trzask zamykanych drzwi, szum windy między piętrami.

– Czy możesz dać mi Donkę?

Dziewczynka oddaje słuchawkę, a Andrzej może przestać udawać.

– Donka, jestem w szpitalu – wyrzuca, zatrzymując się przy oknie, na którego parapecie zalega wysoka warstwa śniegu.

Patrzę na jego zgarbione ramiona, zauważam powtarzający się gest zaciskania palców na zamku bluzy i dociera do mnie wszystko, czego nie powiedział ani dziecku, ani Donce.

– Wiem, że miałaś pojechać po syna, ale… czy możesz wziąć ze sobą Maję? Robią Sylwii dalsze badania, źle się czuje. Póki nie podejmą jakiejś decyzji, powinienem tu zostać.

– Ja się nią zajmę – wtrącam i momentalnie żałuję, że to powiedziałam.

– Słucham? – Mężczyzna przysłania dłonią słuchawkę i patrzy na mnie, nie rozumiejąc, dlaczego mu przerywam. – Pani coś do mnie mówi?

– Zajmę się nią – powtarzam, sięgając po walizkę. – Proszę powiedzieć Donce, żeby na mnie poczekała.

Nie chcę wchodzić do mieszkania Watraków w obawie przed ojcem Donki, więc dzwonię z informacją, że czekam na dole przy bramie. Siostra Andrzeja sprowadza Maję kilka minut później. Razem wychodzą na ciemne podwórko, gdzie w lichym świetle latarni dziewczynka wydaje mi się rozespana. Pociera oczy i przygląda się nieufnie, gdy Donka popycha ją w moim kierunku.

– Ale ja nie chcę z nią iść! – Buntuje się. – Nie mogę zostać na noc u ciebie, ciociu? Będę grzeczna!

– Maju, idź. – Donka traci cierpliwość i na siłę odrywa rączki dziecka od swojej kurtki. – Nie rób problemów. Proszę cię, mamy dość zmartwień.

Idziemy, każda innym tempem, w milczeniu, którego nie udało mi się przerwać pytaniami ani o popołudnie spędzone u Donki, ani o ulubiony film Mai, jej ukochaną książkę albo przyjaciółkę. Dziewczynka mnie ignoruje. Wprawdzie trzymamy się za ręce, ale mam wrażenie, że rzuciłaby się biegiem i zapomniała o mnie w sekundę, gdyby tylko na horyzoncie pojawiło się coś ciekawszego. Walizka, którą ciągnę, głośno stuka na bruku.

– Chcesz obejrzeć bajkę? – W mieszkaniu sięgam po pilot od telewizora.

– Kanał sześć trzy cztery – odpowiada, zasiadając na kanapie przed ekranem, jeszcze w butach i kurtce.

Niczego o niej nie wiem, ani co je, ani co lubi. Nie umiem z nią rozmawiać, nie mam pojęcia, jak w ogóle rozmawia się z małymi dziećmi. W ostatnich latach jedyny kontakt z dziećmi miałam w Syrii, ale tam nie było mowy o jakiejkolwiek rozmowie. Trzeba było zrobić na tyle mocne zdjęcia, żeby ludzie na ich widok odłożyli posiłek, czując, że staje im w gardłach. I trzeba było mieć nadzieję, że organizacje humanitarne zjawią się na czas i wykonają kawał dobrej roboty, co jednak zawsze budziło moje wątpliwości.

Otwieram lodówkę i odczuwam ulgę, że półki są zapełnione produktami, z których mogę przygotować dobry posiłek.

Sylwia wytłumaczyła mi, gdzie są czyste poszwy i w którym pokoju mogę się położyć spać. Stawiam więc walizkę w niewielkim pomieszczeniu, którego okna wychodzą na dziedziniec między kamienicami, i niepewnie rozglądam się po półkach regałów, a potem otwieram szafę i patrzę na ubrania Sylwii zajmujące zaledwie kilka wieszaków.

Czuję się tutaj jak rozbitek.

– Kiedy mama wróci? – dopytuje się Maja, jakby też uważała, że nie powinno mnie tutaj być.

– Nie wiem, Maju.

– A kiedy przyjdzie tata?

– Wieczorem.

– Już jest wieczór.

Zatrzymuję się przy regale z książkami. Przebiegam palcem po grzbietach. Większość dotyczy psychologii – pewnie Sylwia uczyła się z nich na studiach. Moją uwagę przykuwa fotografia oprawiona w ramkę. To Andrzej i Sylwia młodsi o kilka lat. Leżą na trawniku; zdjęcie zrobiono z góry, jakby ktoś się nad nimi pochylał. Podrasowane graficznie, ma piękne kolory: soczysta zieleń trawy, niebieska apaszka Sylwii, jej czerwone usta, białe włosy i czarne kosmyki Andrzeja.

– Będziesz tu spać? – Głos Mai dobiega jakby z daleka.

– Przepraszam, nie słuchałam cię. – Odstawiam zdjęcie tam, gdzie stało. Tłumaczę, że dzisiaj na pewno zostanę w jej mieszkaniu. Już za późno, żebym szukała innego noclegu. – Chciałabym, żebyś też wreszcie zasnęła. Jest naprawdę późno, Maju.

Dochodzi dwudziesta pierwsza i powinnam ją położyć, tymczasem dziewczynka uparcie tkwi przed telewizorem, gdzie na kanale dziecięcym, ku mojej zgryzocie, bajki są nieprzerwanie nadawane aż do północy.

– Co to za koszmarny program? – irytuję się.

Mała, drobna figurka, która nawet nie sięga stopami podłogi, gdy tak siedzi na kanapie, patrzy na mnie pociemniałymi ze złości oczami, kiedy w końcu wyłączam telewizor w połowie kolejnej bajki.

– Nie chcę, żebyś tu spała! – stwierdza gniewnie. Wydaje się zła na cały świat. Być może wie o czymś, o czym ja nie mam jeszcze pojęcia, ponieważ nie znam się na chorobie Sylwii.

– Ktoś wymalował ci gwiazdy na suficie? – pytam, gdy pochmurnie nakrywa się kołdrą i układa maskotki przy poduszce tak, jakby kolejność miała wielkie znaczenie.

Gwiazdy namalowano nikłą farbą, prawie nic nie widać. Mrużę oczy, a dziewczynka przygląda mi się niechętnie. Próbuję się do niej uśmiechnąć.

– To pewnie stary malunek, dlatego go nie widać.

– Jest nowy. – W jej głosie słyszę naganę. – Mama go zrobiła.

– Widocznie miała słabe farby.

– Ona nie ma słabych farb!

Gaszę światło i nieruchomieję z uniesioną głową. Maja miała rację. Fluorescencyjne punkciki raptem rozświetlają sufit, tworząc nocne niebo – mogę tu znaleźć autentyczny układ gwiazd i planet. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w kulę Marsa, patrzę na purpurowe pierścienie Jowisza. Sylwia odtworzyła nawet kilka mgławic i namalowała kometę ciągnącą za sobą ogon. Moją uwagę zwraca jednak gwiazda, która wydaje się w tym układzie najważniejsza, a której nie znam.

– Jak się nazywa? – pytam szeptem.

Dziewczynka siada na łóżku, a na jej ustach nareszcie pojawia się uśmiech.

– Mama namalowała ją dla mnie – odpowiada. – Ta gwiazda to ja.

14

Gdańsk Wrzeszcz, 2000 rok

Zalała płatki śniadaniowe mlekiem i jedną miskę postawiła przed Kaszmir, ale kobieta sięgnęła po papierosy.

Używały tych samych perfum, korzystały z tych samych kosmetyków i wymieniały się biżuterią. Mimo że nie łączyły ich więzy krwi, Sylwia czuła, jakby z każdym rokiem bardziej zrastała się z Kaszmir.

– Jedziemy dzisiaj do domu dziecka. – Dziewczyna zaczęła energicznie mieszać łyżką w płatkach. – Moja klasa chce zawieźć paczki z zabawkami.

– Do którego domu dziecka? – Kaszmir przełożyła papierosa do drugiej ręki.

– Do domu małego dziecka w Gdańsku Głównym.

Powietrze w kuchni nagle zrobiło się gęste. Stojący na lodówce zegar głośno tykał. Sylwia starała się rozpuścić miód w płatkach, chociaż mleko już zdążyło wystygnąć. Po Kaszmir nabrała nawyku obrysowywania oczu czarną kredką i wiązania włosów na czubku głowy. Teraz odgarnęła przedramieniem niesforne kosmyki, wciąż zbyt krótkie, by dało się je związać gumką.

– Stamtąd cię wzięłam. – Niski, schrypnięty głos Kaszmir rozbił ciszę.

– To tutaj? – Olga przybliżyła się do okna busu. – Nie jest tak źle. Myślałam, że będzie gorzej…

Pod jasnym, ale zaciągniętym chmurami niebem dom dziecka wydawał się kolorowym i przyjaznym miejscem. Sylwia też spojrzała w okno. Zobaczyła szeroki trawnik świeżo porośnięty trawą, a przed budynkiem rozległy brukowany parking. Przyszło jej do głowy, że dawno temu stał tu samochód Lamków, potem Kaszmir…

– Dojechaliśmy! – Wychowawczyni podniosła się do wyjścia.

Sylwia przewiesiła torbę przez ramię i opieszale ruszyła za resztą uczniów.

– Dziewczyny, chłopcy, bierzemy paczki! – zawołała wychowawczyni, rozdając kartony z rzeczami.

Sylwia wzięła jeden, Olga drugi.

– Nie chciałabym tu mieszkać – zamruczał ktoś za jej plecami. – Te dzieci są takie biedne. Nie wiem, jak to przeżyję.

Nie odwróciła się. Pomyślała, że jeśli nie będzie reagować, nikt się nie domyśli.

W holu grupę powitała kobieta o włosach przyprószonych siwizną, ubrana w bladoróżową garsonkę i niemodne czarne czółenka. Podziękowała klasie za przywiezione rzeczy i chęć spędzenia z jej podopiecznymi kilku godzin.

– Piękna inicjatywa – dodała, unosząc kciuk. – Dzieci są bardzo podekscytowane, od kiedy dowiedziały się, że odwiedzą nas wolontariusze. Dla nich to prawdziwe święto! Ho, ho, jeszcze przywieźliście prezenty. Będą wniebowzięte.

Uczniowie cisnęli się w niewielkim korytarzu, gdzie zachęceni przez kobietę zdejmowali kurtki. Sylwia odstawiła karton na podłogę, a jej spojrzenie uciekło do uchylonych drzwi na lewo od recepcji. Dziwnie odrętwiałymi palcami zaczęła rozpinać guziki kurtki.

– Pospieszcie się! – ponaglała wychowawczyni.

– Zapraszam do bawialni! – Dyrektorka puściła uczniów przodem. – Dogoń nas – zwróciła się do Sylwii, która dopiero wyplątała się z chusty.

Drzwi bawialni zamknęły się i została w holu sama. Minęła chwila, ale nikt po nią nie wrócił ani jej nie zawołał. Schyliła się po karton, lecz nagle zerknęła na kręcone drewniane schody pnące się po łuku na piętro. Wychyliła głowę, próbując dojrzeć, co znajduje się wyżej, jednak nad barierką widziała tylko ściany ozdobione zdjęciami grup dzieci.

Powinna pójść do bawialni, ale ciekawość była silniejsza. Powoli weszła na pierwszy stopień schodów. Nad jej ramieniem wisiała fotografia oprawiona w szkło. Sylwia zbliżyła twarz do zdjęcia. Szukała siebie, szukała dziewczynki o jasnych włosach i dużych niebieskich oczach, ale znalazła tylko obce twarze.

„Może na fotografii znajdę Azę? – przeszło jej przez myśl. – Aza na pewno też trafiła do domu małego dziecka, gdy odebrano ją Romom".

Piętro okazało się długie, tonęło w cieniach. Sylwia powoli szła korytarzem, od którego odchodziły drzwi do pokoi. Jedne były uchylone. Zauważyła wnętrze z ładnymi, solidnymi, kolorowymi meblami. Delikatnie, starając się poruszać jak najciszej, rozchyliła drzwi szerzej i w końcu weszła do środka.

Piętrowe łóżka. Przypomniała sobie tamte piętrowe łóżka, które należały do świata wszystkiego, czego nie chciała pamiętać. Wymknęły się z lamusa, w którym tkwiły przez długie lata, drewniane, nie tak kolorowe jak te dzisiejsze.

Przelotnie dotknęła maskotki siedzącej na dolnym posłaniu. Jej palce przebiegły po przyborach do rysowania rozrzuconych na biurku.

Popatrzyła na swoją dłoń. Roztarła ją. Wydawało jej się, że widzi niewielki, niemal mikroskopijny okruch szkła. „Flakon perfum mamy", przypomniała sobie. Przed oczami miała coś jeszcze, coś, czego w tej chwili nie potrafiła rozpoznać. Była to czyjaś obecność, jakiś cień.

Uderzył ją widok zdjęć poustawianych na półkach. Znajdowały się na nich całe rodziny, po kilkoro dzieci, zwierzęta. Wzięła do ręki kopertę zaadresowaną do jakiegoś dziecka i ze środka wysunęła kartkę pocztową. Bajkowe panoramiczne ujęcie Sopotu. Na odwrocie ktoś skreślił słowa tak krzywym pismem, jakby należało do małego dziecka: „Tęsknimy za tobą, Moje Kochanie!".

Przeleciała koło niej ćma. Sylwia odruchowo cofnęła głowę, ale kiedy chwilę później próbowała znaleźć owada, okazało się, że już go nie ma. Ćma tak jak odłamki flakonu perfum należała do świata, który już nie istniał.

– Tak myślałam, że tutaj cię znajdę.

Z nerwów wywróciła jedno ze zdjęć, a koperta wypadła jej z ręki. Schyliła się, ledwie patrząc na dyrektorkę ośrodka, która zagradzała wyjście. Kobieta skrzyżowała ramiona na piersiach i oparła się plecami o szorstką ścianę.

– Co tu robisz? – Jej głos już nie brzmiał przyjaźnie. Zimnym spojrzeniem mierzyła stojącą przed nią dziewczynę o umalowanych na czarno oczach, włosach tak jasnych, że pewnie tlenionych, i ubraną w o wiele za krótką spódnicę. – Myślisz, że znajdziesz jakieś pieniądze albo cenne rzeczy?

Sylwia odłożyła kopertę tam, skąd ją wzięła. Trzęsły się jej ręce, więc schowała je za siebie.

– Co zdążyłaś zabrać?

– Nic. – Potrząsnęła głową.

– Więc po co przyszłaś?

Rozchyliła usta, by odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

– Trafiają do nas dzieci z pogotowia adopcyjnego albo ze szpitali – podjęła kobieta niechętnie. – Często o skierowaniu ich tu decyduje sąd, ponieważ rodzice je zaniedbują albo nie są w stanie się nimi opiekować. Naprawdę sądziłaś, że znajdziesz w pokoju coś cennego?

Ćma wróciła i wirowała przy głowie dyrektorki, ukazując kolorowe skrzydła w świetle z korytarza.

– Mama mnie tu oddała.

Nigdy nie sądziła, że ktoś może jej nie uwierzyć. Była pewna, że dom dziecka to etykieta widoczna nawet wtedy, gdy ubierze się w dobre gatunkowo rzeczy, umaluje i będzie udawać kogoś innego. Ale dyrektorka obrzuciła ją pełnym urazy wzrokiem i odpowiedziała zimno:

– Musiałabyś się bardziej postarać, żebym ci uwierzyła.

Sylwia poczuła, że usta wyginają się jej w uśmiechu.

– Co cię tak bawi? Zaraz zejdziemy do twojej wychowawczyni i przestanie ci być wesoło.

Spoważniała. Minęło kilka chwil i gdy dyrektorka raptownie zawróciła na schody, Sylwia zatrzymała ją roztrzęsionym głosem. Już bez wahania opowiedziała kobiecie wszystko, co wiedziała o swojej adopcji.

– Tak jak myślałam, zostałaś oddana do adopcji całkowitej. – Kobieta znalazła te informacje w komputerze w swoim gabinecie. Wcześniejszy opryskliwy sposób bycia ustąpił łagodniejszej, pełnej ciepła postawie. – Adopcja całkowita polega między innymi na tym, że nie masz dostępu do żadnych danych sprzed niej. Decyzją sądu otrzymałaś nowy akt urodzenia w chwili, gdy oddano cię do adopcji, i tylko informacje od tego momentu są dla ciebie jawne. Na pewno o tym wiesz.

Być może w komputerze, którego ekran był odwrócony do Sylwii tyłem, znajdowały się dane biologicznej matki i wszystkie ważne informacje. Gdyby znalazła w sobie dość siły, przekręciłaby ekran albo obeszła biurko, nawet jeśli musiałaby popchnąć kobietę. Tymczasem czuła się bezwolna, więc ciągle stała w miejscu, które wskazała dyrektorka. Jej uwagę przyciągnęły wiszące w gabinecie zasłony. Wyglądały na stare, luźno zwisały po obu stronach okien. Sylwii wydało się, że wyszyto na nich jakieś owady. Zmrużyła oczy. Na zasłonach znajdowały się ćmy.

Sylwia potarła powieki. Poczuła się zmęczona, jakby to zmęczenie miało uchronić ją przed poznaniem prawdy.

– Nie jestem upoważniona, żeby o tym z tobą rozmawiać – stwierdziła dyrektorka. – Skończyłaś osiemnaście lat, możesz więc wystąpić do sądu z prośbą o odtajnienie pierwszego aktu urodzenia. Musisz to jednak uzasadnić. A teraz wracaj do reszty grupy.

Nie mogła stąd wyjść. Nie teraz, gdy nie otrzymała jeszcze żadnych odpowiedzi. Rozpaczliwie poszukała więc właściwego pytania.

– A… o poszczególnych przypadkach może pani mówić?

– O jakich przypadkach? – Dyrektorka zmarszczyła brwi.

– Na przykład dziewczynki, która… – Sylwia zdała sobie sprawę, że mówi niemal szeptem – …która została adoptowana w ramach adopcji całkowitej.

Uśmiech rozluźnił twarz kobiety.

– Tak, mogę powiedzieć, że akurat w tym przypadku dane zostały zmienione przez rodziców adopcyjnych.

– Co to znaczy?

– Dziewczynka urodziła się 24 grudnia, ale rodzice wpisali inną datę.

– To… to moja data urodzenia? – Ciężko wsparła się o biurko. 24 grudnia. Wigilia. Więc matka porzuciła ją w dzień trzecich urodzin. Uodpornienie się to nie to samo co amnezja. Sylwia próbowała sobie poradzić z tym, co usłyszała, ale nie mogła się otrząsnąć. To nie choroba, nie sen. Dlaczego więc miała wrażenie, że z zasłon poderwała się ćma i wiruje wokół lampy? – O… obchodzę je w czerwcu. – Spróbowała pozbierać myśli, zadać kolejne właściwe pytanie. – Ale co zmienili… poza datą urodzin? Moje imię?

Od razu przyszły jej do głowy różne możliwości. Jako mała dziewczynka chciała mieć na imię Róża, potem pragnęła, by Kaszmir zwracała się do „Amelka" – brzmiało tak miękko, łagodnie, jak wirujący puch dmuchawca.

– W tym przypadku, o którym rozmawiamy, dziecko w przeszłości również miało na imię Sylwia – odpowiedziała kobieta z westchnieniem i odsunęła się od monitora, ostentacyjnie wyłączając komputer.

Dziewczyna wciąż jednak stała przed biurkiem i wciąż czekała, opierając się mocno o blat.

– Nic więcej ci nie powiem – oznajmiła dyrektorka.

– Ale to moje dane… – wyszeptała Sylwia. W oczach kobiety dostrzegła współczucie. Miała wrażenie, że do czegoś się zbliżyła, umysł chciał otworzyć jakąś szufladkę, w której coś się skrywało. Leżało tam tak długo, w ciemności, czekając na promień światła.

– Sylwio, słyszałam, że ludzie lepiej radzą sobie w życiu, kiedy znają swoje korzenie – dotarł do niej pełen empatii głos dyrektorki. – Pracuję tu bardzo długo i wiele widziałam. Widziałam dzieci, które kochały rodziców bez względu na to, ile wyrządzili im złego. Widziałam też dzieci, które doskonale radziły sobie w życiu, póki nie dowiedziały się, że ich rodzice są uzależnieni od alkoholu lub narkotyków albo łamią prawo.

Ćma przysiadła na stole, zauważona tylko przez Sylwię.

Dyrektorka chyba uznała, że nie zrobi dziewczynie krzywdy ani nie sprowadzi na siebie prokuratora, gdy zdradzi jeszcze jedną informację, którą znalazła w komputerze.

– Pochodziłaś z ciąży bliźniaczej. Miałaś siostrę.

W głowie Sylwii nastąpiło jakieś przetasowanie. To, co zawsze znajdowało się najgłębiej, ukryte przed światem, teraz wypłynęło na wierzch. W drodze do domu zobaczyła dziewczynkę, którą wzięła za swoją siostrę.

Przystanęła, ledwie łapiąc oddech. Potrzebowała chwili, żeby dotarło do niej, że ta dziewczynka nie mogła być jej siostrą. Siostra, o ile wciąż była na świecie, musiałaby mieć teraz dziewiętnaście lat, nie mogła wyglądać jak trzylatka.

I znowu błąd. Nie było pewności, że siostra w ogóle żyje, więc jaki sens miało zastanawianie się, czy wyglądałaby właśnie tak?

Pisanie szło jej opornie, długopis przerywał, światło słońca raziło w oczy, kiedy rozłożyła notes na kolanach.

Kaszmir zapytałaby teraz: „Sylwio, co ty, do licha, wyrabiasz, cwaniaro?". Ale w tej chwili Kaszmir nie miała żadnego znaczenia.

„Świat jest źle urządzony, skoro dopiero jako pełnoletnia osoba dowiaduję się, że istniejesz – napisała Sylwia w notesie. – Ze słowem »matka« powinny się kojarzyć ciepło, bezpieczeństwo i miłość. Ja nigdy tak nie czułam. Minęły lata, od kiedy ostatni raz wzięła

mnie za rękę. Nie wiem, ile czasu minęło, nim ostatni raz przytuliła Ciebie. Nie wiem, kim jesteś, gdzie jesteś, jak mam Cię szukać. Ona nie zostawiła mi listu, niczego nie wytłumaczyła. Pamiętam butelkę perfum, uszminkowane usta tej kobiety i… to wszystko. Nieme obrazy".

– Śniło mi się, że szłam nocą przez rozległą plażę. Było ciemno, wokół nie widziałam żadnych ludzi. Nie bałam się, bo były ze mną psy mojej cioci, która ma ranczo na drugim końcu Polski. Dwa łaciate kundle. Łasiły się do moich nóg i wiedziałam, że w razie czego mi pomogą. Ale potem zobaczyłam, że na plaży stoi dziewczynka. Miała nie więcej niż trzy lata i wyglądała jak ja w jej wieku. Spojrzałam na jednego psa: merdał ogonem i wyglądał tak, jakby się cieszył, że ta dziewczynka przyszła. Nagle wszystko wokół nas zaczęło więdnąć, z drzew spadały liście, trawa gniła, woda ciemniała. Obudziłam się wystraszona, nie mogłam złapać tchu.

Stefan przystanął w miejscu, gdzie bulwar przechodził w szeroki deptak, a morze pod nim było głębokie na kilka metrów.

– Co cię tak przeraziło? – zapytał ze zdziwieniem.

– Niebieski kombinezon – odpowiedziała Sylwia i zaczęła płakać.

Niebieski kombinezon nie miał znaczenia przez całe lata, tym bardziej że zniknął podczas przenosin Sylwii z pogotowia opiekuńczego do domu dziecka albo z domu dziecka do Lamków, albo może podczas podróży do Kaszmir. Pewnie trafił do innej trzyletniej dziewczynki albo do trzyletniego chłopca. Być może ubierało się w niego całe pokolenie dzieci, zanim znalazł się w śmietniku. Nigdy o tym nie myślała, nie zastanawiała się nad losem ubranka. Nabrało znaczenia dopiero teraz, po latach, gdy zaczęła o nim opowiadać.

Niebieski kombinezon należał oczywiście do niej – wiedziała to od zawsze, nigdy o tym nie zapomniała, chociaż ukryła wraz z resztą tego, czego nie chciała pamiętać, i uśpiła jak w kokonie niemal na całe życie.

– Co to za niebieski kombinezon? – Stefan wyglądał na coraz bardziej zdziwionego. Odruchowo poszukał w kieszeni chusteczki, ale nie znalazł, więc otworzył dużą torbę, którą nosił przewieszoną przez pierś. – Do kogo należy? Dlaczego płaczesz?

Miała wrażenie, że wypowiedzenie tego na głos to najgorsza rzecz w jej życiu.

– Nosiła go też moja siostra.

Usłyszała jęk – to ona jęczała.

– Twoja siostra? – Stefan poderwał głowę i zastygł z ręką w torbie. – O czym ty mówisz? Jaka siostra? Co się z nią stało?

– Została porzucona? – Usłyszała typową dla dziecka pytającą intonację.

– Porzucona? – Stefan wyjął rękę z torby, bez chusteczek. – Gdzie? O czym ty opowiadasz? – W jego oczach malował się coraz większy niepokój.

Sylwia też się bała. Miała wrażenie, że stoi na krawędzi i albo spadnie w przepaść, albo będzie musiała się cofnąć i znowu dreptać w miejscu.

– Zrobiła jej coś złego? – Sylwia zaczęła się kołysać. Zacisnęła ręce na brzuchu, który bolał nieustannie od kilku dni, od kiedy dowiedziała się od dyrektorki domu małego dziecka, że ma siostrę.

– Sylwio, o czym ty, do cholery, mówisz? – Stefan się zdenerwował.

Zatrzymała wzrok na wodzie, która zaraz za metalową barierką ciemniała od rzuconego na nią cienia bulwaru. Odpowiedzi na pytania Stefana kryły się w głębinach jej pamięci, ale nie czuła się gotowa, by je wydobyć.

15

Gdańsk Wrzeszcz, 2002 rok

Jesienią plaża była wyludniona aż po horyzont. Morze kipiało, popychane wiatrem, a fale z hukiem rozbijały się o kamienie. Andrzej prowadził Sylwię za rękę. Wspięli się na wydmy porośnięte trawą, która po lecie zaczynała powoli umierać.

– Chodź tutaj! – Pociągnął ją w zagłębienie między dwoma wzniesieniami.

Było tak chłodno, że Sylwia schowała dłonie pod rozpięty płaszcz swojego chłopaka. Czuła ciepło bijące z jego ciała, palce Andrzeja okazały się jednak lodowato zimne, gdy wsunął rękę pod jej sweter.

Dobiegło ich szczekanie psa i na wydmę wdrapał się nieduży kundel.

– Idź stąd, spadaj! – Andrzej odganiał go ze śmiechem, ale pies nie przestawał ujadać. – Do cholery, psie, spadaj! Nie widzisz, że jesteśmy zajęci?!

Kiedy pochylił się w stronę Sylwii, jego włosy osunęły się na jej twarz.

– Niedługo wynajmę mieszkanie – powiedział szeptem. – Wujek zatrudni mnie w warsztacie i wreszcie będę zarabiał. Donka chce wyjść za mąż, rodzina naciska, żebyśmy z Tonim zwolnili jeden pokój. Matka też to popiera, uważa, że powinienem już skończyć z nauką.

Sylwia odgarnęła jego włosy i przytrzymała, żeby na nią nie spadały.

– Chcesz skończyć z nauką? – zapytała ze zdziwieniem, przenosząc spojrzenie z jednego jego oka na drugie.

Zastanowił się. Potrząsnął głową.

– Zamieszkaj ze mną – dodał łagodnie. – Utrzymam nas, damy sobie radę.

Marszcząc brwi, wodziła wzrokiem po jego twarzy.

– Sylwio, złożyłem ci propozycję. – Wyczuła jego zakłopotanie, a potem niepokój. Wciąż próbował żartować: – Nie trzymaj mnie w niepewności tak długo!

Minęło sporo czasu, zanim wypuścił ją z objęć.

– Nie usłyszałem – stwierdził z uśmiechem, ale jego spojrzenie nerwowo omiatało twarz dziewczyny, jakby chciał z niej coś wyczytać. – Nie odpowiedziałaś… – Urwał.

Czuła, że chciał powiedzieć: „Jeszcze nigdy nie powiedziałaś, czy mnie kochasz”.

– Pies też nie usłyszał, więc co jest grane?

Usiadł na piasku i ona też usiadła. Lodowaty podmuch wiatru rozgarnął jej włosy i oziębił skórę. Rozchyliła usta, próbując powiedzieć „tak”, ale słowa nie wybrzmiały. Odwróciła wzrok. Andrzej ciągle na nią patrzył, teraz już z lękiem. Kiedy raptownie pochylił głowę, pomyślała, że to ostatnia szansa.

– Tak. – Wypadło cicho, jak wypuszczony oddech.

Dotknęła drewnianego stołu w sklepie meblowym. Przesunęła po nim dłońmi.

– Ten mi się podoba.

Andrzej chciał mieć nowoczesne meble, ale ona marzyła o drewnianych regałach, mnóstwie bibelotów, nie chciała słyszeć o żadnych roletach w oknach – w grę wchodziły tylko zasłony i firany. Najważniejszy był jednak duży stół, stojący na środku pokoju, najlepiej rozkładany.

– Po co nam taki duży? – Andrzej podszedł do Sylwii. – Myślisz, że będziemy przyjmować gości?

Przy takim dużym drewnianym stole w reklamach telewizyjnych i filmach zasiadały całe rodziny, ale tego Sylwia nie zamierzała mówić Andrzejowi.

– Ten mi się podoba – powtórzyła. – Nie możemy go wziąć?

Andrzej też przesunął po nim dłonią. W końcu kiwnął głową.

– No dobra, weźmiemy go.

Muzyka wypełniała puste mieszkanie, w którym na razie stały tylko łóżko i stół.

– Mam wrażenie, że cała jesteś z wełny. – Śmiejąc się, Andrzej wyplątywał Sylwię z długiego białego swetra. – Masz też wełnę pod swetrem? I gdzie, na Boga, jest twoja głowa?

Roześmiała się, rozchyliła usta pod naporem jego warg. Wilgotny język, a potem ciepło rąk. Zamknęła oczy, gdy Andrzej kreślił linie na jej ciele, gdy uniósł jej sweter.

Chciała, żeby ją rozbierał. Moment oczekiwania, ciało ocierające się o ciało, elektryzujące się włoski, gorąco, nieomal iskry, jak przy pocieraniu kamienia o kamień.

Z policzkiem przytulonym do jego piersi wciągała zapach flanelowej koszuli, delikatną woń wody po goleniu, zapach skóry. Wiodła wzrokiem za ich rękami, gdy spotkały się na jeszcze niewymalowanej ścianie. Jego palce, jej palce. Spletli dłonie, zacisnęli je, gdy Andrzej nakrył Sylwię swoim ciałem, gdy od miękkości i ciepła jej skóry zamykały mu się powieki, gdy ją całował, kołysał. Pasowali do siebie jak dwa przyciągające się magnesy.

Przyjemnie było siedzieć z nim na balkonie, ze stopami opartymi o giętą barierkę i patrzeć na znajomy widok za kamienicą.

– Właśnie tak to sobie wyobrażałam – powiedziała Sylwia. – Jest idealnie.

Widok zapierał dech. Gasnące słońce rzucało kaskady światła, migotało na wodzie zatoki. Nigdy wcześniej nie czuła takiego spokoju.

Tydzień później znów przyśniła jej się zbyt jasna noc. Zbyt czysta podłoga w holu dworca. Ledwie szła; nogi miała ciężkie jak z ołowiu, przygniatało ją ostre światło.

Obudziła się w ciemności, przy Andrzeju. Kiedy wyciągnęła ręce, poczuła pod nimi skórę mężczyzny. Jego ciało – gorące, realne. Odruchowo przysunęła się bliżej, oparła policzek o jego plecy. Próbowała ochłonąć po śnie, ale miała wrażenie, że tak naprawdę wcale się nie obudziła, że ciągle śni. Wszystko widziała jak przez mgłę, czuła, że spada w jakąś głęboką ciemność. Pod policzkiem poczuła pulsowanie krwi Andrzeja, bicie jego serca.

Płytki sen przeszedł w głęboki. Nagle jej ciało się wygięło: brzuch wysunął się trochę do przodu, a ramiona do tyłu – przybrała postawę małego dziecka. Śniła, że szła korytarzem, prosto do pokoju Kaszmir. Z popielniczki leżącej na łóżku matki unosiła się smuga dymu. Pomalowane na turkusowo paznokcie kobiety odcinały się od bieli poszwy, a jej twarz wydawała się papierowo biała.

– Mamo… – Sylwia wspięła się na łóżko matki, usiadła przy niej, gniotąc rąbek koszuli. – Mamo, chciałabym mieć siostrę. Czy urodzisz dziecko?

Kaszmir przełożyła sobie popielniczkę na udo.

– Jak Bóg pozwoli, moja panno. Przecież nie ja decyduję…

– A jeśli to będzie dziewczynka… moja siostra… Jak ją nazwiemy, mamo?

Kaszmir zaczęła tracić zainteresowanie rozmową.

– Och, nie wiem. Co to za pytania? Może Julia? Zawsze podobało mi się to imię.

– A Aza?

Kaszmir znieruchomiała. Potem pogładziła Sylwię po czole.

– Ciii… – wyszeptała. – Nie myśl o Azie. Ciiii… Nikt przecież nie wie, czy Aza nie jest już w niebie z Panem Bogiem…

Kaszmir przeszła przez próg mieszkania z siatkami pełnymi zakupów.

– Mieszkanie jak każde – mruknęła, kierując się do kuchni. – W lodówce pewnie pustki. Dobrze, że zrobiłam zakupy. Potrzebujecie czegoś? Andrzej ma pieniądze? Kto za to wszystko płaci?

Andrzej, zdyszany, w rozpiętej bluzie, stanął w progu jak wryty. Wbiegał po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie. Nie spodziewał się Kaszmir, więc uśmiech zastygł mu na ustach.

– Kto za to płaci? – powtórzyła Kaszmir, rzucając mu krótkie spojrzenie. – Twój wujek? Sporo wam pomaga, jak widzę. Bogaty człowiek. Można wiedzieć, na czym się dorobił?

Andrzej spojrzał na Sylwię.

– To mój chrzestny – odpowiedział niemrawo. – Ma dużą firmę. Zawsze nam pomagał. U nas w rodzinie to normalne. Dał mi pracę.

– Tylko pozazdrościć takiego chrzestnego – odparła Kaszmir bez euforii, wyjmując z siatek produkty i wstawiając je do lodówki. – To może namów go jeszcze, żeby ci załatwił lepszą pracę. Chyba nie zamierzasz całe życie robić u mechanika, skoro Sylwia w przyszłości będzie panią psycholog?

Wyjęła ciasto z piekarnika i odstawiła do ostygnięcia. Pierwsze ciasto, jakie kiedykolwiek upiekła. Pachniało cudownie, wyglądało doskonale. Jeszcze nigdy nie była taka podekscytowana. Andrzej dostał od Donki ekspres do kawy, więc teraz jej uwagę zajął mrugający czerwony przycisk.

– Coś takiego, prawdziwa pani domu! – Olga się roześmiała. – Nigdy bym nie pomyślała. Nawet nie wiedziałam, że potrafisz piec.

– Chodź. – Sylwia pociągnęła ją za sobą w stronę sypialni.

Zatrzymały się w progu. Olga wpatrzyła się w duże łóżko, kupione przez Andrzeja.

– Nigdy nie zazdrościłam ci Kaszmir, ale teraz zazdroszczę – stwierdziła z westchnieniem. – Nie masz pojęcia, jak to dobrze, że ona się tak nie przejmuje. Moja mama w życiu nie pozwoli mi zamieszkać z Pawłem przed ślubem, choćbym miała sto lat!

Kiedy wrócił Andrzej, Sylwia przesiadła się na krzesło obok niego. Olga opowiadała o koniu, którego wydzierżawili dla niej rodzice.

– Musisz koniecznie do mnie wpaść i na nim pojeździć – namawiała.

Sylwia odruchowo przytaknęła. Całą jej uwagę pochłaniał teraz Andrzej. Nie rozumiała, skąd wzięła się tak silna potrzeba, by nieustannie dotykać swojego chłopaka: podczas rozmowy oparła głowę o jego ramię, musnęła pod stołem jego kolano, położyła mu dłoń na ramieniu, gdy wstawała z krzesła, żeby odprowadzić Olgę do drzwi.

Rano obudził ją dźwięk odpływającego kutra rybackiego. Andrzej jeszcze spał. Pozbierała z podłogi rozrzucone ubranie, wyszła przed kamienicę i odpięła rower.

Słońce rozlewało się po chodniku, gdy w białej spódnicy i w kapeluszu na głowie jechała w kierunku pobliskiego bazaru. Miejscowy targ tętnił życiem, opalone na ciemny brąz przekupki przekrzykiwały się wzajemnie. Sylwia przeciskała się przez gęsty tłum kupujących,

oglądała warkocze czosnku, żółte śliwki, zieloną paprykę. Była dumna, że potrafi się targować.

– Dam tyle – powiedziała.

– Za mało. To warzywa z prawdziwej polskiej ziemi, a nie jakieś sztucznie hodowane, spryskane chemią.

– Wiem, ale nie dam więcej.

Wybrała świeże ryby na obiad, przypominając sobie, co mówiła matka Olgi: ryba musi być tak sztywna, by nie wygięła się położona na ręce.

W drodze powrotnej zatrzymała się przy niewielkim parku. Trawa wydawała się miękka niczym plusz. Sylwia poczuła się jak dziecko, gdy zdjęła buty i weszła na trawnik. Położyła się, wsunęła ręce pod głowę. „Tylko chwilę tu poleżę!" – pomyślała. Słyszała bzyczenie owadów, czuła woń kwiatów i ziemi. Potem, jak z długiego tunelu czasoprzestrzeni, dobiegały ją dziecięce głosy:

– Ene, due, rabe…

Kiedy rozchyliła powieki, zobaczyła motyla siedzącego na trawie niedaleko niej. Wpatrywała się w niego przez kilka chwil, podczas gdy uśmiech jej gasł, a słońce zaczęło się chować za chmurę i na ziemi pojawiły się szarawe cienie. Motyl odfrunął.

– Wstawaj, śpiochu! – Rzuciła w Andrzeja poduszką.

Mężczyzna nie zareagował, więc zostawiła nierozpakowane siatki na blacie stołu i położyła się przy nim w pościeli. Słońce znowu świeciło, układało się na podłodze szerokimi kwadratami.

– Nie musisz nic mówić – powiedział Andrzej sennie, nie otwierając oczu. – Możemy po prostu uprawiać seks.

Uśmiechnęła się.

– To nie wchodzi w grę. – Słowa, których nie była w stanie powiedzieć tak długi czas, teraz przyszły naturalnie, jakby czekały właśnie na ten moment. – Kocham cię.

Zamrugał, jakby coś wpadło mu do oczu. Kiedy na nią popatrzył, przez chwilę widziała w jego oczach wspomnienie dzieciństwa.

Oparła usta o jego policzek. Teraz mogła już powtarzać do znudzenia:

– Kocham cię, kocham.

Kaszmir nie wydawała się zadowolona, że Sylwia zabiera resztę rzeczy z mieszkania.

– Nie wiesz, co z tego wyjdzie – burknęła. – Po co wszystko wynosisz? A jak coś się nie uda i będzie trzeba wracać, to… od nowa cała przeprowadzka?

– Dlaczego miałoby coś nie wyjść? – Sylwia włożyła duży wysiłek w to, by nie dać sobie popsuć humoru.

– Bo to Cygan – usłyszała w odpowiedzi. – Nie wiesz, jak oni traktują kobiety? Teraz może się wydawać miły, ale weźmiesz z nim ślub i ani się obejrzysz, jak zabroni ci wychodzić z dziewczynami, pić alkohol, i nagle się okaże, że masz być piękna, ale tylko dla niego, w domu, z dziećmi. Po to cię wykształciłam?

Sylwia wymownie popatrzyła na matkę, a potem szybko weszła do swojego pokoju. Karton postawiła na dywanie.

– Nie mam nic przeciwko dzieciom – dobiegł ją głos Kaszmir z przedpokoju. – Żebyś sobie nie myślała… Ale dzieci to nie wszystko.

W przeszłości już wiele razy poruszała ten temat. „Co z tego, że Andrzej urodził się w Polsce, w szpitalu?" – pytała Kaszmir. Nieważne. Krew to krew. Genów się nie zmieni. A u Cyganów dużą rolę dodatkowo odgrywa tradycja. Andrzej może sobie być najprzystojniejszy na świecie… Tak, ma piękne oczy i wydaje się miły. Wyjmuje Kaszmir siatki z rąk, gdy spotyka ją na ulicy. Kłania się sąsiadom. Podobno nawet dobrze się uczył. Ale w dzieciństwie Kaszmir nieraz spotykała Cyganów i nie da się nabrać na piękne oczy Andrzeja i jego nieśmiały uśmiech.

Dawniej, gdy jeszcze była małą dziewczynką, Cyganie nie mieszkali w domach jak teraz, ale żebrali na ulicy albo chodzili po mieszkaniach z prośbą o pieniądze. Kiedyś przyszli też do jej rodziców. Kaszmir pamiętała tamtą scenę jak kadr z horroru. Matka nie zgodziła się dać Cygankom pieniędzy, więc najstarsza z kobiet, owinięta w czarną chustę, wskazała szponiastą ręką szafę stojącą w przedpokoju i zapowiedziała, że myszy zjedzą wszystkie schowane w niej obrusy. Minęło tak wiele lat, a Kaszmir ciągle pamiętała zdumienie na twarzy swojej mamy, gdy w święta, kilka miesięcy po wizycie Cyganek, wyjęła z szafy obrusy i we wszystkich znalazła dziury.

Z każdą rzeczą, którą Sylwia wyjmowała z szafy, ogarniała ją pewność, że tak naprawdę grzebie w skrzyni z pamiątkami. Spojrzała na półbuty z frędzlami, które mama Olgi kupiła jej dawno temu. Po latach tamto wspomnienie ciągle wydawało się jej magiczne, jakby Zalewska tym jednym gestem uchyliła drzwi do świata, o którym Sylwia wcześniej nie miała pojęcia, a który nadal na nią czekał. W starych papierach znalazła szkice koni oraz kilka rysunków torów kolejowych ciągnących się aż po horyzont. Rozprostowała je i przyjrzała się im krytycznie.

– To twoje? – Kaszmir usiadła na łóżku.

Sylwia nigdy nie pokazywała jej tych prac, bo myślała, że kobieta nie będzie nimi zainteresowana. Teraz patrzyła na matkę wyczekująco, podczas gdy Kaszmir przechyliła się, żeby spojrzeć na rysunki.

– Ten mi się podoba. – Wskazała portret dziewczynki częściowo wyklejony z gazet.

W miejscu bluzki Sylwia nakleiła kilka kolorowych recepturek, które nadal dobrze trzymały się kartki.

– Co to za dziecko?

– Marika.

– Marika? – Kaszmir sięgnęła po rysunek. – No co ty mówisz? Kiedy to narysowałaś?

Sylwia wzruszyła ramionami.

– Kilka lat temu, nie pamiętam dokładnie.

– Nie widziałam jej całe wieki… No proszę, teraz z Mariki jest już duża dziewczyna. – Kaszmir uśmiechnęła się z niedowierzaniem. – Jaka szkoda, że nie utrzymujemy kontaktu z Anną. Za daleko mieszka.

Sylwia sięgnęła po drugi rysunek, na którym uwieczniła Hanię. Hania miała już trzynaście lat. Sylwia przypomniała ją sobie, leżącą na łóżku piętrowym w pokoju w Bielsku-Białej. Wyobrażenie sobie Hani doroślejszej nie miało sensu – w pamięci Sylwii obie dziewczynki pozostały na zawsze małe, z włosami związanymi w kity, z mlecznymi zębami i brudnymi buziami.

„Co się z nimi dzieje?" – pomyślała z nagłym strachem. Czy Anna ciągle piła? Czy Marika dalej nosiła okulary związane z tyłu cienką czerwoną gumką? Czy w rodzinie Kamińskich przyszło na świat nowe dziecko? Czy powinna do nich zadzwonić?

Wróciło wspomnienie popołudnia spędzonego na ranczu u Kamińskich. W jej uszach rozbrzmiał ochrypły głos Louisa Armstronga, śpiewającego *What a wonderful world*… Przebiegło jej przez myśl, że tamten dzień odmienił jej życie. Kamińscy na ranczu dali jej nadzieję, której potrzebowała, i obraz domu, którego nie znała.

Znalazła rysunek przedstawiający grę planszową. Zrobiła go dla Stefana dawno temu. Na planszy narysowała leże smoka oraz wiele pułapek i niebezpiecznych miejsc. Teraz dotknęła pionka ukrytego między powykręcanymi konarami drzewa i jej spojrzenie uciekło w bok.

Wszystko, czego nie chciała pamiętać, wyłoniło się z ciemności i zajaśniało w słońcu.

16

Współcześnie

Andrzej wraca dopiero około północy. Leżąc w łóżku, słyszę, jak w przedpokoju zdejmuje kurtkę, ściąga buty, a potem idzie do kuchni i po chwili dociera do mnie dźwięk kapsla odskakującego od butelki. Czuję ciągnące spod podłogi zimno, gdy z bosymi nogami, otulona swetrem, zaglądam do salonu.

– Proszę pana.

W środku go nie ma, ale drzwi na balkon są otwarte. Wiatr porusza zasłoną, wywiewa ją na zewnątrz, a za moment popycha z powrotem do środka.

Ruszam w tamtym kierunku, ale gdzieś w połowie pokoju się zatrzymuję. Wiatr unosi zasłonę, odsłaniając mi widok na miasto. W niektórych oknach jeszcze palą się światła, mruga reklama nocnego klubu powieszona na dachu jednej z kamienic. Dopiero po chwili zauważam sylwetkę mężczyzny, czarną na tle świateł, ciężko opartą o barierkę balkonu, z butelką piwa w ręce.

Sylwia najwyraźniej oddała mi do użytku pokój, który służy jej i Andrzejowi do pracy. Mnóstwo tu jej notatek dotyczących podopiecznych oraz różnych form terapii, znajduję zdjęcia grupy dzieci, pospiesznie kreślone informacje na ich temat.

Sięgam do laptopa. Wcześniej skupiałam się tylko na informacjach o Niebieskiej Dziewczynce, ale teraz zwiększam zasięg poszukiwań. Interesują mnie również teksty o innych dzieciach zaginionych w latach 1982–1983.

Mam wrażenie, że coś przegapiłam, na coś nie zwróciłam uwagi. Szukam artykułu, o którym wspomniał dziennikarz, ale, jak nadmienił, nie ma go w internecie. Musiałabym pójść do czytelni czasopism.

Przychodzi mi do głowy, że siostra Sylwii mogła zostać porzucona niedługo przed nią. Wpisuję hasła i w ten sposób natykam się na rysunki Sylwii, które powstały jeszcze na komisariacie, a które opublikowała jedna z gazet. To świat rysowany niewprawną ręką, świat krzywych kresek i falujących linii. A jednak wiele z nich składa się w uproszczony rysunek domu. Gdybym zmrużyła oczy, gdybym zapomniała, że patrzę na rysunek dziecka, potrafiłabym dostrzec nawet okrąg przed domem – może staw, a może po prostu kałużę.

Szukam informacji o dzieciach porzuconych przez rodziców na terenie Trójmiasta. Zatrzymuję się na historii malca znalezionego w pociągu SKM latem 1984 roku, a więc kilka miesięcy po tym, jak w hali dworca znaleziono Sylwię. Zatrzymuję się przy nim na dłużej.

Nie mam tu drukarki, więc fotografuję artykuł komórką. To samo robię z innym tekstem, dotyczącym dziecka znalezionego w windzie gdyńskiego wieżowca kilka lat temu.

„Chcę poznać swą prawdziwą rodzinę i powód, dla którego zostałam porzucona – napisała internautka na jednym z forów, które odwiedzam. – Czemu mnie nie chcieli?”

„Urodziłaś się 21 marca 1986 roku w Gdańsku – napisał ktoś inny. – Nie mogłam Cię zatrzymać, ale każdego dnia jesteś w moich myślach i sercu. Bardzo pragnę Cię poznać”. Pod spodem dodano adres mailowy.

Znajduję dane, według których liczba porzuconych noworodków w Polsce wciąż jest tak duża, że zajmujemy pod tym względem drugie miejsce w Europie.

– „Liczba porzuconych dzieci jest o wiele większa, niż wynika to ze statystyk” – czytam szeptem.

Poprzedniego dnia, gdy zajmowałam się poszukiwaniami Moniki Stefaniak, w Gdańsku znaleziono porzucone dziecko w wózku. Teraz policja szuka matki dwumiesięcznego chłopca. Trzy dni wcześniej do domu dziecka w Gdyni oddano bliźniaków poczętych *in vitro*.

Policjanci znaleźli porzuconego w zaroślach noworodka – krzyczy nagłówek innego artykułu. Kolejny portal informuje: „Policjanci odnaleźli matkę porzuconego noworodka. Kobieta tłumaczyła się, że przecież nie wyrzuciła dziecka do śmietnika”. „To cud, że dziecko przeżyło – czytam gdzie indziej. – Wcześniak przeleżał dobę w lesie”.

I następny materiał: „Porzuciła dziecko po porodzie. Dzisiaj przyszła do szpitala pytać o zdrowie córeczki”.

W natłoku informacji, które śledzę przez wiele godzin, wpis internautki o pseudonimie Weronika_K wydaje się nieważny, więc w pierwszej chwili go pomijam. Jestem już bardzo zmęczona przeglądaniem dziesiątek stron i czytaniem tak wielu smutnych historii. Na zegarze dochodzi trzecia w nocy i najchętniej wyłączyłabym laptop, ale radar, który mam w głowie od zawsze, wychwytuje nowe fale i zmusza mnie, bym jednak się cofnęła i przeczytała wpis uważniej. Informacja pochodzi sprzed kilku miesięcy, Weronika_K odnosi się do wpisu jakiegoś mężczyzny. Napisała, że kiedyś w Gdyni sama była świadkiem zaniedbania dziecka i gdyby nie jej interwencja, albo raczej gdyby nie Anioł Stróż czuwający nad małą dziewczynką, być może dzisiaj byłoby o jedno niechciane dziecko mniej.

„Gdynia, 1983 rok – dopisała. – Minęło trzydzieści lat, ale nigdy tego nie zapomnę”.

Palce łaskoczą, jakby przebiegł przez nie prąd, gdy szukam adresu, na który mogę wysłać kobiecie wiadomość. Po tak długim internetowym maratonie czuję piasek w oczach, mylę się, gdy wystukuję na klawiaturze: „Czy możemy się spotkać? Jeśli poda mi Pani adres, przyjadę. Zależy mi, żeby usłyszeć tę historię”.

17

Współcześnie

Rano zastaję Andrzeja w kuchni, jak zbiera drobiny cukru rozsypane na blacie.

– Dziękuję za pomoc – mówi. W świetle dnia jego oczy mają odcień spranego błękitu, a rzęsy wyglądają jak umalowane. Przede wszystkim jednak zauważam, że na jego twarzy maluje się wielki smutek.

– Jak długo zatrzymają ją w szpitalu? – pytam, nie spuszczając z niego oczu.

– Na pewno kilka dni. Znowu jest osłabiona, pogorszyły się jej wyniki badań.

Patrząc na niego, przychodzi mi na myśl, że od bycia śmiertelnie chorym gorsze jest chyba tylko bycie partnerem śmiertelnie chorego.

W przedpokoju rozlegają się szybkie, lekkie kroki. Dziewczynka wpada do kuchni na bosaka, w pidżamie i z potarganymi włosami.

– Tata! Tata! – Wdrapuje się na kolana mężczyzny.

– Co tam u ciebie, mała księżniczko? – Andrzej odstawia kubek na stół i rozgarnia włosy Majki, a w jego głosie pojawia się ciepło i ożywienie, których chwilę wcześniej nie słyszałam.

– Przywiozłeś mi coś z podróży?

– Oczywiście! Chcesz zobaczyć już teraz?

Kiedy wychodzimy z kamienicy, jest już jasno, a miasto przez noc nakryła jeszcze grubsza warstwa śniegu. Dziewczynka prowadzi mnie wąskim przesmykiem między starymi kamienicami, najwyraźniej zna tu każde miejsce, każdy fragment ulicy. Chodnikiem suniemy w dół dzielnicy pomiędzy cieniami drzew, które kładą się na drodze długimi pasami. Poranne słońce wspina się po niebie, odbija się w śniegu, rozjaśnia kolory i drży w starych cynowych rynnach.

Matka przestrzegała mnie kiedyś przed długimi, ciężkimi soplami zwisającymi z dachów. Przypominam sobie okropną opowieść o dziewczynce, której podobno taki sopel spadł na głowę i przebił ją na wylot. Odruchowo łapię więc Maję za drugą rękę, zmuszając, by szła bliżej ulicy.

Docieramy do boiska, które zasypało tak dokładnie, że wygląda jak wielka biała pościel. Tam Maja się zatrzymuje, wczepia palce w wilgotnych rękawiczkach w oczka siatki i wpatruje się w ptaki dziobiące ziarno.

– Tu w siatkę zaplątał się ptak – stwierdza.

Wiodę spojrzeniem po jej zadartym nosie, zaczerwienionych od mrozu policzkach i teraz wyraźnie widzę podobieństwo do Andrzeja i Donki. Kiedyś będzie z niej piękna nastolatka, przebiega mi przez myśl.

– Patryk go wyciągnął, ja się bałam.

– Patryk? Twój kuzyn?

– Mój chłopak.

– Masz już chłopaka? – Uśmiecham się, ale dziewczynka spogląda na mnie bardzo poważnym wzrokiem.

– Ty nie masz? – pyta ze zdziwieniem.

– No widzisz, tak się złożyło, że nie. – Śmieję się.

Mijamy połacie śniegu, gdzie w białym puchu zostały odciśnięte łapy jakiegoś małego psa albo kota. Właśnie mam opowiedzieć Mai historię z mojego dzieciństwa, kiedy było tak zimno, że zamknięto szkołę, do której chodziłam, więc wyciągnęłam brata z domu i zjechaliśmy na sankach z tak wysokiej góry, że nie byliśmy w stanie wyhamować przed ruchliwą ulicą, kiedy nagle Maja odwraca się plecami do boiska, zamyka oczy, rozkłada ręce i rzuca się w śnieg.

Powinnam krzyknąć: „Majka, nie! Do licha, mokra pójdziesz do przedszkola!". Ale nic nie robię. W milczeniu obserwuję, jak dziewczynka zatapia się w śniegu, jak śmiejąc się, szoruje rękami tak długo, aż wokół niej pojawia się kształt skrzydeł.

W szkole nauczycielka zwraca się do mnie poufałym tonem, chyba zakładając, że jestem koleżanką Sylwii albo kimś z rodziny:

– Wczoraj pobiła chłopca. Nie wiem, czy jego mama nie zrobi z tego większego problemu…

– Pobiła? – Chyba się przesłyszałam. Spoglądam na Maję, która na tle rówieśników wygląda na przynajmniej rok młodsze dziecko, taka jest drobna i chuda. – Mocne słowo.

– Uderzyła go pięścią w nos, a potem drugą pięścią w brzuch, więc chyba adekwatne. – Kobieta kręci głową, jakby miała dość takich zmartwień. – Ciągle są z nią kłopoty. Jako jedyna nie potrafi opanować zgłosek, które przecież ćwiczymy od kilku dni. Wybucha złością, kopie, bije… Może już czas, żeby porozmawiać z psychologiem? Wiem, że jej mama choruje, ale mam tu trzydzieścioro dzieci i nie mogę poświęcać uwagi wyłącznie jednemu.

Moje spojrzenie biegnie za Mają, która właśnie zrzuciła tornister na podłogę. Kiedy siada w ławce, przez długi moment nie odrywam oczu od jej drobnych stóp w kapciach ze wzorem w kocie łebki. Rano Andrzej splótł jej gęste czarne włosy w warkocz, z którego wysunęły się kosmyki i teraz kołyszą się wokół twarzy.

– Proszę porozmawiać z jej mamą albo będę musiała napisać kartkę – dodaje opiekunka stanowczo.

– Porozmawiam – obiecuję, bez większych złudzeń, że rzeczywiście to zrobię. Sylwia i Andrzej mają poważniejsze problemy na głowie.

W samochodzie Jacek wybija rytm na kierownicy. Droga wydaje się prosta po horyzont. Mijamy most nad rzeką, za sobą zostawiamy kilometry zimnych plaż i zamarznięte morze.

Miasteczko kruków i wron, myślę jakiś czas później, gdy samochód skręca w stronę nielicznych zabudowań rozciągniętych na szerokich łąkach. Ptaki, wystraszone dźwiękiem silnika, zrywają się do lotu i krzyczą, trzepocząc skrzydłami nad zaśnieżoną ziemią.

– Więcej tu ptaków niż ludzi – odzywa się Jacek, wyłączając silnik w samochodzie.

Z tylnego siedzenia zabiera kamerę, ale proszę, żeby na razie zostawił ją w aucie. Nie wiemy, czy historia, którą mamy zaraz usłyszeć, w jakikolwiek sposób wiąże się z Sylwią.

Wiatr gnie krzewy porastające łąkę za świeżo wyremontowanym klockowatym domem. Po podwórku biegają kurczęta, w ogrodzie zauważam rozciągnięte sznury na pranie. Jacek puka do drzwi, a ja strząsam śnieg z butów, nie przestając się rozglądać.

– Otwarte! – woła kobiecy głos z głębi domu.

Kobieta sięga do szafki po herbatę i włącza gaz pod czajnikiem. Jest niska, drobna, z jasnymi

włosami, które spięła w kitę. Zaciekawiona, przygląda mi się, gdy na stół wyciągam notatki i ustawiam dyktafon.

– Zobaczyłam ją w gazecie w 1984 roku i powiedziałam do męża: „O rany, patrz, to ta dziewczynka, której matka nie upilnowała na bulwarze. Teraz znaleziono ją porzuconą na dworcu PKP". – To pierwsze słowa, które od niej słyszę.

Gazetę zachowała do dzisiaj i teraz rozkłada ją przed nami na drewnianym stole. To istny cud! Zerkam na artykuł, który już znam. To ten wycinek wyjęłam z reklamówki Sylwii, kiedy do mnie przyjechała. Gładzę zagięcia, które powstały na pożółkłych rogach.

– Nigdy nie zapomnę tamtego wydarzenia, ponieważ to było takie… – Kobieta szuka słowa, ale jedyne, które pasuje, brzmi banalnie: – Dziwne. – Bezradnie rozkłada ręce.

Twierdzi, że do incydentu doszło w niedzielne popołudnie, rok przed tym, jak Sylwię porzucono na dworcu. Weronika i jej mąż wybrali się z dzieckiem na gdyński bulwar. Był koniec lata. Kiedy doszli do miejsca, gdzie bulwar przechodził w pomost, a kamienny mur ciągnący się przez całą jego długość zmienił się w metalowe ogrodzenie, pod którym znajdowały się metry wody, zauważyli dziecko. Dziewczynka siedziała na barierce, odwrócona w stronę morza. Mogła mieć dwa i pół roku, góra trzy lata.

– Zobaczyłam ją i serce mi zamarło. – Z twarzy kobiety ciężko cokolwiek wyczytać.

Weronika założyła buty na obcasach, ale w tamtej chwili, gdy rzuciła się biegiem w stronę dziecka, czuła, jakby miała na nogach korki. Ściągnęła dziewczynkę na bezpieczną stronę bulwaru.

– Zrobiło się wielkie zamieszanie – opowiada. – Zaczęliśmy wołać z mężem: „Czy jest tu opiekun dziecka?! Znaleźliśmy dziewczynkę!". I, na Boga, nikt nie reagował. Ludzie oglądali się, każdy na nas patrzył, przystawali w grupkach i udzielali porad, co robić, ale nikt nie wiedział, gdzie dziecko przebywało wcześniej i skąd się tutaj wzięło.

Skrzypią drzwi i do kuchni wchodzi niski, starszy mężczyzna w gumowych butach do kolan i rozpiętej ubłoconej kurtce. Ma podłużną, wyżłobioną przez zmarszczki twarz.

– No popatrz, kto przyjechał! – Kobieta wskazuje na nas z ożywieniem. – To dziennikarze, przyszli pytać o tę dziewczynkę, którą kiedyś uratowaliśmy nad morzem.

– O! – Mężczyzna się zdumiewa. Ściąga czapkę z głowy. – Dzień dobry!

– Dobry – odpowiada Jacek, grzecznie podrywając się z krzesła.

– Tyle lat! – Weronika ciągle mówi podekscytowanym głosem. – Właśnie opowiadałam, że nawoływaliśmy opiekunów dziewczynki.

– To nie trwało chwilę – wtrąca się do rozmowy mężczyzna i zajmuje miejsce na krześle obok żony. – Dobre dwadzieścia minut nawoływaliśmy. Czułem się w obowiązku coś zrobić, w końcu nie codziennie znajduje się dziecko bez opieki. Z budki telefonicznej zadzwoniłem na milicję i właśnie wtedy ta kobieta się znalazła.

Dotykam zagięcia na starej gazecie, które przechodzi przez zdjęcie w miejscu twarzy Niebieskiej Dziewczynki.

– Cały czas siedziała na ławce, ledwie dwa metry od nas! – Mężczyzna urywa, przypominając sobie swoje niedowierzanie. – Siedziała i nic nie słyszała czy jak? Nie zorientowała się, że jej dziecko otacza tłum ludzi? Że wybuchła afera? Odezwała się dopiero wtedy, gdy ktoś do niej podszedł i zapytał, czy wie, kto przyszedł z małą.

Teraz słucham słów kobiety:

– Do dzisiaj mam przed oczami, jak podnosi głowę, ciągle zamyślona, spogląda na dziewczynkę i mówi spokojnie: „Ja jestem jej mamą". Jakby nic się nie stało!

Wytrzeszczaliśmy na nią oczy ze zdumienia.

– Kiedy spytaliśmy, gdzie była, gdy jej dziecko siedziało na barierce nad głęboką na kilka metrów wodą – podejmuje mężczyzna – pokręciła głową i odpowiedziała, wciąż tak samo drętwo, że przecież była tutaj cały czas. Wie pani, wyglądała na trzeźwą, patrzyła w miarę przytomnie i była taka niesamowicie spokojna. Więc ją spytałem: „Nie słyszała nas pani? Nie słyszała pani, jak wołaliśmy, że ktoś porzucił dziecko?". A ona na to: „Nie porzuciłam jej przecież. Cały czas tu jestem". Nie rozumiała zamieszania, więc pokazałem jej barierkę i mówię: „Kobieto, twoje dziecko usiadło po zewnętrznej stronie. Gdyby się puściło, już byłoby po nim!". A ona na to: „To niemożliwe. Przecież cały czas tu jestem. Przepraszam, ale muszę już iść. Mam coś do załatwienia".

Mężczyzna wspomina, że w międzyczasie przyjechała milicja. Mundurowy przebił się przez tłum ludzi i podszedł do Moniki Stefaniak.

– Więc mundurowy pyta: „Dlaczego pani nie zareagowała, kiedy ludzie szukali matki dziecka?", a ona odpowiada: „Przepraszam, ale nic nie słyszałam. Nie odeszłam od niej, nie porzuciłam jej".

– Musieliśmy już iść – wtrąca kobieta z zaangażowaniem, które chyba nawet ją zaskakuje, bo ścisza głos. – Byliśmy przed obiadem i trzeba było już jechać. Zostawiliśmy więc tę kobietę z milicjantem, ale nie dawało mi to spokoju, więc na drugi dzień poszłam na komisariat i zapytałam o to zgłoszenie. Mieszkaliśmy wtedy w Gdyni, to był rejon bulwaru. Chciałam wiedzieć, czy zatrzymali matkę albo wyjaśnili sprawę. Dowiedziałam się, że spisali tę kobietę, ale nie wyciągnęli żadnych konsekwencji, bo nie widzieli powodu, w końcu nie odeszła od dziecka ani go nie porzuciła. Spytałam, czy wszystko z nią w porządku, bo wydawała się dziwna, może brała jakieś leki albo coś… Odparli, że wszystko jest w najlepszym porządku, od kobiety nie było czuć alkoholu ani nic z tych rzeczy. Po prostu była zmęczona. Dali więc jej odejść. Minął jakiś czas i w dzienniku telewizyjnym pokazali dziecko i poinformowali, że jego tożsamość jest nieznana. Popatrzyłam na ekran i wprost nie mogłam uwierzyć! Poznałam dziewczynkę natychmiast! Jeszcze tego samego dnia poszłam na milicję i powiedziałam, że kojarzę to dziecko, że mieli jego matkę rok wcześniej, podaną jak na talerzu, i powinni byli coś zrobić, zamiast wypuścić ją do domu. Wtedy odpuścili i doszło do dramatu!

W kuchni zapada cisza, w której słyszę gwizd wiatru w szparach okien i wentylacji. Kolejna historia, którą mogłabym zamknąć w teczce z adnotacją „Zła matka Sylwii".

– Jak wyglądała?

W pierwszej chwili Weronika i jej mąż nie rozumieją pytania. Spoglądają na siebie zdziwieni. Weronika wyraźnie nie wie, co odpowiedzieć.

– Strasznie samotnie – bąka i widzę, że od razu zaczyna żałować tych słów. – Nie miałam na myśli… Ona…

– Chyba miała jakieś problemy. – Mężczyzna gniecie czapkę leżącą na kolanach i patrzy na żonę. – Wie pani, psychiczne.

Przenoszę wzrok na kobietę. Zauważam, że poddała się emocjom i trzęsie się jej broda.

– Tak nie powinno być. To nie powinno było się wydarzyć! Milicja mogła do tego nie dopuścić! Można było interweniować już wtedy!

Dziwnie odrętwiałymi rękami obejmuję kubek, który Weronika postawiła przede mną. Nie wypiłam herbaty i napój wystygł, zanim skończyła mówić. Jacek też jeszcze nie ruszył swojej.

18

Współcześnie

W busie Maja ogląda się za Andrzejem, który został na przystanku i w tej chwili przypomina tylko niewielki punkt, ledwie widoczny pomiędzy innymi ludźmi. Ja też za nim patrzę; czuję pokusę poproszenia kierowcy, żeby jednak się zatrzymał – niech Andrzej zajmie miejsce przy Mai i nie zostawia mnie samej z dziewczynką na całą dobę. Tak mało wiem o dzieciach, boję się, że coś zrobię źle. Tymczasem kamienice Gdańska oddalają się i już po chwili stają się małymi kwadratami. Bus wjeżdża na szeroką drogę dwupasmową, którą będziemy przemierzać przez wiele kilometrów. Dokładnie cztery godziny i pięćdziesiąt minut spędzimy w podróży.

– To dużo czy mało? – dopytuje się Maja, więc unoszę jej dłoń i na palcach odliczam, ile to pięć.

Michał dzwoni, gdy bus mija Ostródę. Pogoda się pogarsza, więc kierowca musi zwolnić – droga zrobiła się biała po horyzont, nie widać różnicy między niebem a ziemią, a spadający śnieg bije prosto w szybę, tak że wycieraczki nie nadążają go zbierać.

– Jak się czuje dziewczynka? – pyta pogodnie Michał. – Gotowa do występu?

– Jest podekscytowana podróżą i trochę przestraszona, ale zasadniczo wszystko okej.

Prosi, żebyśmy zjawiły się w telewizji już o ósmej rano, jeszcze raz powtarza, że bardzo się cieszy, że historia Sylwii przeszła na kolegium. Kolejny raz ostrzega, że nie będziemy wstrząsać widzami, więc do mnie należy poinstruowanie dziewczynki, by trzymała się planu.

Kiedy Maja zasypia, przeglądam zdjęcia, które wybrał Andrzej. Dwa z nich to portretowe ujęcia Sylwii. Na jednym ma białą wełnianą czapkę; pewnie powstało nie wcześniej niż rok temu. Na drugiej fotografii Sylwia jest jeszcze zdrowa. Bezwiednie dotykam jej włosów, białych jak śnieg, spadających na ramiona, a potem łuków brwiowych podkreślonych brązową kredką. Pokażemy te fotografie na monitorach podczas nagrania. Mam nadzieję, że buzia kobiety zapadnie ludziom w serca i zmusi ich, żeby poddali się badaniom na zgodność z Sylwią. Odchylam głowę na oparcie fotela i próbuję podjąć decyzję, czy wspominać o biologicznej siostrze; zastanawiam się nad ewentualnymi konsekwencjami, jeśli wspomnę i okaże się, że taka osoba nie istnieje.

Warszawa tonie w białych zaspach, wiatr napiera na budynki, podrywa śnieg i papiery, które ktoś wysypał koło śmietnika. Wysiadamy z autobusu na odległej od centrum stacji, skąd dalej będziemy musiały podróżować taksówką albo metrem. Przeliczam pieniądze w portfelu, a Maja stoi obok, zapatrzona w pętlę autobusową. Hotel na szczęście sponsoruje telewizja, tak samo jak przejazd do Warszawy i pełne wyżywienie w hotelowej restauracji. Z własnych pieniędzy zostało mi już tylko kilkadziesiąt złotych, więc po powrocie z Warszawy będę musiała dzwonić do brata z prośbą o pożyczkę. Chyba że policja w końcu się wykaże, w co jednak wątpię.

Maję zaciekawiają ruchome schody prowadzące do tunelu metra. Twierdzi, że w Gdańsku takich nie ma. Namawia mnie, żebyśmy jeszcze raz wjechały, a potem ponownie zjechały.

– Kto je wymyślił?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu ktoś.

– Kto?

– Nasze metro!

W ostatniej chwili wbiegamy do wagonu.

– Czy możemy to metro nazywać metrem Mai? – pyta w środku. – No bo pierwszy raz nim jadę.

– Jasne. Metro Mai – powtarzam. Nie rozumiem, dlaczego to dla niej ważne.

Nigdy nie przykładałam wagi do miejsc siedzących, ale dla Mai szukam wolnego fotela. Boję się, że ktoś na nią wpadnie, uderzy ją łokciem albo torbą, przewróci. Całą drogę stoję przy niej jak straż, uchwycona metalowego drążka, i przyglądam się dziecięcej twarzy, na której maluje się cała gama emocji.

Mieszkałam w Warszawie, gdy pracowałam dla telewizji. Zawsze lubiłam stolicę, jej ogrom, możliwości, które mi dawała. Wszystko przychodziło tu łatwiej: dobry temat do programu, poznanie mężczyzny, dostęp do wielkich wydarzeń. Dzisiaj jednak mało co mnie tutaj zachwyca. Mijamy znajome budynki i uliczki, które kiedyś traktowałam jak swój wielki dom, prowadzę Maję za rękę i pierwszy raz postrzegam Warszawę przez pryzmat opiekuna dziecka. Uświadamiam sobie, że Majka, która ma może sto dwadzieścia albo sto trzydzieści centymetrów wzrostu, ginie na tle potężnych budynków i szerokich arterii miasta. Dociera do mnie, jak łatwo mogłabym ją tu zgubić i nie odnaleźć. Słyszę jej krótkie, szybkie kroki, gdy próbuje za mną nadążyć, trzyma mnie za rękę, beret spada jej na oczy, ręka wyślizguje się z wełnianej rękawiczki i robi mi się jej żal. Gdybym była jej matką, nie pozwoliłabym na tę podróż.

– Pola Michalak – przedstawiam się w recepcji hotelu, podczas gdy dziewczynka wdrapuje się na kanapę za moimi plecami. – Mamy rezerwację dokonaną przez Michała Parola.

Wyjmuję z portfela dowód osobisty i oglądam się na kanapę, na której ostatnio widziałam Maję, ale mebel jest pusty. Zdziwiona szukam dziewczynki wzrokiem pomiędzy ludźmi przemieszczającymi się po holu. Akurat odjeżdża winda i ogarnia mnie podejrzenie, że Maja mogła do niej wsiąść.

– Majka! – W rozpiętym płaszczu i butach na obcasach, gotując się z gorąca, przemierzam hol wzdłuż i wszerz, zaglądam za ozdobne filary, popycham drzwi prowadzące do restauracji i coraz bardziej zdenerwowana szukam dziewczynki pomiędzy stolikami. – Majka! – krzyczę. Daję się ponieść emocjom, przyspieszam kroku, podbiegam do drzwi wahadłowych, przez które właśnie wyszła na zewnątrz jakaś kobieta.

Wybiegam przed hotel. Gdzie nie spojrzę, widzę małą dziewczynkę prowadzoną za rękę przez obcą osobę. Zauważam płaszcze podobne do tego, który nosi Maja, wszędzie widzę niemal identyczne berety, a moje wołanie ginie w huku przejeżdżających samochodów i tramwajów.

Wracam do recepcji, ledwie łapiąc oddech.

– Zaginęło dziecko. – Sama nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Jak mogłam być taka głupia? Dlaczego spuściłam ją z oczu? Desperacko chwytam się ostatnich zdroworozsądkowych argumentów: Maja nie odeszła daleko, na pewno gdzieś tu jest i zaraz ją zobaczę.

– Ile dziecko ma lat i jak ma na imię? – Recepcjonistka sięga po mikrofon.

– Już nieaktualne! – rzucam, dostrzegając niską sylwetkę przy kiosku z zabawkami.

Zanim do niej dotrę, chwilowa ulga zmienia się w gniew.

– Szukałam cię! Nie możesz odchodzić, nie mówiąc mi, dokąd idziesz! Co ty w ogóle wyprawiasz?!

Maja ogląda się wystraszona i mruga, jakby powstrzymywała łzy.

– Nie wolno ci odchodzić bez mojego pozwolenia! – krzyczę, a ona zaczyna płakać.

Też patrzę dookoła i dostrzegam potępiające spojrzenia ludzi. Pewnie mają mnie za nieudolną, złą matkę. Niemal czytam w ich myślach: głupia pańcia w drogich ciuchach, której ktoś zmajstrował dziecko.

Akurat znowu zjeżdża winda, więc łapię Maję za ramię i prowadzę do środka. Nie interesuje jej ani dźwięk bim-bam, który rozbrzmiewa, gdy drzwi windy się rozchylają, ani podświetlone na kolorowo przyciski w środku.

– Nie płacz, no co ty? – zwracam się do niej ugodowo, co jednak przynosi odwrotny skutek i dziewczynka płacze już na całego.

W pokoju okazuje się, że mamy panoramiczne okno i jedno podwójne łóżko. Staram się załagodzić sytuację.

– Majka, patrz, jaki mamy cudowny widok! – Rozsuwam zasłony.

Ale ona podnosi zaczerwienioną od płaczu twarz i pyta:

– Kiedy mogę zadzwonić do mamy?

Jeszcze tylko tego brakuje, żeby stwierdziła, że chce wracać do domu.

– Chcę wracać do domu – mówi, znowu wybuchając płaczem.

W nocy śni mi się miasto Adra w Syrii. Wstające słońce rozgrzewa powietrze, gdy zagłębiam się w ciasne ulice. Światło wypaliło w murach wszystkie kolory, zostawiając tylko piaskowy beż. Mijamy pierwsze domy, powietrze drży w upale. Widzę otwarte na oścież drzwi, siedząca na ganku kobieta w chuście na głowie zanosi się płaczem. Patrzę na jej czarną suknię, na rozdygotane dłonie i bose stopy. Gorący wiatr podrywa piach z ulicy i sypie mi w oczy. Przecieram je i zauważam dziewczynkę wałęsającą się między budynkami. Ogląda się przez ramię, jasna, ulotna. Przebija przez nią słońce. Kiedy zaczyna iść, uświadamiam sobie, że porusza się, jakby jej ciało nie miało ciężaru.

– *Wait!* – proszę, na próżno przyspieszając kroku.

Próbuję ją dogonić, ale jest szybsza i zwinniejsza. Jest też tak piękna, że boję się na nią patrzeć, tak silny bije od niej blask. Jej włosy wydają się płonąć, skóra iskrzy. Biegnie, nieustannie biegnie, a ja wciąż zostaję w tyle.

Trafiamy na schody. Dziewczynka znajduje się kilka stopni nade mną i właśnie przystanęła.

– Poczekaj – proszę. Już wiem, kim jest. Wiem, dlaczego ją gonię. – Tak długo cię szukałam… – Głos mi się łamie. – Myślałam, że cię nie ma… że cię wymyśliła…

Wyciągam ręce, najpierw jedną, potem drugą. Dziewczynka jest już tak blisko, nie żadna mglista postać, tylko namacalna osoba z krwi i kości. Czuję jej ciepło. Słyszę jej oddech. Rozgarniam włosy, odsłaniam twarz i nieruchomieję, wpatrzona w buzię syryjskiego dziecka.

Otwieram oczy i nie pamiętam, gdzie jestem i co się dzieje. Pod powiekami ciągle mam duszną ulicę, żar słońca i twarz ze swojego zdjęcia z Syrii, które, gdy wróciłam do Polski, wydrukowano w jednej z polskich gazet. Takich twarzy jest w mojej pamięci więcej – uwiecznione na kliszy zyskały nieśmiertelność, choć w realnym świecie już dawno ich nie ma.

Zapalam światło w łazience. Żeby nie myśleć o Syrii, przywołuję najładniejsze wspomnienie z dzieciństwa, które powinno zadziałać jak odtrutka. Tak się jednak nie dzieje. Zamiast dobrego wspomnienia, przywołałam złe. Wracają głosy rodziców i inne dźwięki: w radiu codziennie słyszałam Macy Gray w utworze *Sweet Baby*, byłam po uszy zakochana w Chrisie Cornellu z Soundgarden, od kiedy zobaczyłam go w teledysku do *Black Hole Sun*,

jak zachowuje spokój, podczas gdy za jego plecami tornado pochłaniało amerykańskie miasteczko. Tamtego roku, o którym myślę, powiesiłam na ścianie jego pierwszy plakat.

Adam namówił mnie, żebyśmy poszli na strych. Chciał znaleźć pistolet na wodę, a ja zamierzałam poszukać koła ratunkowego. Tamtego dnia otworzyłam pokryte kurzem drzwi i zobaczyłam duże, niemal puste wnętrze. Chodziłam po nim, zostawiając ślady w głębokim kurzu, i rozglądałam się za kołem, ale po kilku chwilach zupełnie o nim zapomniałam. Coś się we mnie zbuntowało. Najważniejsze stało się znalezienie czegokolwiek, co pokazałoby, jaka byłam w dzieciństwie. Łóżeczko z prętami, które stało pod jedną ze ścian, należało do Adama; doskonale pamiętałam, jak rodzice je kupili. Szukałam więc innych rzeczy: gryzaków, grzechotek albo chociaż wózka z gondolą, w którym mogłabym wozić lalkę. Niczego takiego jednak nie znalazłam. Nie udało mi się odszukać ani jednego dziewczęcego ubranka tak małego, by ubrać w nie noworodka. Dostrzegłam za to fotografię z Wigilii wykonaną rok po moich narodzinach i zeszłam z nią do mieszkania.

– Mamo, gdzie wtedy byłam? – zapytałam, dotykając pustego miejsca przy stole pomiędzy nią a tatą.

Do dzisiaj pamiętam jej wzrok – patrzyła na mnie jakoś tak, jakbym ją na czymś przyłapała. Z tysiąca możliwości wybrała jedną, która potem wracała do mnie latami.

– W innym pokoju. Spałaś, Polu.

Za oknem hotelu buduje się czarna, zimna noc. Poprawiam kołdrę, która zsunęła się Mai z ramion. Układam się blisko dziewczynki, czuję ciepło jej skóry, zapach dziecka, wyraźnie słyszę płytki, szybszy od mojego oddech. Dzisiaj w nocy potrzebuję jej mocniej niż ona mnie.

19

Współcześnie

– Rozumiem, że ty nie wchodzisz na wizję? – Michał wita nas w korytarzu studia telewizyjnego. – Hej, mała dziewczynko! – Uśmiecha się do Mai, ale ona nie odpowiada, zbyt przejęta monitorami, na których może śledzić występ dzieci ze szkoły sportowej, goszczących dzisiaj w porannym programie.

– Chciałabym być gdzieś na planie, żeby mnie widziała – mówię. – Maja jest nieśmiała, lepiej, żeby miała mnie na oku. Poza tym to jej pierwszy występ w telewizji.

– Okej. Pamiętaj, nie rozmawiamy o… śmierci. – Ostatnie słowo Michał wymawia tak cicho, że czytam je z ruchu jego ust.

– Pamiętasz, co masz mówić? – pytam Maję przed wejściem do garderoby, ale rozbiegane oczy dziewczynki ledwie ocierają się o moją twarz.

Nieuważnie przytakuje ruchem głowy, więc kładę dłonie na jej ramionach i zmuszam, żeby jednak na mnie spojrzała.

– Więc o czym będziesz mówić?

– O mamie.

– Pamiętasz wszystko, co masz powiedzieć?

Znowu kiwa głową.

Przekazuję kamerzyście zdjęcia Sylwii i razem z Mają wchodzimy do garderoby, gdzie dziewczynka zostaje posadzona na obrotowym krześle przed lustrem okolonym drobnymi okrągłymi lampkami. Oczy Mai rozwierają się szeroko na widok blatu zastawionego dziesiątkami kosmetyków.

– *Wow!* – wyrywa się jej z ust. Jest zachwycona.

Podczas gdy Maja poddaje się zabiegom makijażystki, na chwilę wychodzę z garderoby na korytarz i nagle odczuwam ogromną chęć zapalenia papierosa. Łapię się na tym, że nerwowo zaciskam dłonie, wyczuwam delikatny zapach dymu wydostający się zza drzwi łazienki i ruszam w tym kierunku, ale zawracam. Ogarnia mnie nieprzyjemne wrażenie nadchodzącej katastrofy.

Program przebiega bez żadnych potknięć. Kiedy czekamy z Mają na swoją kolej, a asystent przypina dziewczynce mikrofon do ubrania, prezenterzy – piękna kobieta, którą znam jeszcze z czasów, gdy prowadziła metamorfozy i uważała się za eksperta od mody, oraz syn szefa programowego, o którym krążą plotki, że jeszcze nie zdecydował się na swój *coming out*, ale to tylko kwestia czasu – zapraszają przed kamery kolejnych gości. Na scenie występuje zespół gimnastyczek, kucharz w tle studia pichci tradycyjną jajecznicę na boczku, więc po pomieszczeniach rozchodzi się apetyczny zapach.

– Zaraz wchodzisz – zwracam się do Mai.

Dziewczynka wygląda ślicznie. Na skórę nałożono jej trochę jasnego podkładu, podkreślono rumieńce i szerokie czarne brwi odziedziczone po Andrzeju. Podmalowane usta sprawiają, że przypomina Lolitę, i wprost nie mogę się napatrzeć na lśniące czarne loki.

Kamerzysta daje znać, żeby dziewczynka weszła do studia.

– Idź. – Delikatnie, ale stanowczo popycham ją w stronę rozległego pomieszczenia, gdzie

wszystkie reflektory skierowane są na dwie białe kanapy ustawione naprzeciwko siebie.

– Dzisiaj gościmy również bardzo małą i dzielną dziewczynkę – zapowiada prezenterka. – Ta mała dziewczynka przyjechała do nas aż z Gdańska.

– Maju, idź! – Czuję się jak Donka, gdy odrywam od siebie zaciśnięte paluszki dziecka, a one zaczynają przypominać czepliwe szczypce. Nie wiem, skąd nagle w niej tyle siły i desperacji. Wyrywam palce z jej uścisku, ale Majka łapie mnie za rękaw swetra, a potem obiema rękami za nogę.

– Jezu, Maja, co ty wyprawiasz? Czekają na ciebie, idź! To program na żywo!

Michał przesyła nam znaki.

– Maju, szybko! – Siłą próbuję ją oderwać od swojej nogi.

– Idź z nią! – nakazuje Michał, też zdenerwowany.

Asystent pospiesznie przypina mi mikrofon do bluzki i nakrywa kabel warkoczem, ponieważ nie ma już czasu, żeby pożyczyć od kogoś apaszkę albo przeciągnąć sprzęt pod swetrem.

– Nasza mała księżniczka ma ze sobą świtę – żartuje prezenter, kiedy razem wchodzimy do studia.

Ledwie opadam na kanapę, gdy Maja chowa głowę pod mój łokieć.

– Czy mała księżniczka powie nam, jak ma na imię? – Prezenterka wyjaśnia widzom, że to debiut siedmioletniego dziecka, więc muszą być wyrozumiali.

– Maju – ponaglam dziewczynkę, ale nie reaguje.

Czas biegnie nieubłaganie i ludzie przed telewizorami pewnie niecierpliwie wiercą się na kanapach, więc tłumaczę, że mama Mai choruje i pilnie poszukuje biologicznej rodziny. Na monitorach ukazują się zdjęcia Sylwii.

– Co to za choroba? – pyta prezenterka.

– Ciężka postać anemii.

To nie ja powinnam opowiadać o chorobie Sylwii. Przewiduję reakcję telewidzów – będą pytać: „O co chodzi? Po co pokazali nam coś takiego?”. Siłę perswazji ma tylko dziewczynka; na Boga, to na jej dziecięcy, rozczulający głos liczyłam, gdy tu jechałyśmy!

– Maju? – Na próżno próbuję skupić na sobie jej wzrok. – Maja? – Wskazuję ekran, na którym Sylwia z jasnymi włosami wygląda jak duch samej siebie. – Kogo tam widzisz?

Dziewczynka raptownie podrywa się z kanapy.

– To mama! – Jej dziecinny głos ma moc zdetonowanej bomby.

Prezenterzy wymieniają się spojrzeniami, kamerzysta robi zbliżenie twarzy dziecka.

– Twoja mama choruje, prawda? – pyta prezenterka łagodnie.

– Nie może już jeść kremówek, bo wtedy boli ją brzuszek.

– Dlaczego przejechałaś tyle kilometrów, skarbie?

– Moja mama potrzebuje dawcy. Trzeba go znaleźć jak najszybciej. Inaczej stanie się coś złego.

Waham się, ale jednak mówię:

– W 1984 roku mama Mai przebywała w domu małego dziecka w Gdańsku.

Opowiadam o Niebieskiej Dziewczynce, o tym, jak znaleziono ją na dworcu. Mówię też o wspomnieniach, które Sylwia zachowała o matce. Robię przerwę, a potem wyjaśniam, że Sylwia uważa, iż miała biologiczną siostrę, która może być z nią zgodna tkankowo.

– Nie wiemy jednak, gdzie mieszka i jak ją odnaleźć. Nie znamy jej imienia ani nazwiska. Kobiety nigdy się nie widziały.

Prezenterka słucha ze skupieniem, a kiedy kończę mówić, zwraca się do Mai:

– Dlaczego twoja mama szuka siostry? – Wychyla się do przodu tak, jak często robią to ludzie niemający doświadczenia z dziećmi.

Ćwiczyłyśmy to, Maja wie, co odpowiedzieć. Ustaliłyśmy, że powie, iż biologiczna siostra może podarować jej mamie szpik. Podczas którejś próby dziewczynka odpowiadała też, że jeśli ją znajdziemy, będzie miała ciocię, a może nawet kuzynów i kuzynki. Teraz jednak patrzy na mnie tak, jakby zapomniała o ćwiczeniach, a moje ciało napina się w oczekiwaniu.

Jej oczy błyszczą jak u porcelanowej lalki, gdy odpowiada tym cienkim głosem, który wydobywa się z gardeł dzieci, kiedy mówią o rzeczach najtrudniejszych:

– Mamusia chciałaby się z nią zaprzyjaźnić przed śmiercią.

– Jesteś na mnie zła?

– Dlaczego miałabym być?

– Ten pan na ciebie nakrzyczał. – Maja poprawia spadający na oczy beret. – Wszyscy byli na nas tacy źli.

– Nie przejmuj się nimi. – Macham naszymi złączonymi dłońmi. – Nie mają racji. Byłaś naprawdę fantastyczna i to jest najważniejsze!

Zauważam wysoką zaspę śniegu pokrywającą trawnik.

– Czy możemy ją nazwać śniegiem Mai? – pyta.

– Możemy ją nazwać, jak chcesz.

To impuls. Zamykam oczy, rozkładam ręce, a potem odchylam się i opadam. Pojawiają się emocje jak przy starcie samolotu, a gdy ciało miękko ląduje w puszystej bieli, ogarnia mnie poczucie wielkiej ulgi. Śmieję się z zamkniętymi oczami tak długo, aż Maja pyta poważnie:

– Z czego się śmiejesz, ciociu?

Powiedziała „ciociu”! Rozchylam powieki i widzę nad sobą twarz dziewczynki, za którą rozciąga się blade, zakryte chmurami niebo.

– Jestem szczęśliwa, że pomogłyśmy twojej mamie.

Płatki śniegu spadają jej na beret, płaszcz i zatrzymują się na rzęsach.

Poruszam rękami, a Maja ocenia rysunek okiem znawcy.

– Jeszcze mocniej tamta ręka, bo nie widać skrzydła – poucza.

„Ryzyko zawodowe”, myślę, gdy w kieszeni dzwoni mój telefon. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co powie mała dziewczynka posadzona przed kamerami.

20

Gdańsk Wrzeszcz, 2002 rok

Najstarsza kobieta z rodziny Watraków obróciła dłoń Sylwii spodem do góry.

– Wiele przeszłaś w życiu – powiedziała skrzekliwym głosem.

Andrzej rozmawiał z Donką i matką w kuchni, ale co jakiś czas odwracał się i przez długość przedpokoju spoglądał na Sylwię, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam jest.

Palec starej kobiety, pomarszczony jak skórka suszonej śliwki, przebiegł po wnętrzu dłoni Sylwii. Okrążył wypukłość po lewej stronie, powędrował po linii rozdzielającej się na dwie części.

– Uważaj na zdrowie – ostrzegła. – Wszystko, co mamy, jest nam dane z pokolenia na pokolenie. Ty dostałaś złą krew. Wiem, że wiele już przeżyłaś, widziałaś dużo smutku, ale też radość.

Staruszka obróciła jej rękę bokiem i cmoknęła, zauważając poprzeczną linię papilarną, ledwie widoczną tuż pod małym palcem.

– Jedno dziecko urodzisz. Ale będzie całym twoim światem.

– Będę miała dziecko? – Sylwia poderwała wzrok na twarz kobiety. – Kiedy?

– Stanie się to, zanim liście trzeci raz spadną z gałęzi na ziemię.

Coś nie spodobało się Watrakowej. Posłała Sylwii pełne obawy spojrzenie.

– Za dużo oglądasz się na przeszłość. Jak dalej będziesz szła z głową do tyłu, zaczniesz się potykać. Widzę w twoim życiu młodą kobietę. Znałaś ją dawno temu i chociaż teraz jesteście w dwóch różnych miejscach, wkrótce los ją do ciebie przybliży.

– Mówi pani o mojej siostrze? – Dziewczyna pochyliła się do staruszki. Nagle ogarnął ją lęk. – Może pani powiedzieć o niej więcej? Gdzie teraz jest?

Uświadomiła sobie, że uwierzy we wszystko, co powie Cyganka, byleby starsza kobieta tylko przytaknęła, że chodzi o siostrę, a potem udzieliła wskazówek, jak ją znaleźć. Czekała na słowa, choćby bzdurne – niech Watrakowa powie nawet coś w rodzaju: „Twoja siostra jest za wielką wodą”. Sylwia przekroczy tę wodę, będzie szukała siostry tam, gdzie staruszka jej wskaże.

– Ty już nie masz rodzeństwa – odpowiedziała Romka, gładząc palcem wnętrze dłoni Sylwii. – Los was rozdzielił i nie przywróci. Co było, odeszło; i daj temu spokój, inaczej się zgubisz.

Oparła łokcie o blat i wpatrzyła się w podręcznik do psychologii. Rozdział traktował o potrzebie dotyku u dziecka. Skupiła się na tym, żeby oddychać równomiernie. By ogrzać dłonie, wsunęła je pod pachy.

„Dzieci, które zostały porzucone albo czują się niekochane, zazwyczaj mają szorstką, napiętą, nieprzyjemną w dotyku skórę”.

Coś się zawaliło. Cicho, bez zamieszania. Nie dostrzegli tego ani profesor, ani otaczający ją studenci.

Znowu skupiła wzrok na tekście, ale tym razem wydawało się jej, że rozświetlił go błysk flesza, na sekundę zmieniając w całkiem inną książkę. W książkę o niej samej. Nie była w stanie dalej czytać, dotarło do niej, że nie przebrnie przez wykład poświęcony potrzebie

dotyku i porzuconym dzieciom, który zaraz miał się rozpocząć.

– Wychodzisz? – zapytała ze zdziwieniem koleżanka z roku.

– Źle się czuję. – Sylwia była już na schodach prowadzących do wyjścia z auli.

Jeszcze nigdy nie widziała Olgi w stroju do jazdy konno, więc teraz, uwieszona na drewnianym ogrodzeniu, z fascynacją obserwowała koleżankę. Olga wyglądała dumnie: kita ciemnych włosów wystawała spod toczka, jej nogi w bryczesach i wysokich butach wydawały się długie i wysportowane, a kręgosłup trzymał się prosto.

– No proszę, kogo ja widzę! – zawołała na widok Sylwii i podjechała bliżej.

– Czy… mogę spróbować? – Kiedy wyciągnęła rękę do zwierzęcia, pod palcami poczuła ciepłą, miękką sierść.

Przypomniały się jej słowa Patrycji sprzed lat, że doświadczona klacz w kilka sekund potrafi rozpoznać, kto na niej usiadł. Olga wyglądała na koniu idealnie, w siodle czuła się tak, jakby się w nim urodziła. Do Sylwii wrócił dawny lęk, że jeśli to ona dosiądzie klaczy, ta natychmiast ją zrzuci.

Przyjaciółka przygotowała dla niej strzemiona i pomogła Sylwii dosiąść konia.

– Udało się! – zawołała wesoło.

Nie stało się nic strasznego. Koń nie zerwał się do biegu, nie próbował jej zrzucić, nie zareagował agresywnie, tylko spokojnie czekał na wskazówki, jakby Sylwia była jedną z wielu kobiet, które nosił na grzbiecie. Olga zaczęła tłumaczyć, że komunikacja ze zwierzęciem polega na ściskaniu go łydkami. Udami Sylwia miała się mocno trzymać siodła, a jeśli chciałaby wydać Sarze rozkaz, musi uderzyć ją piętami.

– Pokaż jej, kto tu rządzi, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Sylwia przycisnęła boki klaczy, ale Olga zakomenderowała, że ma to zrobić mocniej.

– Wkurzy się na mnie – zaoponowała Sylwia, przenosząc spojrzenie na koleżankę.

– Nie żartuj!

Sara w końcu ruszyła mozolnie, kołysząc Sylwią na boki.

– Pogłaszcz ją – pouczyła Olga. – A teraz sięgnij do jej ogona.

Sylwia czuła, jakby znajdowała się na wysokiej rozkołysanej wiatrem wieży.

– No i świetnie. Teraz rozłóż ręce na boki. – Olga ruszyła w ślad za nią, by w razie czego być w pogotowiu. – Pospiesz ją.

Dziewczyna spięła butami boki zwierzęcia.

– Teraz każ jej iść w prawo.

Skierowała konia w prawo, a on posłuchał.

– Przytul do niej twarz.

Pod policzkiem Sylwia poczuła miękką sierść i gęste włosy. Zacisnęła powieki.

– Chcesz zejść? – dobiegł ją głos Olgi.

Pokręciła głową. Chciała nacieszyć się swoim pierwszym, małym zwycięstwem.

– Gdzie jest Aza?

Dochodziła pierwsza w nocy i zza okna mieszkania nie dobiegał ich żaden dźwięk, a pokój, w słabym świetle rzucanym przez stojącą lampę, miał barwę stali. Andrzej pracował na komputerze, ale kiedy Sylwia się odezwała, poderwał głowę i popatrzył na nią, jakby nie wiedział, o czym mówi.

– Aza? – Zmarszczył brwi. – Jaka…?

Byli już dorośli, a tamte wydarzenia należały do świata dzieci. Zdziwienie w jego oczach znikło zastąpione zrozumieniem i Sylwia była pewna, że jeśli Andrzej jej pomoże, zrozumie wszystko, co przez lata było owiane tajemnicą.

W jej głowie jak migawka z innego życia pojawiało się wspomnienie niewielkiego ciemnego pomieszczenia, na którego podłodze kładł się prostokąt światła rzuconego przez latarnię. Wspomnienie zgasło i został po nim tylko zły, ciemny powidok.

– Nie mieliśmy warunków – bąknął Andrzej, jakby chciał się usprawiedliwić. – Ojciec pracował nielegalnie, matka nie pracowała wcale, poza tym nie zgłosiliśmy, że znaleźliśmy dziecko, więc… – Zagarnął kosmyk włosów za ucho. – Więc jej nam nie dali.

– To gdzie Aza jest teraz?

Tamten czas, gdy Watrakowie znaleźli Azę, był dla niej jak puszka, w której zagnieździły się robaki. Świat kolejny raz się zmienił i stał się sypki, jakby powstał z piasku. Sylwia ułożyła dłonie na brzuchu w miejscu, gdzie gromadził się strach.

Pierwszy raz zmusiła się do zastanowienia nad tym, czego była świadkiem. Myślała o tym, że w 1987 roku na parkingu pod kamienicami stało niewiele samochodów, zresztą mało osób w ogóle je miało. Matka Azy musiała mieszkać gdzieś w pobliżu – przecież nie szła przez całe miasto z dzieckiem na ręku, a nie zdecydowałaby się, by wracać do domu z pustym wózkiem, bo mogłoby to zwrócić uwagę przechodniów.

– Nie wiem – odparł Andrzej ze zdziwieniem. – Nie myślałem o tym od lat.

Sylwia powinna była znaleźć dowody, tymczasem miała wrażenie, że błądzi po manowcach. Potykała się o niejasności, zbierała okruchy spraw, których nie rozumiała jako mała dziewczynka, a teraz wciąż bała się złożyć z nich spójną całość.

Co wydarzyło się dawno temu na dworcu? Co wydarzyło się dawno temu na ciasnym dziedzińcu otoczonym kamienicami? Co przydarzyło się Sylwii, Azie i tamtej drugiej dziewczynce, po której został tylko wpis „z ciąży bliźniaczej”? Wszystkie te historie miały wspólny mianownik, a ona go znała.

Ciężko było uwierzyć, że stare wspomnienia wciąż znajdowały się w jej głowie w stanie nienaruszonym. Jak to możliwe? Przecież były ulotne, delikatne: zapach perfum matki, uśmiech jej uszminkowanych ust, niebieskie oczy Azy, Watrakowa kołysząca dziecko w ramionach…

Minęło tyle lat, ale kiedy teraz zamknęła oczy, bez trudu znalazła wspomnienia pod powiekami: wyraźne, jakby tylko czekały, aż Sylwia po nie sięgnie i wszystko zrozumie.

– Żal mi jej – wyznała Stefanowi.

– Kogo?

– Kaszmir. – Ukryła twarz w rękach. – Boże, tak okropnie mi jej żal.

Wcześniej pobyt u Stefana zawsze kojarzył się Sylwii z rozpakowywaniem prezentów. Teraz uświadomiła sobie, że nie chciałaby być nigdzie indziej, że w żadnym innym mieszkaniu nie dałaby sobie rady z tym, co się z nią działo. Stefan ją znał. Potrafił pomóc.

Pozwoliła mu zaprowadzić się na miękką sofę w salonie, zawsze nakrytą jakimś kocem. Mężczyzna mieszkał sam, na półkach regałów najczęściej lśniło złowieszczą czystością, a mimo to brakowało tu kobiecej ręki, która ustawiłaby fotografie, powiesiła na ścianach obrazy, dobrała firanki i zasłony.

Materac lekko się ugiął, gdy Stefan usiadł koło Sylwii.

– Tak bardzo się starała – wyjąkała dziewczyna, wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach. – Wzięła mnie do siebie, dla mnie przeszła przez całą sześciotygodniową kurację odwykową,

zajęła się mną, naprawdę się zajęła, chociaż mąż ją zostawił, więc równie dobrze mogła mnie zwrócić do domu dziecka.

– Zwrócić do domu dziecka? – Na rękach poczuła dłonie Stefana. Zmusił ją, żeby przestała ukrywać twarz i spojrzała na niego. – Jezu, Sylwio, co ty w ogóle wygadujesz? Nie jesteś towarem, który się zwraca, gdy coś nie pasuje.

Jego oczy były tak samo niebieskie jak te, które znała z dzieciństwa. I znowu to, co kiedyś znajdowało się pod spodem, wyszło na wierzch: takie oczy miała też Aza. Ten sam błękit.

Sylwia bez zastanowienia dotknęła twarzy mężczyzny, jego powiek, które natychmiast opuścił. Przesunęła palcami po jego twarzy, wyłapując drobne zmiany zostawione przez czas. Pierwsze zmarszczki na czole, wokół oczu…

– Przestań. – Powstrzymał jej dłonie, nakrywając je swoimi.

Żal nasilał się niczym gwałtowna zawierucha z deszczem i śniegiem i Sylwia nie potrafiła nad nim zapanować. Znów myślała o Kaszmir. Kaszmir, która nigdy nie była idealną matką, ale zastąpiła Sylwii matkę.

– Źle się czuję.

– Chcesz trochę wody? – Stefan z niepokojem poderwał się z kanapy.

– Niedobrze mi.

– Pochyl głowę, przyniosę wodę.

Wsunięcie głowy między kolana nie wystarczyło, więc Sylwia położyła się na dywanie. Pod policzkiem czuła jego fakturę odciskającą się na skórze. Słyszała trzask drzwi szafki w kuchni, a potem szum wody w kranie. Miała wrażenie, że to wszystko jest zmyślone… niebieski kombinezon. Bulwar. Kaszmir. Siostra.

Duże, wyraźne litery swojej dziecięcej opowieści musiała teraz przełożyć na drobny druk dorosłej historii.

– Boję się, że ona nie żyje – wyszeptała i zamknęła oczy.

Stefan wsunął jej do ręki wodę. Trzęsła się, jakby miała gorączkę.

– Okropnie się boję.

Oddychała spazmatycznie, zatrzymując powietrze w płucach i wypuszczając drobnymi porcjami. Skorupki rozbitej przeszłości zaczynały się cudownie ze sobą łączyć.

Niektóre wspomnienia tkwiły przez długie lata zamknięte w jej głowie, opisane ręką dziecka słowami: „dzień, w którym mama mnie porzuciła”. Etykieta pozostała, chociaż dziecko wyrosło. Teraz jednak Sylwia czuła, że ich nie powstrzyma – przyszedł czas, by wyjąć je na wierzch, przewietrzyć i zetrzeć z nich kurz.

– Czego się boisz, Sylwio? – Stefan rozgarnął pasma jej włosów zasłaniających twarz.

– Że o czymś wiem. – Zaczęła szczękać zębami.

– O czym, kochanie?

Potrząsnęła głową. Nie chciała tego rozpamiętywać.

– O czym wiesz, Sylwio? – powtórzył.

Błękit jego oczu. Ciepło dłoni. Spokój. Spokój, do którego chciała się przykleić, tak by nic ich nie rozłączyło.

– Kochanie, nie płacz. Powiedz, co sobie przypominasz.

– Nie płaczę… Nie wiem, oczy same mi wilgotnieją.

– Dlaczego?

– Też chciałabym wiedzieć.

Wycofała się, ukryła za niepamięcią. Stefan zagarnął jej włosy za uszy, podał chustkę, żeby

wydmuchała nos. Siedzieli obok siebie na dywanie, rozdzieleni szklanką wody, i wtedy zapytał:

– O czym mówiłaś, kiedy oczy zaczęły ci płakać?

– Nie pamiętam. – Potarła palcami dłoń, która nagle zaczęła swędzieć.

To nie były ćmy, przyszło jej do głowy. Głupie wspomnienie, którego nie potrafiła z niczym połączyć. Myślała, że to ćmy, ponieważ ćmy znajdowały się na zasłonach w domu małego dziecka, ale przecież nie chodziło o tamten wzór z tkaniny. Chodziło o motyle. Piękne motyle, które przysiadały na ciepłym murku bulwaru.

Wzięła głęboki wdech i zwiesiła głowę.

– Mówiłaś, że coś wiesz.

Przytaknęła. Upiła łyk wody. Milczała. Na miejscu Stefana już dawno by sobie poszła i zostawiła siebie samą na dywanie, pogrążoną w myślach i jednocześnie sparaliżowaną strachem. Ale Stefan nigdzie się nie wybierał. Tak jak w dzieciństwie, gdy pozwalał, by mówiła tylko tyle, na ile czuła się gotowa, tak teraz jej nie popędzał. I nagle wszystko się ułożyło, jakby jakiś czarodziej pstryknął palcami.

– Mama zabrała mnie na bulwar – odezwała się Sylwia, wodząc dłonią po wzorze na dywanie. – Najpierw chodziłyśmy po mieście…

Mijały przecznice. Sylwia przypomniała sobie małe lakierowane buty, znoszone, ze startymi czubkami. Matka wyprzedzała ją o kilka kroków.

– Doszłyśmy do gdyńskiego bulwaru. Było tak ładnie. – Poczuła, że usta wyginają się jej w uśmiechu przypominającym uśmiech dziecka.

Niebieskie niebo rozciągnięte nad bulwarem. Na barierce koło Sylwii przysiadł motyl. Miał piękne brązowoczerwone ubarwienie i duże wyraźne owale na końcówkach skrzydeł. Sylwia chciała nakryć go dłonią, pochyliła się i…

– Coś się stało. – Głos ugrzązł jej w gardle.

Na bulwarze wybuchło zamieszanie. Jakaś kobieta złapała Sylwię za ramiona i powtarzała rozhisteryzowanym głosem: „O Boże, o Boże! Ona mogła spaść!”. Nie pamięta tego wyraźnie, ale wie, że otoczyło ją wtedy tak wielu ludzi, że straciła mamę z oczu. Wszyscy pytali, gdzie jest mama, a przecież ona siedziała na ławce, nigdzie nie odeszła!

Czuła, że jest u kresu wędrówki, że za chwilę mogłaby poznać całą prawdę.

– O Boże, nie chcę tego pamiętać! Nie chcę! – powtórzyła, zakrywając twarz.

21

Współcześnie

Pojawiają się pierwsze wpisy na internetowym forum telewizyjnym: „Czuję wielki żal – pisze internautka o pseudonimie Iwa. – Będę się modlić za tę dziewczynkę i jej mamę”. Ktoś inny pyta o numer konta, na który można wpłacać pieniądze, żeby wspomóc rodzinę. „Wiem, co czuje ta kobieta, bo sama przez to przeszłam – informuje Pop&Roll. – Mam czteroletniego synka i walczę z rakiem piersi. Lekarze twierdzą, że najważniejsze są brak stresu, wysypianie się, zdrowe odżywianie. Jak mam to robić? Boję się choroby i nie mam siły walczyć”. Ktoś inny odnosi się do jej wpisu: „Masz taki przewrotny nick i nie chce ci się walczyć? Nie wierzę!”.

Pojawia się kolejna prośba o podanie numeru konta. „Czy Wam, ludzie, odbiło?! – denerwuje się internauta o pseudonimie AP. – Po co Wam numer konta? Za pieniądze ma sobie wyprodukować nowy szpik czy jak? Idźcie lepiej na badania, może będziecie z nią zgodni!”.

Są też wpisy, które przewidziałam i których się obawiałam: „Telewizja upadła już tak nisko, że leży na podłodze najgłębszej piwnicy. Żeby żerować na cudzym nieszczęściu i sadzać przed kamery małą dziewczynkę?!”. Ktoś inny odpisuje: „Czuję żal, złość i ból. Nie wiem tylko, po co telewizja pokazuje coś takiego ludziom przed pracą”.

„Nie sądźcie, bo sami będziecie sądzeni”, dołącza się inny głos. Internauta o nicku Power odpowiada: „Jesteś debilem i faszystą, a ten wpis powinien zostać usunięty z forum! Skretyniały czciciel”.

– Poczekasz tu na mnie? – Wskazuję Mai fotel w recepcji mojej dawnej firmy, tej, która kojarzy mi się już tylko i wyłącznie z moją wielką plamą na całą Polskę. – Muszę coś załatwić, to nie potrwa długo.

Maja posłusznie siada, więc ruszam do bramek, ale kiedy jestem już przy przejściu, zatrzymuję się i zawracam.

– Albo chodź ze mną. – Wyciągam do niej dłoń.

Razem wspinamy się po schodach, idziemy korytarzem wyłożonym miękkim dywanem w stronę pokoju, do którego kiedyś mogłam wchodzić bez pukania, a teraz boję się nawet zapukać. Im bliżej jesteśmy tego pokoju, tym większy ogarnia mnie lęk. Przypominam sobie swoją ostatnią wizytę tutaj, zdezorientowanego szefa pytającego, czy pomylił się wobec mnie, dając mi program o tak dużej oglądalności, podczas gdy ja wszystko spieprzyłam. Wraca poczucie porażki, silne jak wtedy, ale tym razem nie jestem sama. Maja, jakby wyczuwając mój strach, zaciska palce na mojej dłoni.

Szef zawsze kojarzył mi się z dobrym czarodziejem z *Władcy Pierścieni*, ponieważ nosi długą siwą brodę. Znad paska spodni wylewa mu się tak duży brzuch, że do każdych spodni zakłada szelki, a jego oczy zawsze miały chłopięcy wyraz, wesołe i poczciwe. Teraz jednak pierwszy raz, kiedy na mnie spogląda, kojarzy mi się z Tolkienowskim światem czarnej mocy.

– Powiedziałeś, żebym wróciła, jak wydobrzeję – przypominam, zmuszając usta do półuśmiechu.

Mężczyzna przygląda mi się bez cienia sympatii.

– Wiesz, ile czasu minęło od tamtej pory?

– Mam dobry materiał. – Z torby wyciągam płytę, na którą Jacek zgrał mi jeszcze nieobrobiony reportaż o Sylwii. – Spodoba ci się. – Kładę ją na stole. – Kobieta choruje na anemię aplastyczną, poszukuje dawcy, a jej rodzina…

– Teraz nie mam czasu.

– Daj mi dziesięć minut. – Zawsze uważałam, że nie należy się zniżać do błagania, ale w tej chwili czuję, że mam do stracenia wszystko: nie tylko siebie i swoją karierę, ale przede wszystkim nadzieję na pokazanie reportażu o Sylwii w programie, który ma naprawdę dużą oglądalność. – Dziesięć cholernych minut, Mariuszu. Proszę cię. Jechałam tu pięć godzin. Ta kobieta choruje. Chociaż rzuć okiem. Nie traktuj mnie tak.

– Boli mnie brzuszek – przerywa Maja cichym, wystraszonym głosem.

Mój szef dopiero teraz koncentruje na niej spojrzenie, ale na szczęście tylko na moment.

– Nie czepiam się tej pieprzonej wyspy, bo każdemu może się zdarzyć! – podnosi głos. – Nie tacy jak ty rozpadali się na kawałki na widok ludzkiego nieszczęścia! Chodzi mi o to, co wydarzyło się później! Przeciągałaś urlop! Nie odbierałaś moich telefonów, Piotr próbował się z tobą skontaktować i podobno mu napisałaś, żeby się pierdolił „jebany złodziej”! Co się z tobą stało?! Ledwie skończyłaś studia! Skakałaś z dywanu na podłogę, kiedy ja zajmowałem się dziennikarstwem, a teraz próbujesz pokazać nam, gdzie nasze miejsce?!

– Mariuszu, to nie tak. – Składam dłonie jak do modlitwy i czuję, jak na moich policzkach pojawiają się wypieki. Dygoczę jak wystraszona nastolatka. Głos mi się łamie. – Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, to, że mi zaufałeś…

– Boli mnie brzuszek – powtarza Maja głośniej.

Mariusz wskazuje dziewczynkę palcem i kiwa nim, jakby jej groził.

– Przychodzisz tu z dzieckiem i…

Słyszę ten dźwięk i jeszcze zanim spojrzę na Maję, wiem, że jest gorzej, niż mogłam przypuszczać. „Proszę, nie”, myślę, gdy Mariusz nagle się odsuwa, klnąc, na czym świat stoi, z butami poplamionymi wymiocinami. Maja, wystraszona, zaczyna głośno płakać i znowu dostaje torsji, więc biorę ją na ręce i szybko wynoszę do łazienki.

Obmywam jej twarz wodą; czuję, że skórę ma gorącą jak woda w gejzerze. Nieustannie płacze, w dodatku tak głośno, że zaglądają do nas niemal wszyscy przechodzący korytarzem pracownicy. Połowy z nich miałam nadzieję dzisiaj nie oglądać, więc w końcu zabieram dziewczynkę do toalety dla niepełnosprawnych i zamykam drzwi na zamek. Mówię najcieplej, jak potrafię:

– To zaraz minie. To tylko emocje, księżniczko. Wiele dzisiaj się działo, może za wiele dla takiej małej dziewczynki.

Bolą mnie nogi od kucania, więc siadam na podłodze, a Maja gramoli się mi na kolana i opiera mokry policzek o moją pierś, nie przestając płakać.

W hotelu układam ją na łóżku i nakrywam kołdrą. Sama się sobie dziwię, skąd mam tyle cierpliwości i wyrozumiałości dla tego dziecka. Dziewczynka ciągle źle się czuje, oczy błyszczą jej od gorączki, przyciska ręce do brzucha i nie chce zjeść nawet sucharków, które dla niej kupiłam. Co gorsze, nie chce też pić. Uświadamiam sobie, że dziś wypiła tylko pół filiżanki herbaty przy śniadaniu. Nie dopilnowałam jej. Nie zwróciłam uwagi, że rano objadała się głównie płatkami i mlekiem, a potem, w budynku telewizji, zjadła kilka kostek czekolady, którą poczęstowała ją garderobiana. Kiepska byłaby ze mnie matka, na niczym się nie znam! Próbuję wmusić w nią kilka łyków wody, ale stanowczo protestuje.

– Brzuszek… brzuszek… – powtarza.

Miałyśmy dzisiaj wrócić do Gdańska, jednak nic z tego. Patrzę na zegarek i mam ochotę ukryć twarz w dłoniach.

– Połóż głowę tutaj – proponuję, podsuwając dziewczynce swoje kolana.

Maja posłusznie się do mnie przytula.

– Ciociu… – Jest tak zmęczona, że ma problem z otworzeniem oczu. – Czy naprawdę pomogłyśmy mamie?

– Bardzo, księżniczko.

– A czy jej siostra się teraz znajdzie?

– Tak myślę.

– No to uf.

Przechodzi mi przez myśl, że kiedyś, może już jako dorosła osoba, Maja przypomni sobie ten hotel, ból brzucha, mojego szefa i słowa, które właśnie wypowiedziałam. Przypomni to sobie i znienawidzi mnie za te kłamstwa.

– Zasnęła w taksówce. Możesz tu zejść i wnieść ją na górę?

– Zaraz będę.

Chowam telefon do kieszeni i razem z kierowcą spoglądamy na bramę. Na piętrze zapala się światło, zauważam Andrzeja zbiegającego bez kurtki po schodach. Kiedy pochyla się nad Mają, wyczuwam zapach alkoholu.

– Hej, mała – szepcze, biorąc dziewczynkę na ręce. Przytula ją, a Maja jest zbyt senna, by wiedzieć, co się dzieje, więc tylko oplata jego szyję rękami i opiera policzek o ramię ojca.

Idę za nimi po schodach, a potem do mieszkania, gdzie Andrzej od razu kieruje się z dziewczynką do sypialni. Pomagam mu rozpiąć jej śniegowce, razem ostrożnie rozbieramy ją z kurtki, czapki i szalika.

Z pokoju wychodzimy na palcach, Andrzej cicho zamyka drzwi, wchodzimy do kuchni i tam stajemy naprzeciwko siebie. Patrzy jakoś tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy mi podziękować, czy zapytać, jak było.

– Oglądałeś nas?

Potrząsa głową.

– Zapomniałeś?

Znowu zaprzecza. Spoglądam na blat, gdzie stoją puste puszki po piwie.

– Nie możemy się skuć oboje. – Uśmiecha się, ale jego oczy pozostają poważne. – Ktoś musi być trzeźwy. Miałem cholernie ciężki dzień, ale ty pewnie też.

Nalewa mi wina do kieliszka, a potem przygotowuje wodę dla Mai. Chcę go spytać o Sylwię, ale nagle brakuje mi odwagi. Przecież gdyby było dobrze, na blacie nie widziałabym tych puszek. Andrzej nie miałby takich smutnych oczu.

Kiedy wychodzi, dopijam resztę alkoholu. Słyszę, jak Andrzej budzi dziewczynkę, przemawiając do niej szeptem:

– Weź parę łyków. Słyszałem, że bolał cię brzuszek.

– Wymiotowałam – odpowiada Maja sennie.

– To pewnie nie było zbyt miłe, co? Trzeba poważnie porozmawiać z twoim brzuszkiem, nie może boleć na wyjazdach, a już szczególnie w telewizji.

Słyszę szelest kołdry, gdy kładzie się przy córce.

– Nie wychodź nigdzie, tatusiu – prosi dziewczynka.

– Nigdzie nie pójdę. Zasnę tu z tobą, kaczuszko. Od tego jestem.

22

Współcześnie

Pierwszy wóz transmisyjny pojawia się przed kamienicą o dziewiątej rano i budzi zainteresowanie sąsiadów, którzy natychmiast wychodzą na balkony albo przystają w oknach.

– Wraca sprawa Niebieskiej Dziewczynki, która w latach osiemdziesiątych wywołała oburzenie opinii publicznej – informuje młoda dziennikarka; kojarzę ją z programów o tematyce społecznej nadawanych w lokalnej telewizji. Ustawia się na chodniku na tle bramy, a obok niej zauważam jedną z sąsiadek Sylwii.

– Co się dzieje? – pyta z niepokojem Andrzej, rozchylając zasłony. – To dlatego, że wystąpiłyście w programie? Będą chcieli sfotografować Maję?

Wychodzę na zewnątrz ubrana tylko w sweter i kozaki i od razu zaczynam drżeć z zimna.

– Chcecie nagrać wywiad z rodziną? – pytam asystentkę dziennikarki, która pije kawę z papierowego kubka oparta o samochód transmisyjny. – Sylwia jest w szpitalu. Tu jej nie znajdziecie.

Dziennikarka właśnie rozmawia z sąsiadką o chorobie Sylwii.

– Matka dziewczynki umiera – słyszę słowa. – Gdyby biologiczna rodzina utrzymywała kontakt z Niebieską Dziewczynką, może nie doszłoby do takiej tragedii. Kolejny raz będziemy rozmawiać o dramacie, który rozegrał się w Gdyni w 1984 roku, kiedy to nieodpowiedzialna kobieta porzuciła swoje wówczas trzyletnie dziecko. Dziewczynka trafiła do adopcji, a dzisiaj jako dorosła kobieta poszukuje biologicznych krewnych, którzy, jak się okazuje, mogą uratować jej życie.

Sylwii zależało na rozgłosie, więc powinniśmy wykorzystać szansę i rozmawiać z dziennikarzami, ale Andrzej jest zdenerwowany i nie daje się przekonać.

– Maja już zrobiła swoje – tłumaczy. – Słyszałaś, co ta kobieta powiedziała o Sylwii? Mówią, że umiera!

Dziennikarka dzwoni domofonem i pyta Andrzeja, czy za pół godziny mogłaby przeprowadzić wywiad z Sylwią i jej córką. Mężczyzna rzuca mi takie spojrzenie, jakbym nagle stała się chodzącą bombą, która za moment wybuchnie w jego mieszkaniu.

– Matka Mai leży w szpitalu – odpowiada, pocierając oczy, jakby chciał się obudzić ze złego snu. – Ale oczywiście może pani się z nią skontaktować. Zejdę i podam do niej numer. Jeśli zaś chodzi o córkę… wolałbym, żebyście zostawili ją w spokoju.

Proponuję, że odprowadzę Maję do szkoły i dopilnuję, by dziennikarka jej nie zaczepiła. Kiedy wychodzimy przed klatkę, kamery są już rozłożone, a obok wozu transmisyjnego stoi drugi samochód, oklejony reklamą z adresem strony internetowej, którą kojarzę z prasą brukową. Andrzej rozmawia z dziennikarką poza przygotowanym planem, a dzieciaki z podwórka zakradają się od tyłu do samochodów i próbują dotknąć kamer.

Całą drogę do szkoły Maja się nie odzywa. Może dotarły do niej słowa dziennikarki, a może sama połączyła fakty, w każdym razie wesołe dziecko, które zaczęłam odkrywać podczas wyjazdu, na powrót stało się zamkniętą w sobie, pełną złości dziewczynką. Dziecko podnosi z ziemi patyk i uderza nim w pręty ogrodzenia, które mijamy, a gdy docieramy do szkoły, niemal wyrywa rękę z mojego uścisku, żeby pobiec do szatni.

– Patrz, to ta dziewczynka z telewizji – słyszę szept jednej z kobiet stojących w szatni w miejscu wydzielonym dla zerówek. Znad zmienianych pociechom butów spoglądają na Maję.

Jedna z nich zbliża się do mnie i ze współczuciem mówi:

– Nie miałam pojęcia, że matka dziewczynki jest tak bardzo chora. Modlimy się za nią z mężem i trzymamy kciuki, żeby dawca szybko się znalazł. Poproszę ludzi ze wspólnoty parafialnej, żeby też zaczęli się za nią modlić.

Dziennikarka z lokalnej telewizji wyprzedziła mnie – kiedy docieram do szpitala, jest już w środku z kamerzystą. Chcę się przedstawić, ale dobiegają mnie ich głosy:

– Kto z nią jest najbliżej?

– Jakaś pismaczka. Kiedyś prowadziła program telewizyjny o tematyce społecznej, ale chyba ją wylali.

– Szlag. Mówisz o tej Poli jakiejś tam? Ostro szuka drogi powrotnej przed kamery, karierowiczka jedna.

Zaglądam do sali Sylwii. Siedzi na łóżku i wkłada wiele wysiłku w zawiązanie chusty na głowie.

– Daj, ja to zrobię. – Wyjmuję jej materiał z rąk.

Mamy mało czasu. Sylwia wspomina, że zaraz będzie proszona o wywiad dla telewizji. Już się zgodziła, cieszy ją, że sprawa nabiera rozgłosu i dzięki temu może wreszcie znajdzie siostrę.

– Kiedy po mnie przyjdzie? – rzuca ni z tego, ni z owego, jakby reporterka była katem. Nerwowo dopytuje, co myślą o niej dziennikarze. – Pewnie uważają mnie za złą matkę, skoro wysłałam dziecko do telewizji, żeby mówiło w moim imieniu… – Patrzy gdzieś w bok.

– Myślą, że przechodzisz przez piekło. Co innego mogliby myśleć? – Pytanie ma drugie dno, ale Sylwia albo nie chce go wychwycić, albo naprawdę tego nie zauważa.

Zabieram ją do łazienki i pomagam jej się ubrać. Sylwia jest tak osłabiona, że muszę ją przytrzymywać, żeby usiadła na wózku.

– Najpierw ogol mi głowę – prosi. – Nie cierpię, gdy odrastają mi włosy; są takie nierówne i brzydkie. Nie chcę, żeby wszyscy widzieli ten meszek.

W łazience wyjmuję maszynkę z jej kosmetyczki. Golę włosy do skóry, a resztki wyrzucam do toalety.

– Wyglądasz teraz tak… – szukam odpowiedniego słowa – tak bojowo. Jakbyś chciała walczyć.

Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze.

– Jestem brzydka – mówi Sylwia. – Jak możesz na mnie patrzeć?

– Gadasz głupoty.

– Jestem okropna.

– Nie jesteś. Nawet tak nie mów.

Sylwia podaje mi kolorową chustę, więc drapuję materiał na jej głowie. W beżowej apaszce w drobne kwiaty wygląda na pewniejszą siebie. Ołówkiem do brwi delikatnie poprawiam to, co zostało z jej cienkich łuków nad oczami. Pytam, czy umalować jej usta, chociaż trochę, naturalnym odcieniem szminki.

– Nie będzie widać, ale na zdjęciu lepiej się zaznaczą – tłumaczę.

– Na czerwono. – Uśmiecha się trochę sennie.

W torebce znajduję ostrą czerwień i ogarniają mnie obawy, czy telewizja nie będzie miała nic przeciwko temu. Pewnie zależy im na zdjęciach bladej wymizerowanej kobiety, która wzbudzi w widzach współczucie.

Szminka biegnie po jej wargach, zabarwiając je na kolor kojarzony z życiem.

– Dziękuję, Polu. Czuję się o wiele lepiej.

Dopiero teraz, kiedy rozebrała się z pidżamy, widzę zmiany, których w jej ciele dokonała choroba. Nie chodzi mi o papierową chudość, lecz o ślady, z których jeden zauważam pod żebrami z lewej strony. Przypomina siniaka, ale skóra jest nabrzmiała i czerwona. Więcej wybroczyn zauważam na plecach, jedną na udzie. Niektóre wyglądają na wysypkę, inne na źle gojące się rany. Przypominam sobie, że w internecie czytałam coś na temat krwawych wybroczyn charakterystycznych dla anemii aplastycznej.

– Chodźmy już – proszę. – Czekają na ciebie.

Podczas gdy Sylwia udziela wywiadu, przeszukuję internet. Portale o tematyce społecznej już podchwyciły powrót Niebieskiej Dziewczynki i piszą na ten temat, na razie artykuły niewiele większe niż nekrolog albo ogłoszenie matrymonialne, ale jestem pewna, że nie minie doba, a z historii Sylwii zrobią spory news. Media poczuły krew.

Niebieska Dziewczynka umiera!, informuje jeden z nagłówków i co gorsze, inne mniejsze portale go podchwytują. Fundacja, do której zgłosiłam Sylwię, utworzyła jej profil na Facebooku i opublikowała zdjęcia. „Wysyłajcie do niej energię, modlitwy i wszystko, co może jej pomóc!”, napisał redaktor prowadzący stronę.

Akurat ją Sylwia powinna zobaczyć, i to jak najszybciej. W ciągu jednej doby namnożyło się prawie sześćset komentarzy, z których większość krzyczy: „Walcz, bo warto!”, „Trzymamy kciuki!”, „Pięknie wyglądasz! Na pewno jeszcze wiele lat życia przed Tobą!”, „Walcz dla córeczki! Dasz radę!”, „Modlimy się za Was!”.

23

Gdańsk Wrzeszcz, 2003 rok

W mieszkaniu Watraków zebrało się mnóstwo ludzi. Andrzej właśnie witał się z jakimiś dalekimi kuzynami i jego dłoń wypuściła z uścisku rękę Sylwii.

Kobieta została sama. Przyglądała się gościom, którzy przyszli w tradycyjnych romskich strojach, inni ubrali się w tak złym guście, jakby zaproszono ich na bal karnawałowy. Koło Sylwii przebiegły dziewczynki, rozchichotane i głośne, ale ucichły, jak za sprawą czarodzieja pstrykającego palcami, gdy tylko padł na nie wzrok najstarszej kobiety z rodziny Watraków.

– Sylwia, chodź no tutaj! – przywoływała ją do siebie matka Andrzeja, siedząca w rogu pokoju na fotelu.

Tuż obok znajdowała się kołyska, a w niej niewielkie zawiniątko. Sylwia przecisnęła się przez tłum.

– Nie nosisz pierścionka od Andrzeja? – spytała kobieta. – Przecież ci dał. Widzisz moją obrączkę? Nie mogę jej zdjąć, taka jest ciasna. Będą musieli mnie z nią pochować.

Sylwia zapatrzyła się na dziecko w kołysce.

– Chłopiec – powiedziała dumnie Watrakowa. – Donka myślała, że będzie dziewczyna; chciała ją nazwać Wenecja!

– Wenecja?

– Imię jak każde. Ale będzie chłopak, Masio.

– Masio – powtórzyła Sylwia, wodząc spojrzeniem po uśpionej twarzy dziecka.

Zdumiało ją, że chłopca nie obudziły hałasy. Mężczyźni, stłoczeni w drugim pokoju, pili alkohol i głośno rozmawiali. Ktoś zaczął śpiewać, inni podchwycili piosenkę. Kobiety zebrały się w kuchni; docierały z niej podniesione głosy; Sylwia rozpoznała śpiewny tembr Donki.

Niespodziewanie Watrakowa złapała ją za rękę.

– A co ty taka blada? – spytała podejrzliwie. – Chora nie jesteś?

– Nie, ja… – Sylwia zawahała się, ale tylko na chwilę. – Przepraszam, poszukam Donki. – Pospiesznie wycofała się z pokoju.

Prezent, który przyniosła dla dziecka, postawiła pod ścianą. Od kilku tygodni starała się dbać o siebie: dobrze się odżywiała, nie odmawiała sobie przyjemności takich jak spacery na świeżym powietrzu, basen, odwiedziny u Olgi, która wciąż mieszkała z rodzicami w domu nad morzem. W jej życiu padał śnieg, świeciło słońce, wypogadzało się – zadziwiające, jak szybko mijał czas, kiedy mieszkała z Andrzejem. Codziennie czuła się dziwnie szczęśliwa i jednocześnie skrajnie przerażona, miała wrażenie, jakby przechodziła ze słonecznej strony ulicy na tę zacienioną.

Dobiegł ją płacz Masia, przypominający zawodzenie wiatru. Donka przebiegła korytarzem, nadal grubsza po porodzie, z twarzą zmęczoną do granic możliwości, a mimo to emanującą szczęściem i energią.

– Masio! – zawołała. Za nią pognały koleżanki, starsze dziewczynki i małe dzieci trzymające się spódnic matek. – Słyszycie, jakie ma silne płuca? Potrafi mnie obudzić z najgłębszego snu!

– Watrakowa odnalazła tamto dziecko – usłyszała głos jednej z kobiet w pokoju po lewej stronie. – Pamiętacie tę historię?

Znieruchomiała. Wciągnęła powietrze nosem. Miała wrażenie, że poczuła dawno zapomniany zapach. Delikatna woń perfum wypełniała pokoje. Sylwia bezwiednie ruszyła do rozchylonych drzwi. Zajrzała do środka. Zobaczyła kilka Romek stojących w kręgu. Kobiety były pochłonięte rozmową.

Aza…

Pomyślała, że to dziwne, iż pamięta tamto imię, wymienione ledwie kilka razy w przeszłości, nieprawdziwe i na pewno zmienione, a nie potrafi sobie przypomnieć imion i nazwisk koleżanek i kolegów, z którymi studiowała psychologię.

Romka z pofarbowanymi na jasno włosami upiła właśnie herbatę z filiżanki i dodała:

– Okazało się, że dziewczynka jest laureatką międzyszkolnej olimpiady z matematyki. Ktoś ją wskazał Watrakowej i powiedział, że to właśnie to dziecko, które znalazła porzucone dawno temu. Wzięła ją do siebie jakaś polska rodzina, teraz to już duża dziewczyna i proszę, wygrała olimpiadę!

Temat się urwał, a Sylwia uświadomiła sobie, że nie wytrzyma dłużej na przyjęciu. Drzwi zamknęły się za nią cicho, kiedy zbiegła klatką schodową, ściskając w kieszeni klucz do mieszkania.

Aza miała już szesnaście lat.

Oczywiście nazywała się zupełnie inaczej, nosiła nazwisko adopcyjnych rodziców i polskie imię. Kiedy Sylwia znalazła w internecie artykuł o olimpiadzie i popatrzyła na imię i nazwisko laureatki, nie musiała nawet zapisywać tych danych – natychmiast wryły się jej w pamięć i wiedziała, że nigdy ich nie zapomni.

Andrzej wrócił późnym wieczorem, wszedł do sypialni i popatrzył na Sylwię tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Dzwoniłem do ciebie. Myślałem, że coś się stało Kaszmir albo… Sam nie wiem. Dlaczego nie odebrałaś mojego telefonu?

Pospiesznie wyłączyła komputer.

– Coś się stało z Kaszmir? Dlaczego wyszłaś z przyjęcia? – Stał tuż przy częściowo pomalowanej na żółto ścianie, której Sylwia nie dokończyła odświeżać. Teraz, jakby łącząc nitki wszystkich dziwnych zachowań swojej dziewczyny, zapatrzył się w zaschnięty wałek malarski. Spojrzał na odchylone wieczko wiaderka; farba pewnie już dawno wyschła. – Co się z tobą dzieje? – powtórzył z nagłym zakłopotaniem.

Sylwia podniosła się z krzesła. Widziała konsternację Andrzeja, domyślała się, że mężczyzna nie wie, co myśleć. Dorosła Sylwia była skomplikowana, skryta, Andrzej nigdy nie miał pewności, czego chciała.

– Tak nie może być – powiedział z nagłą złością. – Zrobiłaś ze mnie idiotę na przyjęciu! Wszyscy cię szukali!

Oboje jednocześnie spojrzeli na ekran komputera.

– Czego mi nie mówisz? – Andrzej się zdenerwował. – Przecież widzę, że coś się z tobą dzieje.

Sylwia odruchowo zasłoniła monitor plecami, chociaż ekran wygasł.

– Nie inwigiluj mnie! – powiedziała ostro.

– Myślisz, że to robię? – Mężczyzna patrzył na nią coraz bardziej zbity z tropu. – To ty wyszłaś z przyjęcia, nic mi…

– Nie muszę ci się spowiadać!

– No proszę, może ja też przestanę ci mówić o swoich planach.

Było jej go żal, wiedziała, że powinna zaprzestać kłótni. Ale kłótnia była lepsza niż rozmowa o jej uczuciach, dlatego Sylwia przeszła koło Andrzeja i skręciła do kuchni.

– Czemu chcesz to zepsuć? – zapytał po chwili Andrzej, wchodząc tam za nią.

Czuła pokusę odpowiedzenia mu, wyjaśnienia, że to tylko chwilowe i że musi dać jej czas. Kiedy jednak rozchyliła usta, okazało się, że nie ma nic do powiedzenia. Chwilę później Andrzej wrócił do sypialni, zostawiając ją w kuchni samą.

Z Gdańska skręci na obwodnicę Trójmiasta, a potem dalej, aż do rozwidlenia, z którego jedna droga prowadzi do Pruszcza Gdańskiego, a druga na Warszawę. Najpierw minie miasta, ciągnące się kilometrami osiedla mieszkaniowe, pomiędzy którymi, wśród pól, wyrosły gdzieniegdzie gospodarstwa. Potem będą miasta i miasteczka; wszystko oglądane przez okna samochodu, który pożyczyła jej Kaszmir, wcześniej dwa razy powtarzając, że jeśli coś się stanie, to Sylwia i Andrzej będą płacić, a ona nie wyłoży nawet złotówki.

Potem zobaczy jezioro: niewielkie, błyszczące w słońcu po lewej stronie ulicy, przyciągające wzrok, jak z bajkowej pocztówki. Skręci na północny wschód. Widoki będą tam zupełnie inne: po obu stronach drogi zobaczy lasy, nakrapiane pnie brzóz, o tej porze jeszcze tonące w porannej mgle, która zeszła po zboczach. Na murze ciągnącym się przez kilkaset metrów będzie widać graffiti wykonane niewprawnymi rękami dzieci: rysunki przedstawiające inwazję kosmitów, napisy „HWDP" oraz nazwy lokalnych klubów piłkarskich.

Na przydrożnej stacji benzynowej Sylwia złamała się i kupiła kawę w papierowym kubku, do której wsypała tak dużo cukru, że jego posmak pozostał jej w ustach długo po tym, jak przełknęła ostatni łyk.

Wyjrzało słońce. Włączyła radio. Akurat The Puppini Sisters śpiewały *Mr. Sandman*.

– Gdzie jesteś, Sylwio? – zapytał Andrzej, gdy odebrała od niego telefon.

– Wybrałam się do Olgi. – Kłamstwo przeszło gładko. Popatrzyła na drogę, wycieraczki zbierały kurz z przedniej szyby.

– W takim razie pozdrów ją ode mnie. – W jego głosie słyszała napięcie, ale też ulgę. Już jej wybaczył.

– Tak zrobię.

Miasto, w którym mieszkała Aza, powitało ją krzykiem mew i straganami rozciągniętymi wzdłuż głównej ulicy. Kiedy zatrzymała samochód i wysiadła, w powietrzu wisiał zaduch, a upał oblepił budynki, chodniki i ludzi, wypędzając ich w cień.

Wachlując się dłonią, próbowała dociec, gdzie znajduje się ulica, której szuka.

– Przepraszam, szukam tego miejsca. – Pokazała mapę mężczyźnie sprzedającemu na straganie muszle i inne podróbki wyglądające tak, jakby wyłowiono je z dna oceanu.

– To tam. – Wskazał północ. – Jedna z ostatnich ulic przy plaży.

Dalszą drogę przebyła na piechotę. Cień wyprzedził jej chude nogi i wyciągnął się na niemal dwa metry. Po drodze kupiła paczkę papierosów, jednego od razu wsunęła do ust. Pokryte szminką wargi lepiły się w upale, zapalniczka błysnęła ogniem.

Nazwy Nabrzeżna, Plażowa, Letnia kierowały ją coraz bliżej potężnej białej plaży, którą Sylwia dostrzegła pomiędzy budynkami. W jakimś momencie drzewa się rozstąpiły i odsłoniły domy stojące na samym skraju zbocza; trawniki schodziły stromo do drogi prowadzącej wzdłuż brzegu morza. Zwolniła kroku.

„Laureatka olimpiady matematycznej mieszka wraz z rodziną w uroczym domu na przedmieściach miasta”, przeczytała wcześniej podpis pod zdjęciem budynku.

A teraz miała go przed oczami. Wyglądał jak z amerykańskiego filmu o średnio zamożnych ludziach: prosta symetria, skośny czerwony dach, wsparty nad gankiem na dwóch kolumnach.

Postawny mężczyzna w koszuli w hawajski wzór akurat kosił trawnik. Kiedy Sylwia zbliżyła się do płotu, przelotnie na nią popatrzył, po czym wrócił do swojego zajęcia.

– Kończ już! – Ze środka domu dobiegł kobiecy głos.

Sylwia zatrzymała się z papierosem w palcach, czując, jak słońce wypala skórę na jej nogach w dżinsowych krótkich spodniach.

Zobaczyła matkę Azy: kobieta wyniosła tacę z napojami i położyła ją na przenośnym turystycznym stoliku w ogrodzie. Sylwię pochłonął czar tej osoby: szczupłej, średniego wzrostu, w okularach przeciwsłonecznych w stylu lat sześćdziesiątych i w kwiecistym pareo przewiązanym wokół bioder.

Sylwia nie mogła stać przy ogrodzeniu, przeszła więc na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się niewielki nasłoneczniony plac zabaw. Ławki były tak gorące, że zdecydowała się usiąść na huśtawce.

Rodzina Azy przygotowywała się do grillowania. Matka nacinała kiełbaski, trzymając je przez gumowe rękawice, a ojciec odstawił kosiarkę do szopy i zajął się rozpalaniem grilla.

Sylwia czekała, co chwilę przenosząc wzrok na drogę prowadzącą z plaży, ale Aza nie nadchodziła.

– Cześć – powiedziała przez telefon, grzebiąc czubkiem sandała w piasku. – Posłuchaj, chyba zostanę u Olgi na noc…

Andrzej, jakiego pamiętała z dzieciństwa, powinien był teraz zacząć myśleć. Tamten Andrzej powiedziałby: „Zmyślasz. Nie jesteś u żadnej Olgi i nie rób ze mnie idioty!”. Ale Andrzej, z którym mieszkała, ufał jej, mimo wszystko.

– Na pewno nie chcesz, żebym po ciebie przyjechał? – zapytał. – Mogę być około północy, pewnie nie będę się kładł spać wcześniej.

Spod piasku wygrzebała kawałek szkła nałożony na coś kolorowego. Schyliła się. To skarb zakopany tu przez jakieś dziecko.

– Postaram się być zaraz po śniadaniu – obiecała, teraz już nieuważnie, pochłonięta tajemnicą, którą skrywało szkiełko.

– Okej. W razie czego dzwoń.

Pod szkłem w piasku leżał już zgniły płatek róży, a pod nim kawałek kartki złożony na tak wiele części, że miał wielkość jednego centymetra. Sylwia strzepnęła ziemię, rozprostowała papier i zobaczyła krzywe dziecięce pismo. „A kto tu zagląda, ten tak wygląda!”, głosił napis. Poniżej widniał rysunek potwora z wielkimi kłami.

– Hej! – powiedziała Sylwia na widok Azy, która rozchyliła powieki i wysunęła słuchawkę z ucha. – Masz zapalniczkę?

Aza sięgnęła do kieszeni ciasnej krótkiej spódnicy z żółtego materiału.

– Powinnam mieć. Moment.

Już nie miała niebieskich oczu jak we wczesnym dzieciństwie, co Sylwia zauważyła od razu. Błękit spłowiał, zmieniając się w zielonkawą szarość. Aza podsunęła zapalniczkę. Jej nadgarstek pachniał truskawkowymi dziewczęcymi perfumami. Kiedy błysnął ogień, spojrzały sobie w oczy.

– Skądś cię znam – odezwała się Sylwia po tym, jak wydmuchała dym w stronę nieba.

Aza uśmiechnęła się i zaczęła zwijać na palcu kosmyk włosów.

– Nie z gazety? – Sylwia brnęła dalej, znowu zaciągając się papierosem. – Ależ tak, czytałam o tobie artykuł. To ty?

Uśmiech się rozszerzył, ale Aza pochyliła głowę, jakby zrobiło się jej wstyd.

– Chyba tak. Chyba o mnie. – Z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

– Laureatka olimpiady. – Sylwia nie spuszczała z niej oczu. – No proszę!

Wieczór kładł się cieniami na trawie, głośno cykały świerszcze, a w powietrzu słychać było świst komarów. Sylwia usiadła obok Azy na ławce, wciąż jeszcze ciepłej po słonecznym dniu. Wyciągnęła nogi obok długich nóg dziewczyny, zapatrzyła się na jej białe tenisówki.

Ćma, lecąc tak nieporadnie, jakby zaraz miała spaść, przecięła przestrzeń nad żywopłotem dzielącym chodnik od domu rodziców Azy. Grillowanie zdążyło się przerodzić w małe przyjęcie: goście przynieśli salaterki z sałatkami, ciasto i ciastka, tak że na niewielkim turystycznym stoliku brakowało już miejsca. Matka Azy przebrała się z letniego pareo w ciemnoniebieską sukienkę w stylu Audrey Hepburn, zapinaną na plecach na zamek. Światło księżyca kołysało się na skórze jej gołych ramion i zgrabnych nóg. Zebrała włosy w kok, przez co nabrała wdzięku i elegancji Francuzki.

– Co pani tu robi? – Cichy, ciepły głos Azy sprawił, że Sylwia oderwała spojrzenie od jej matki.

Oczy dziewczyny błyszczały w ciemności, tak samo jak usta pociągnięte błyszczykiem. Teraz, z bliska, pachniała plażą, słońcem, słoną wodą i opalenizną.

– Jestem przejazdem. Szukałam kogoś.

– Letniczka. Moja mama czasem też wynajmuje pokoje.

Sylwia przełożyła papierosa do drugiej ręki.

– To twój dom?

– Uhm.

– Fantastyczny. – Spojrzenie Sylwii znowu cofnęło się za żywopłot, ale szybko wróciło do Azy. – Nie lubisz rodzinnych imprez? Dlaczego się tutaj chowasz, zamiast być z rodziną?

Aza zagryzła usta.

– Nie chowam się. Po prostu…

Skrzyżowała nogi i zaraz znowu je rozprostowała.

– Po prostu… Nie, chyba nie lubię takich przyjęć.

Wyglądało na to, że uznała rozmowę za skończoną, bo sięgnęła po słuchawkę. Sylwia jeszcze przez chwilę na nią patrzyła: wodziła wzrokiem po wydatnych kościach policzkowych, jej dużych, mocno zarysowanych ustach. Spuściła wzrok na dłonie dziewczyny. Przypomniała sobie, jak Andrzej wsunął palec do ręki niemowlaka leżącego na kolanach Watrakowej. Przypomniała sobie, jak Watrakowa podniosła Azę, jak kołysała ją na rękach, nosiła w chuście.

– Czego słuchasz? – zapytała, wstając.

– Coldplay. – Aza już umieściła słuchawkę w uchu.

Kiedy zatrzymała się na parkingu przed kamienicą w Gdańsku, był środek nocy. Wyłączyła silnik i chwilę siedziała z dłońmi na kierownicy, zapatrzona w szybę. Musiało dojść do awarii, bo na ulicy nie paliła się ani jedna latarnia, ale za to niebo wydawało się aż gęste od gwiazd. Sylwia odchyliła głowę na oparcie fotela, zapatrzyła się w potężny okrąg księżyca

wiszący nisko nad miastem.

Mieszkanie ogarniała cisza. Andrzej spał, gdy zsuwała z nóg buty w przedpokoju.

Jego ciało wydało się rozespane, gorące. Wsunęła ręce pod koszulkę, oparła stopy o jego stopy. Dwa równoległe wymiary: teraz i wtedy. Pomyślała, że pewne historie nigdy się nie kończą.

24

Gdańsk Wrzeszcz, 2005 rok

Zarodek miał już kulisty zawiązek głowy, ale wciąż przypominał szarawą przeźroczystą galaretę. Sylwia próbowała sobie wyobrazić, jak powoli kształtuje się układ nerwowy dziecka. Jak zaczyna się od płytki, a potem brzegi rynnowatej szczeliny powoli się do siebie zbliżają, tworząc cewkę nerwową, z której wykształci się rdzeń kręgowy i mózg.

Od kilku dni czuła łaskotanie w piersiach, a gdy odchyliła stanik, tuż pod skórą zauważyła cienkie niebieskie żyłki. „Więc tak to jest, gdy zostaje się matką", pomyślała oszołomiona. Takie to proste, ciało bez trudu odnajduje się w nowej sytuacji. Ale co z mózgiem?

Obróciła w palcach test ciążowy. Andrzej był w pokoju. Powinna wybiec z łazienki i mu pokazać. Przez chwilę to rozważała, już prawie widziała tę scenę: radość w jego oczach, ogarniający ją spokój, poczucie bezpieczeństwa i pewność, że wszystko dzieje się tak, jak powinno.

Usiadła na wannie. Przesunęła rękami po brzuchu. Dziecko. Będzie matką. Miała wrażenie, jakby jej ciało zamarzło.

Test schowała do szuflady i przykryła kosmetykami.

Podczas badania USG pierwszy raz usłyszała bicie serca dziecka. Czujnie wpatrywała się w monitor – płód przypominał fasolę. Serce uderzało sześćdziesiąt pięć razy na minutę, na monitorze mogła obserwować pulsowanie. Dziecko miało dużą głowę i mały tułów, lekarz wyjaśnił, że ze zgrubień, które widziała, wykształcą się ramiona oraz nogi.

– Musimy zrobić morfologię – stwierdził, wypisując skierowanie na badania. – Nie powinna pani zapominać o sobie. Ma pani nudności albo wymiotuje pani?

– Tylko zawroty głowy i ciągle czuję się zmęczona. – Sylwia spuściła nogi na podłogę. Z niepokojem zmarszczyła brwi. – Czy wszystko jest w porządku?

– To normalne. Organizm wkłada całą energię w budowanie nowego życia. Teraz zaczynają się zawiązywać wszystkie najważniejsze narządy, więc sprawmy, by odbywało się to bez zakłóceń. Powinna pani jak najmniej się denerwować, absolutnie odrzucić tytoń, alkohol i leki.

Pokręciła głową.

– Już nie palę.

– Fantastycznie. Proszę się więc teraz relaksować i cieszyć swoim stanem.

Koniec z kawą i papierosami. Wszystko, co niezdrowe dla dziecka, wyrzuciła do śmietnika. Czuła się oszołomiona. Hormony, przypomniała sobie. Huśtawka nastrojów – to dlatego od kilku dni życie wydawało się jej czarne albo białe, bez jakiejkolwiek szarości.

Od kilku dni miała też wrażenie, że wszystko zmierza do jakiegoś końca. Historia zatoczyła koło. Odnalazła Azę. Sama miała być matką.

To, co nieuniknione, nadchodziło wielkimi krokami. W strugach deszczu, którymi został zalany Gdańsk, stanęła przed furtką pogotowia opiekuńczego, gdzie tego dnia miała rozpocząć praktyki. Deszcz potokami spływał do kanałów, rozchlapywał się na metalowym ogrodzeniu i głośno pluskał w rynnach. Ośrodek czekał, obolały od złych wspomnień.

– Długo pani tak stoi? – rozległ się kobiecy głos za jej plecami, a kiedy się odwróciła, zobaczyła pulchną szatynkę ukrytą pod parasolką, z pękiem kluczy w ręce. – Nie otworzyli pani? Domofon nie działa? – Zgrzytnął zamek, gdy kobieta przekręciła klucz. – Odwiedziny są dopiero od piętnastej.

– Mam tu rozpocząć praktyki. – Spojrzenie Sylwii trafiło na bladą twarz w oknie na pierwszym piętrze budynku.

Wysoki nastolatek z włosami zaplecionymi w warkocz obserwował ją zza szyby.

– Ach, pani psycholog! – Kobieta natychmiast wyciągnęła rękę do Sylwii i uścisnęła ją mocno. – Jestem Matylda. Będę opiekunką pani praktyk.

– A mówi się, że na psychologię idą osoby, które mają problemy same ze sobą. – Matylda się roześmiała.

Na kaloryferze w pokoju dla wychowawców suszyła się kurtka Sylwii. Pracownicy pili właśnie kawę z dużych kubków.

– Dlaczego wybrałaś na praktyki akurat to miejsce? – Matylda chciała wiedzieć o Sylwii wszystko, jej pytania jednak najczęściej napotykały opór.

Sylwia zamiast w nią wpatrywała się w rysunki podopiecznych powieszone na ścianach. Na jej twarzy malował się trochę nieobecny uśmiech, a gdy Matylda spojrzała na dłonie dziewczyny, zauważyła, że palce poruszają się nerwowo, skubiąc skórkę przy paznokciu.

– No dobrze, bierzemy się do pracy. – Klepnęła się po kolanach i wstała.

Sylwia poderwała się w ślad za nią.

– Chcę zobaczyć swoje dziecko! – krzyczała chuda kobieta w drzwiach ośrodka, podczas gdy ochroniarz próbował powstrzymać ją przed wejściem do środka.

– Sąd nie udzielił pani zgody!

– Nie macie prawa zabronić mi rozmawiać z dzieckiem! – Wrzaski rozbijały się o ściany, a wraz z nimi nagromadzone ból i gniew. – Jestem matką! Jestem matką, do kurwy nędzy!

– Regularnie go biła. W toku jest sprawa o odebranie jej praw rodzicielskich – usłyszała Sylwia od Matyldy jeszcze tego samego dnia. – Dziecko przeleżało dwa tygodnie w szpitalu, zanim trafiło do nas.

W kolejnych dniach takich kobiet poznała więcej. Chuda brunetka, która przychodziła w odwiedziny do swojej pięcioletniej córki i starannie czesała jej włosy w warkocze albo nieustająco poprawiała spinki, jakiś czas wcześniej zostawiła dziewczynkę samą w mieszkaniu na cztery dni. Bez jedzenia. W sądzie toczyło się postępowanie przeciwko niej.

– Chłopak – opowiadała Matylda, wskazując nastolatka z warkoczem, którego Sylwia widziała pierwszego dnia w oknie. – Wygląda jak anioł, prawda? Nie daj się zwieść. Niedługo na pewno spróbuje uciec. Robi to za każdym razem. To prawdziwy wilk w owczej skórze, łamie wszystkie nakazy i zakazy, jakie tu obowiązują. Daj mu jeszcze dwie doby, a zobaczysz, co z niego wyjdzie!

Rozpoznała nastoletnie prostytutki. Jedna z dziewczynek przypominała Sylwii ją samą sprzed lat z powodu chłopięcej figury, bez wyraźnie zaokrąglonych bioder i piersi, oraz jasnych włosów. Kiedy Sylwia patrzyła na nią przez szklane drzwi recepcji, dziewczynka, jakby tknięta przeczuciem, podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Powieki miała aż ciężkie od nałożonego na rzęsy tuszu. Paznokcie trzymanej przy ustach dłoni były pomalowane na czarno.

– Policja znalazła ją na ulicy, prawdopodobnie przebywała tam od kilku tygodni, ale w domu nie zauważono jej nieobecności – relacjonowała Matylda ściszonym głosem. – Teraz trzeba ustalić, co się stało. Nie jest to normalna sytuacja, gdy rodzice nie zauważają braku dziecka w domu. Może chodzi o narkotyki, a może w domu jest przemoc i dziewczynka uciekła, żeby się schronić przed rodzicami.

W placówce przebywały też dzieci z opóźnieniem rozwoju. Sylwia, przeglądając ich dokumentację, najczęściej napotykała powtarzającą się informację, że posiadają oboje rodziców, a w ośrodku przebywają dlatego, że rodzice nie chcą się nimi zajmować.

Do placówki trafiały również chore dzieci. Dźwięki kasłania rozchodziły się po holu i pokojach. Buzie miały zaczerwienione od gorączki, senne oczy. Na pytanie, czy rodzice byli z nimi u lekarza, odpowiadały przecząco.

– Często nie mają pieniędzy – tłumaczyła Matylda, która każdą sytuację starała się analizować z różnych stron. – Leki na astmę sporo kosztują, a rodzice tej małej mają oprócz niej jeszcze siódemkę dzieci. Jak sobie wyobrażasz wykupienie recept, jeśli matka nie pracuje, ojciec dostał wypowiedzenie i jeszcze wiszą nad nimi jakieś kredyty?

Na oddziale najmłodszych dzieci Sylwia widywała maluchy, które na widok jej albo innej dorosłej osoby osłaniały rękami głowę i się kuliły. Jąkały się, nie potrafiły poprawnie odpowiedzieć na żadne pytanie. Te dzieci podobno były bite w domach, kontakt z dorosłymi był dla nich jednoznaczny z bólem.

Były też dzieci, które ściągano z ulic: trafiały tu brudne, w niezmienianych od wielu dni ubraniach, pełne buntu i złości.

Wieczorem, leżąc w łóżku obok Andrzeja, czuła, jakby przyniosła z pracy ciężar, który nie chciał zniknąć. Był tak duży, że niemal nie do udźwignięcia.

– Chłopak pobił dzisiaj kolegę z pokoju – odezwała się, a Andrzej, który akurat przeglądał gazetę, złożył ją i popatrzył na Sylwię, zsuwając z oczu okulary krótkowidza noszone od kilku dni. – Wrócił z przepustki podpity, w pokoju zaczął okładać dzieciaka pięściami.

Sylwia wciąż miała przed oczami tamtą scenę – Matylda się nie myliła: nastolatek z warkoczem wreszcie zdjął maskę spokojnego chłopca, głuchego i ślepego na wszystko. Jeszcze odnajdowała pod powiekami jego czerwoną z gniewu twarz, przypominała sobie rozkudłane kosmyki włosów, zaciśnięte pięści, gniewnie wykrzywione usta i wychowawcę, który próbował oddzielić go od młodszego kolegi skulonego na podłodze. I oczy, oczy, w których nie dostrzegała niczego poza nienawiścią.

– Co z nim zrobicie? – Andrzej odłożył gazetę na bok. – Odpowie za to? Umieściliście go w izolatce?

– To nie takie proste – odparła Sylwia. – Pomyśl, co musiał przeżyć w rodzinnym domu, skoro jest taki – odpowiedziała po chwili. – Agresja u dzieci nie bierze się znikąd. Musiał widzieć przemoc, skoro teraz ją stosuje.

Podczas badania USG okazało się, że w jej brzuchu jest więcej płynu owodniowego i dziecko może trenować mięśnie. Podobno teraz dużo się poruszało, miało też odruch ssania. Jego układ nerwowy rozwijał się w niesamowitym tempie.

– Zaledwie w ciągu minuty przybywa dwieście pięćdziesiąt tysięcy nowych komórek nerwowych – poinformował lekarz, a Sylwia roześmiała się z niedowierzaniem.

– Słyszy pani, jak szybko bije mu serce? Prawdziwy cud.

Późnym popołudniem wspięli się z Andrzejem na klif. Po ostatnim deszczu na ziemi utworzyły się rzeki błota. Las w szarym świetle wydawał się nagi i wilgotny, ziemia rozmiękła, kozaki Sylwii tonęły aż po kostki.

– Rzuć tę robotę – odezwał się Andrzej, przystając. – Założymy rodzinę i zaczniemy normalnie żyć.

Sylwia złapała się jego ręki. Jeszcze kilka metrów i będą na szczycie klifu. Przed sobą mieli szeroką rozpadlinę – ziemia osunęła się w taki sposób, że na wierzch wyszły korzenie drzew i warstwy gleby ułożone niczym na rysunku w podręczniku do geografii.

Przekroczyła rozpadlinę, przytrzymując się Andrzeja. Kiedy ruszyła w górę udeptaną ścieżką, w prześwitach między drzewami widziała już kawałek nieba i morze. Teraz mogła mu powiedzieć, to był właściwy czas. Poczuła złość na siebie, gdy zamiast właściwych słów, zrobiła unik:

– Dla mnie to jest normalne życie, Andrzeju.

W ośrodku dziewczynka, którą przyjęto z interwencji policyjnej, krzyczała jak opętana, gdy pielęgniarka próbowała ją umyć.

– Prawdopodobnie rodzice w ogóle nie dbali o jej higienę, jeśli nie liczyć buzi i rąk, czyli tego, co mogliby dostrzec nauczyciele w szkole. Dawno nie widziałam tak zapuszczonego dziecka – stwierdziła druga pielęgniarka, ostrożnie odkładając na bok ubrania, które zdjęła z dziewczynki. – Dam sobie głowę uciąć, że ma wszy.

Czteroletni chłopiec trafił na oddział najmłodszych dzieci kilka minut po szesnastej, akurat kiedy Sylwia zbierała się do domu. Zakładała płaszcz, gdy zobaczyła dziecko prowadzone przez policjanta.

– Co się stało? – zapytała, ale nawet Matylda nie miała jeszcze dokładnych informacji.

– Wiem tylko, że znaleziono go w pociągu. Dzwonili do nas, że przyjadą. Na komisariacie ustalili, że ktoś go w tym pociągu zostawił specjalnie.

– Popierdoleni rodzice – powiedział szeptem wychowawca grupy chłopców, który też wyszedł na korytarz.

– W pociągu? – podchwyciła Sylwia.

Coś się działo, ale tylko w niej. Stała jak wryta, ręce jej zdrętwiały i nagle, bez żadnego przygotowania, przestała widzieć świat po prawej stronie. Jakby w ścianie zrobiła się wyrwa. Teraz był tam klin. A w nim tylko ciemność.

W sobotę Stefan brał ślub. Sylwia już rano zjawiła się w salonie fryzjerskim, gdzie koleżanka Kaszmir nakryła ją czarną peleryną i rozczesała jej włosy.

– Ale urosły – stwierdziła. – Co mam robić? I powiedz, co u twojej mamy.

Sylwia bywała u Kaszmir regularnie na niedzielnych obiadach, ale nie potrafiła ocenić, co dokładnie dzieje się w życiu matki. Kaszmir miała jakiegoś mężczyznę, przychodził do niej w odwiedziny, czasem zostawał na noc. Sylwii wydał się przeciętny, nieinteresujący. Poza tym matka coraz częściej mówiła o wyjeździe do Anglii, gdzie – jak twierdziła – było łatwiej zarobić pieniądze i przede wszystkim znaleźć pracę dla kosmetyczki. Od jakiegoś czasu miała problemy z kolanami, szczególnie przy wstawaniu musiała się przytrzymywać mebli. Twierdziła, że powodem jest jej tusza, i praktycznie co miesiąc próbowała przejść na nową dietę, która jednak odchodziła w zapomnienie po kilku dniach.

Czy brała narkotyki? Sylwia widywała ją podekscytowaną tak bardzo, jakby podłączyła się

do zasilacza, który pompował w jej ciało energię. Niemniej Kaszmir trzymała się wersji, że jest czysta.

Do salonu wleciał motyl.

– O rany, patrz! – Fryzjerka odłożyła nożyczki.

– Pawie oczko – odparła Sylwia, wstając z fotela.

Motyl odpoczywał, delikatnie poruszając skrzydłami. Miał piękne brązowoczerwone ubarwienie i duże wielokolorowe plamki.

Taki sam motyl usiadł dawno temu koło niej na barierce bulwaru. Wtedy nie umiała go nazwać, wydawał się jej potężny.

Dla smutku czas nie istniał. Sylwia kolejny raz czuła, jakby zagłębiała się w mulistą zimną wodę. To dziwne, ale im głębiej w nią wchodziła, tym stawało się bardziej oczywiste, że potrafi w niej oddychać. Miała dwadzieścia cztery lata i dzielił ją tylko krok od powiedzenia na głos tego, co w głębi duszy wiedziała na temat spaceru z biologiczną matką. I tego, co wydarzyło się wcześniej.

Ściskała w dłoniach wiązankę kwiatów. Wybrała takie, które miały być dla Stefana dobrą wróżbą i jednocześnie podziękowaniem za wszystko, co dla niej zrobił – białe róże.

Bliskich Stefana rozpoznała bez trudu: wysoki blondyn w szarym garniturze to jego ojciec. Kilka lat wcześniej przeszedł udar – Stefan bardzo to przeżywał, każdą wolną chwilę spędzał w szpitalu z rodzicami. Pomagał też matce, gdy ojciec wrócił do domu, a skutki udaru dopiero ustępowały. Teraz po tamtych wydarzeniach został tylko drobny ślad: opadający kącik ust. Niska, drobna kobieta o twarzy naznaczonej piegami to matka Stefana. Sylwia właśnie tak sobie ją wyobrażała: jako delikatną, uczuciową osobę, która na ślubie syna będzie miała nieustannie mokre od łez oczy. Spoglądając na nią, czuła wdzięczność. Gdyby nie ona, Stefan nie byłby taki, jakiego go poznała. Wychował się w tej samej kamienicy co Kaszmir. Miał podobne doświadczenia. Mógł być taki jak ona. Wszystko mogło się potoczyć inaczej.

Narzeczoną Stefana widziała już wcześniej na zdjęciach, ale dopiero teraz miała okazję przyjrzeć się jej uważnie. Kobieta w wieku Stefana, niska, jasnowłosa, sprawiała wrażenie tak kruchej, jakby najlżejszy podmuch wiatru mógł ją porwać na części. Kiedy szła przez kościół, nerwowo spoglądała pod nogi, żeby się nie potknąć.

I wreszcie Stefan. Stefan w garniturze, który do niego nie pasował, chociaż leżał idealnie. Dostrzegł Sylwię i uśmiechnął się do niej jednym z tych uśmiechów, którymi wymieniali się od czasów jej dzieciństwa, a który oznaczał: „O rany! Spodziewałabyś się tego?”.

– Życzę wam szczęścia – powiedziała, wkładając kwiaty w ręce panny młodej.

Ciepły wiatr rozwiewał welon kobiety.

– Dziękuję.

Sylwia patrzyła na nią jeszcze przez chwilę. Chciała być na jej miejscu; i nie chodziło o Stefana, ale o ślub, który dawał kobiecie tak duże poczucie bezpieczeństwa.

– Wszystkiego dobrego – zwróciła się do Stefana.

Przytrzymał ją przy sobie dłużej, niż wypadało.

– Do zobaczenia w klubie! – powiedział, w końcu wypuszczając ją z ramion.

Miała wrażenie, jakby założyła plaster na niezagojoną ranę, której brzegi ciągle były mokre, a plaster ochraniał ją tylko częściowo. Obserwowała u siebie wszystkie objawy szoku, jak po przedawkowaniu Kaszmir, gdy Sylwia miała dwanaście lat. Od tamtej pory nic się nie

zmieniło: w chwili strachu nie mogła się rozgrzać, wydawało się jej, że targa nią wiatr.

Stefan stał przed klubem i palił papierosa, kiedy do niego podeszła.

– Popatrz. – Podała mu czarno-białe niewyraźne zdjęcia. – Ma teraz osiem tygodni.

Odwrócił zdjęcia do światła.

– Bije mu serce. – Sylwia palcem pokazała miejsce, gdzie na monitorze widziała pulsujący narząd. Wyjaśniła, gdzie znajduje się głowa, a gdzie tułów.

Zawahała się. „Nie dam sobie rady", pomyślała w końcu, czując, że tak wygląda naga, ohydna prawda. Nie potrafi się zająć tym dzieckiem. Wcześniej myślała, że sobie poradzi, ale teraz była pewna, że nie. Nie miała pojęcia, od czego powinna zacząć normalne życie rodzinne.

– Co ty robisz? – Andrzej przyłapał ją w drzwiach, kiedy z wypchanym plecakiem wkładała buty.

Jej pobielała ze strachu, pełna winy twarz od razu wyjaśniła mu wszystko.

– Chciałaś odejść w ten sposób?

Sylwia pochyliła głowę. Nie miała niczego na swoje usprawiedliwienie. Nie zrozumiałby przecież, gdyby powiedziała, że potrzebuje sama uporać się ze sobą. Czuła na sobie spojrzenie Andrzeja, jego wzrok niemal miażdżył.

– To paranoja – wyszeptał.

Przemknęła koło niego i zbiegła po schodach na zewnątrz. Dziecko miało już osiem tygodni, jego płuca przypominały rozgałęziony balonik, a żebra były cienkie jak nitki. Wykształciło się już ucho wewnętrzne i od teraz słyszało głos Sylwii. Ale ona przestała do niego mówić.

25

Współcześnie

W Polsce żyje kilkadziesiąt kobiet nazywających się Monika Stefaniak, ale na Wybrzeżu jest ich trochę mniej. Oczywiście nie mam pewności, czy biologiczna matka Sylwii wciąż mieszka w Trójmieście, lecz intuicja podpowiada mi, bym szukała właśnie tutaj i w okolicach.

Przeglądam profile kobiet na portalach społecznościowych, podczas gdy autobus zbliża się do szpitala. Odrzucam te, które wydają mi się zbyt młode albo zbyt dojrzałe. Zapamiętuję blondynkę mieszkającą w Gdyni na ulicy Portowej, pracującą jako kelnerka w barze, oraz brunetkę z Sopotu, matkę chłopca o imieniu Darek, zatrudnioną w biurze rachunkowym. Długo się waham co do kobiety, która nie zamieściła żadnego zdjęcia, jej profil jest widoczny tylko dla znajomych, a jedyna informacja na jej temat brzmi „właściciel firmy".

„Potrzebuję twojej pomocy. Proszę", piszę SMS do brata. Wyjaśniam, że w 1985 roku rozpoczął się proces kobiety, która porzuciła dziecko. Podaję wszystkie dane, jakie udało mi się zgromadzić, i pytam Adama, czy może ją dla mnie odnaleźć. SMS-a posyłam w świat i czuję się winna, ponieważ gdy mój brat został policjantem, a ja pracowałam już jako dziennikarka, wymusił na mnie obietnicę, że nie będę robić z niego informatora.

– Co się dzieje? – pyta zaniepokojona Sylwia, kiedy pomagam jej się przesiąść na wózek.

Za oknem dopiero kończy się noc, w szpitalu pacjenci jeszcze drzemią, pod sufitem rzędami palą się jarzeniówki.

– Nie jedziemy daleko.

– Więc po co ten płaszcz?

Zarzucam go Sylwii na ramiona, na jej głowę wsuwam czapkę i uśmiecham się, gdy futrzane uszy spadają na policzki kobiety.

– Jeszcze szalik. – Wiążę go na jej szyi, dbając, by zakryć każdy nagi fragment skóry.

Pielęgniarkom nie spodoba się, gdy odkryją, że zabrałam Sylwię z oddziału; na szczęście w dyżurce nikogo nie zauważam.

Docieramy do końca korytarza, popycham drzwi z napisem „Przejścia nie ma" i wychodzimy na długi, ciemny taras, który schodzi do parku. Tak tu głośno, jakbyśmy nagle znalazły się w centrum miasta. Wreszcie po dniach spędzonych w szpitalu Sylwia słyszy szum samochodów, krakanie wron i czuje mroźne powietrze. Wciąga je głęboko, widzę, jaka jest zdumiona mnogością zapachów niezwiązanych ze szpitalem, wrażeniem, że gdzieś nad nią kryje się obietnica, zapowiedź czegoś pięknego, co jeszcze może się wydarzyć. Zeskakuję z tarasu na ziemię i schylam się, macając kamienie w ciemności.

– Potrzebujemy kamienia dostosowanego ciężarem do wagi zmartwienia – mówię.

– To jakiś zabobon?

Nie widzę jej dobrze, tylko zarys sylwetki, dużą wełnianą czapkę, błyszczące białka oczu.

– Nauczył mnie tego brat, kiedy byliśmy mali. – Wkładam Sylwii do ręki całkiem spory kamień, który zdążył zwilgotnieć i pokryć się cienką warstwą śniegu. – Rzucając go, pomyśl o problemie, którego chcesz się pozbyć.

Sylwia obraca kamień w dłoni.

– Jest za mały jak na mój problem – odpowiada, ale zaciska na nim palce.

Nie wierzę w magię ani w cuda. Kiedy jednak Sylwia zamyka oczy, czuję niemal fizyczną ulgę, jakbyśmy naprawdę miały ją uzdrowić.

– Rzucaj, no już!

Robi zamach najmocniej, jak potrafi, ciska kamień między drzewa, w ciemność, a potem czekamy w napięciu, ale nie słyszymy, by upadł.

– Au, jak boli! – żartuję, a ona wybucha śmiechem.

Ledwie docieram przed kamienicę Sylwii, gdy zauważam trzech wysokich chłopców, którzy palą papierosy. Kiedy idę przez dziedziniec, przestają rozmawiać i wiodą za mną wzrokiem. W ich oczach widzę triumf i kpinę.

– Siemanko! – rzuca jeden z nich.

Zastępują mi drogę, niby dla żartu, ale nie mogę ich minąć.

– Podaj hasło – rzuca drugi, a pozostali kiwają głowami. – Hasło dostępu albo nie pójdziesz dalej.

– Hasło czy PIN? – Odpycham rękę, która zagradza mi przejście.

Jeszcze przez chwilę blokują mnie, ale potem się rozstępują. Któryś mówi za moimi plecami:

– Przydałyby mi się nowe portki.

Otwieram kluczem bramę. W mieszkaniu nie ma Andrzeja ani Mai, pomieszczenia wypełnia cisza. Nie ściągam butów, kieruję się do pokoju, gdzie leżą moje rzeczy, z walizki wyjmuję browninga i chowam go do kieszeni kurtki. Czuję nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu, gdy zawracam na klatkę schodową. Już na półpiętrze docierają do mnie ich oddalające się gniewne głosy. Nie zwalniam kroku, wsuwam rękę do kieszeni, a potem wyciągam broń i stojąc z chłopakami twarzą w twarz, celuję do tego, który znajduje się najbliżej.

Rozbiegają się we wszystkie strony, każdy ucieka w innym kierunku, a ja rzucam się biegiem za tym, do którego celowałam. Mroźne powietrze opuszcza moje usta w obłoczkach pary, gdy gnam, starając się nie potknąć na zalodzonym chodniku. Nastolatek właśnie minął bramę i znalazł się na otwartej przestrzeni. Skręca i wbiega między dwa wysokie zsypy. Kiedy tam wpadam, zauważam go sprawnie wspinającego się po siatce ogradzającej czyjś dom.

Zahaczam ramieniem o jeden z kubłów, rozlega się łomot, gdy klapa spada między zsyp a mur.

– Stój! – krzyczę za chłopakiem.

Jest już po drugiej stronie siatki. Ogląda się przez ramię i skacze w miękki śnieg. Bez namysłu wspinam się za nim i po chwili ląduję w miejscu, gdzie w śniegu odbiły się jego buty.

Reflektory umieszczone na posesji zapalają się, odsłaniając białą przestrzeń poprzecinaną pniami drzew.

– Kto tam jest?! – woła mężczyzna, otwierając okno na parterze.

Za altaną znowu wspinam się na siatkę, nastolatek jest już na chodniku i gna w dół, oglądając się za siebie.

– Dzwonię po policję! – wrzeszczy mężczyzna za moimi plecami. – Weszliście na moją posesję!

Oddech mi się rwie, a serce łomocze w piersi, gdy pokonuję kolejne metry chodnika. Z daleka zauważam przejście podziemne, nastolatek właśnie zbiega po schodach, ale drogę zagradza mu kobieta z wózkiem. Nie mogą się wyminąć, więc udaje mi się nadrobić kilka straconych sekund. Skóra paruje mi z gorąca pod grubym płaszczem, na schodach omal się nie

potykam, w ostatniej chwili chwytam za barierkę.

W przejściu podziemnym panuje półmrok. Wyjść jest kilka: jedne schody prowadzą na przystanki tramwajowe, inne wychodzą prosto na miasto. Nie mam pojęcia, gdzie pobiegł nastolatek. Staję w miejscu i nasłuchuję, ale nie dobiega mnie żaden wyraźny dźwięk. Spoglądam w górę schodów, gdzie znajduje się przystanek i tory biegnące aż do Gdańska. Nigdzie nie widzę chłopaka, więc wracam na drugie schody. Czuję, jak krople potu spływają mi po plecach. Zdejmuję z głowy czapkę, muszę się pochylić, żeby złapać głębszy oddech.

Wtedy go zauważam. Stoi kilka metrów ode mnie, wsunięty za billboard. Z kieszeni wyciągam broń. Obraz kołysze mi się przed oczami, gdy pokonuję te kilka kroków, które mnie od niego dzielą. Staram się wstrzymać oddech, nie zrobić hałasu. Czuję zapach jego potu, słyszę, jak głośno wypuszcza ustami powietrze.

Unoszę broń, krok po kroku zbliżam się do billboardu, a kiedy dzieli nas już tylko kilka centymetrów, przyciskam mu lufę do głowy.

– Gdzie są moje karty kredytowe?

– Wiesz, jak mnie wkurwia, gdy ktoś ze mną zadziera? – Nastolatek boi się obrócić całym ciałem, ale unosi rękę zaciśniętą w pięść. – W nic mnie nie wrobisz.

Ze zmęczenia łamie mi się głos.

– Do jutra obejdziesz całą dzielnicę, żeby pożyczyć od chłopaków dwa tysiące złotych, i mi je zwrócisz. – Ręce mam tak zmęczone, że muszę trzymać pistolet obiema dłońmi, a i tak mi drżą. Przed oczami ciągle tańczą błyski, a obraz z każdym złapanym oddechem kołysze się jak na wysokich falach.

Rozlegają się kroki i na schodach pojawia się męska postać. Gwałtownie opuszczam ręce i wsuwam broń do kieszeni, jednocześnie się cofając.

– W nic mnie nie wrobisz – powtarza chłopak z nienawiścią. – Nikt ci nie ukradł pieniędzy, idiotko. Rozmawiaj ze swoją kumpelą, nie ze mną.

Na komisariacie pachnie świeżo zaparzoną kawą. Pistolet ciągle mam w kieszeni, kiedy obejmując się ramionami, próbuję wypytać o postępy w sprawie skradzionych mi pieniędzy. Czy coś się wyjaśniło? Wiedzą, kto to zrobił? Przejrzeli taśmy z monitoringu?

Młody funkcjonariusz zajmujący się moją sprawą, pijąc kawę, patrzy na mnie jak na narwaną wariatkę, kiedy tłumaczę, że nie mam środków na koncie i muszę szybko odzyskać pieniądze. Być może domyśla się, że nie mówię wszystkiego. Sama siebie postrzegam jako kłębowisko tików nerwowych. Jeszcze chwila i ugną się pode mną nogi.

– Dlaczego się pani tak denerwuje? – pyta, przerywając moją wypowiedź.

– Zróbcie coś. – Atakuję go, bo to łatwiejsze niż odpowiedź na jego pytanie. – Marnotrawicie czas! Mam wrażenie, że nic nie robicie!

Wszystko, co wiem o Sylwii, właśnie stanęło na głowie. Jej obraz został przekręcony o sto osiemdziesiąt stopni. „Nie bądź głupia – myślę. – Chłopak mógł kłamać. Nic jeszcze nie jest przesądzone. Nie padło jej imię".

Ale zaczyna mnie boleć brzuch, bo historia, którą opowiedziała mi Sylwia, od początku nie trzymała się kupy.

Policjant wzdycha.

– Pracujemy nad tym. Mamy procedury, których musimy się trzymać. To nie amerykański serial kryminalny. Proszę wierzyć, naprawdę robimy wszystko, co w naszej mocy.

26

Współcześnie

Wracam do jej mieszkania i czekam. Czekam na Andrzeja. Czekam na wiadomość od Jacka, czy zmontował reportaż. Na telefon z policji. Na kontakt z telewizji. I w końcu mój telefon dzwoni.

Dziennikarka dużej stacji radiowej pyta, czy mogłabym przyjechać z Sylwią do studia. Puściliby rozmowę transmitowaną w paśmie ogólnopolskim. Dodatkowym atutem jest to, że audycja będzie nadawana na żywo i do studia będą mogli dzwonić słuchacze. To może pomóc w poszukiwaniach pani Kalińskiej – a nuż zadzwoni ktoś, kto ma informacje o jej siostrze albo matce.

– Zorientuję się, czy Sylwia będzie mogła opuścić szpital – odpowiadam wymijająco.

Wiadomość o powrocie historii Niebieskiej Dziewczynki rozchodzi się jak ciepłe bułki. Jeszcze poprzedniego dnia Sylwią interesowały się tylko małe lokalne portale internetowe, ale dzisiaj wieści idą w świat. W „Dzienniku Bałtyckim" ukazuje się artykuł, w którym przypomniano sprawę z 1984 roku. *Gdzie dzisiaj jest matka Niebieskiej Dziewczynki?* – pyta dziennikarz w nagłówku. Dalej pisze: „Dawno temu porzuciła dziecko, dzisiaj ma szansę uratować mu życie".

Duży portal internetowy zamieścił fotografię Sylwii sprzed trzydziestu lat. W tekście skupiono się na biologicznej matce i powołano na wstrząsające statystyki porzuceń dzieci w Polsce obecnie. Przytacza się dane, według których liczba porzuconych dzieci waha się w granicach pięćdziesięciu–stu przypadków rocznie. Kary wydają się nie dość odstraszające: jeśli porzucenie skutkuje śmiercią dziecka, matce grozi kara ośmiu lat więzienia. Jeżeli incydent nie jest zagrożony śmiercią, karą są trzy lata pozbawienia wolności.

„Życie jest dla kobiet coraz trudniejsze – pisze autor innego artykułu – stąd zwiększona liczba porzuceń dzieci".

Przyjeżdżam do zagraconej sprzętem do nagrywania oraz taśmami filmowymi kawalerki Jacka, gdzie oglądamy film po ostatnim montażu. Żarty się skończyły. Mało co mi się teraz podoba, a już na pewno nie ujęcia, na których Maja huśta się na naszą prośbę na oponie wiszącej na sznurku i odpowiada na pytania dotyczące choroby jej mamy oraz tego, jak ta choroba wpływa na jej życie. Gdybym była na miejscu Sylwii, nie chciałabym oglądać tego materiału.

– Wykasuj to – proszę. – Wyrzuć wszystkie jej wypowiedzi i zostaw tylko ujęcie, na którym się huśta i podnosi kciuk.

– Dziewczynka mówi prawdę – oponuje Jacek, zdezorientowany moim podejściem. – Praktycznie wychowuje się bez matki. Kobieta ciągle ląduje w szpitalu i nie ma jej po kilka tygodni.

– Ma na imię Maja. Pewnie nie wiedziałeś. Maja Watrak.

Na szpitalnym korytarzu zauważam Andrzeja rozmawiającego z lekarzem.

– Mam już nowe wyniki badań. – Młody mężczyzna w okularach o cienkich drucianych oprawkach dotyka nasady nosa palcami długimi jak u pianisty. – Pojawiły się nowe ogniska zapalne.

– Nowe? – Słychać szuranie butów, gdy Andrzej zmienia pozycję.

Staję, boję się podejść bliżej.

– Co… Co będzie dalej? – Spogląda na drzwi sali, w której leży Sylwia. Jakoś bezradnie pochyla się do przodu. – Podacie jej leki? Czy… Czy można jeszcze coś zrobić? Ona wie?

Jasne, że wie. Od początku wiedziała. Być może wiedziała już wtedy, gdy odwiedziła mnie z córką i nakłoniła do przyjazdu do Gdańska.

Kiedy wchodzę do sali, siedzi na łóżku ze spakowaną torbą u stóp. Na głowę nałożyła wełnianą czapkę, na nogach ma już kozaki. Dzisiaj wraca do domu.

Od tej chwili czas biegnie tylko sobie znanym rytmem; każda chwila wydaje się wielką zwłoką. Mimo kroplówki Sylwia ciągle jest bardzo osłabiona. Andrzej pomaga jej wejść do windy. Mam wrażenie, że jej kozaki zrobiono z betonu, z takim trudem unosi stopy; płaszcz, jak tona cegieł, ciągnie ją w dół.

Wychodzimy przed szpital, na niebie nie ma ani jednej chmury. Ostre zimowe słońce odbija się w śniegu, drży w szybach budynków, błyszczy na karoserii samochodu Andrzeja. Sylwia osłania dłonią oczy, ale to nie pomaga, więc podaję jej moje okulary przeciwsłoneczne.

W samochodzie nikt nie rozmawia o wynikach badań. Ani słowa o tym, że Sylwia nie dostanie chemii. Że jeszcze nie znalazł się dawca. Czas ucieka i tak naprawdę niewiele możemy zrobić, a za chwilę będzie za późno nawet na przeszczep.

– Ludzie cię wspierają. – Przerywam ciszę. – Masz już spory fanklub na Facebooku. Czuję, że w końcu coś się ruszyło.

Pokazuję jej komentarze pod zdjęciami zamieszczonymi przez fundację. Moderator już usunął wpisy, które zauważyłam rano, a w których zarzucano Sylwii, że próbuje zwrócić na siebie uwagę i wyciągnąć od internautów pieniądze, wykorzystując swoją chorobę. Pozostają życzenia powrotu do zdrowia i ciepłe słowa wsparcia.

– Mój Boże… tak wiele osób. – Sylwia kręci głową, jakby nie mogła w to uwierzyć. – Nie miałam pojęcia… Boże, Pola, tak wiele zrobiłaś! Nigdy bym się nie spodziewała, że to zajdzie tak daleko.

– Wiele osób poddało się badaniom na zgodność z tobą – odpowiadam. – Być może w następnych dniach uda się znaleźć dawcę.

Mówię jej też o audycji w radiu, do której powinna się przygotować. Sylwia jeszcze nigdy nie występowała na żywo przed mikrofonem. Oddałabym ją w ręce dziennikarki bez żadnych obaw, ale problemem mogą się okazać słuchacze.

Andrzej parkuje przy bramie przedszkola i wysiada z samochodu. Kiedy znika mi z oczu, czuję, jakby pomiędzy mną a Sylwią usiadł ktoś trzeci, kto rozpycha się na boki łokciami. Wszystkie wcześniejsze tematy nagle się wyczerpały, w samochodzie zapada niezręczna cisza. W tej ciszy namacalne staje się to, co nie zostało powiedziane. Układam w myślach słowa, które powinny wybrzmieć: „Wystawiłaś mnie. Znałaś tych chłopaków z dzielnicy albo z pogotowia opiekuńczego. Nie wiem tylko, po co włożyłaś tak wiele trudu w sprowadzenie mnie do swojego domu”.

Maja wychodzi z przedszkola w rozpiętej kurtce, z zaczerwienionymi policzkami, trzymając się ręki Andrzeja. Kiedy zauważa Sylwię, zostawia ojca i biegnie, wykrzykując:

– Mama! Mama!

Przygotowujemy razem obiad. Sylwia siedzi na krześle przy niewielkim stoliku i kroi warzywa, a ja tnę mięso na kawałki. Nigdy nie byłam dobra w gotowaniu, ale Sylwia instruuje, co mam robić. Podczas gdy mięso dochodzi w piekarniku, zaglądam do pokoju Mai.

Dziewczynka bawi się na dywanie, ale już nie buduje szpitala – miniaturowe łóżka zmieniły położenie i stały się kanapami.

– To jestem ja – oznajmia. – A to ty.

Jestem kocicą o dużych oczach i miłym wyrazie pyszczka. Siebie przedstawiła jako mysz. Obserwuję, jak wprowadza na scenę kolejne postaci. Wchodzi prezenter koń. I prezenterka lis.

– Witamy małą księżniczkę. – Dziewczynka podkłada im głos, a potem chichocze, uświadamiając sobie, że przecież słucham.

W pokoju pakuję walizkę. Rzeczy układam w równe kostki – wszystko musi być jak spod linijki, ponieważ ład wokół mnie daje mi nadzieję na ład w moim życiu.

Postanawiam, że pieniądze na powrót do domu pożyczę od Jacka. Teraz, kiedy Niebieska Dziewczynka stała się gorącym newsem, Warszawa na pewno kupi ode mnie materiał o Sylwii. Trzeba tylko chwilę poczekać, aż mój szef zrozumie, co odrzucił.

Chowam do walizki laptop, zasuwam zamek i siadam na piętach. Przychodzi mi na myśl Wilk, który być może wciąż wraca na moją posesję. Przez krótką chwilę przypominam sobie ciszę i pustkę swojego domu, zalegający w ogrodzie śnieg, odciski łap psa biegnące od siatki do schowka na narzędzia. To zupełnie inna rzeczywistość od tej w domu Sylwii. Dobiegają mnie głosy matki i córki, dźwięki z radia, odgłos kroków Andrzeja. Normalna rodzina. Normalny dom. Uświadamiam sobie, że będzie mi tego brakować. Wilk musi się stać moim psem. Teraz już będę umiała go oswoić, wiem, gdzie popełniałam błędy.

– Nie powiedziałaś, że dałaś mi Niebieską Dziewczynkę. – Mariusz, którego słyszę w telefonie, ani słowem nie wspomina o wymiocinach, którymi Maja zabrudziła mu buty. Jest przejęty, niemal podekscytowany; dokładnie tak jak sądziłam.

Stwierdza, że za jego czasów dziennik telewizyjny miał wielką siłę. Pamięta historię dziewczynki znalezionej na dworcu. Gdybym od razu wspomniała, że mój nowy reportaż dotyczy właśnie jej, nasza rozmowa przebiegłaby inaczej. To jasne, że temat jest dobry. Materiał, który mu dałam, to tylko surówka, trzeba go zmontować, da się z niego zrobić wzruszającą opowieść.

– Znajdź matkę tej kobiety i postaw ją przed kamerami – wydaje dyspozycję.

– Myślisz, że to takie proste? – Przez długość przedpokoju spoglądam na Sylwię, której Maja pomaga rozłożyć talerze na stole.

– Ciesz się – dodaje Mariusz. – Chcę cię znowu mieć w Warszawie.

Obiad przebiega w ciepłej atmosferze, którą wspomaga cicho nastawione radio, już od kilku dni nadające świąteczne utwory.

– Podasz mi pieprz? – Sylwia wyciąga do mnie rękę.

Zachowujemy się jak zwyczajni ludzie, tak zachowywała się też moja rodzina, kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem. Wspomnienie o nich pojawia się i znika. Z pamiątkowych talerzy zdobiących ścianę spoglądają na mnie Jan Paweł II i Józefina. Dalej wisi reprodukcja obrazu Maneta przedstawiająca bal oraz kilka niemal identycznych talerzy z motylami. Zatapiam spojrzenie w talerzu z motylem pawie oczko. Przypominam sobie, że zawsze myliłam go z paziem królowej.

– Słucham? – Koncentruję wzrok na Sylwii, która już drugi albo trzeci raz wymieniła moje imię.

– Prawie nic nie mówisz, Polu. – Nakłada sobie odrobinę mięsa i patrzy na mnie uważnie.

Wspólny obiad to nie jest dobry czas na poważne rozmowy. Odpowiadam więc niemrawo:

– Jestem po prostu zmęczona.

– Coś się stało? Widziałam, że spakowałaś walizkę. Chyba nigdzie się nie wybierasz?

Maja unosi głowę znad talerza, choć niewiele rozumie z rozmowy.

– Przygotowuję się do wyjazdu.

Sylwia zamiera z ręką wyciągniętą po sałatkę.

– Do jakiego wyjazdu?

Szukam uniku. Nie chcę psuć atmosfery przy obiedzie.

– Warszawa kupuje materiał o tobie.

– Och, no tak. – Sylwia, już rozluźniona, unosi półmisek.

Pomiędzy dźwiękami muzyki wychwytuję jakiś szelest dobiegający spod drzwi mieszkania.

– Sprawdzę, kto to. – Pospiesznie podrywam się z miejsca.

Na klatce schodowej panuje półmrok; ktokolwiek tu wszedł, nie zdecydował się na zapalenie światła. Wychylam się przez barierkę, ale nikogo nie widzę. Wyczuwam za to zapach papierosów i śniegu. Mija chwila, rozcieram zmarznięte ramiona i nagle dobiega mnie huk bramy.

Wtedy zauważam pakunek położony pod skrzynką na listy. Siadam na schodach i powoli rozchylam foliową torebkę – jest wypełniona banknotami.

– Ktoś przyszedł, Polu?! – woła Sylwia z mieszkania.

– To do mnie! – odkrzykuję.

Nastolatek zwrócił mi niemal całą kwotę. Przeliczam banknoty i z powrotem owijam folią. Pocieram powieki. Wrażenie normalności w rodzinie Sylwii znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ogarnia mnie rozpaczliwa chęć, żeby już teraz ściągnąć z wieszaka płaszcz, zabrać z pokoju walizkę i pojechać na dworzec, w ten sposób zostawiając za sobą historię Sylwii Kalińskiej.

Siedzę z nią z tyłu. Tapicerka wygląda tak, jakby Jacek woził tu nie tylko sprzęt do nagrań, ale też zwierzęta i pustaki. Dzieli nas siedzenie, ale tak naprawdę jesteśmy już lata świetlne od siebie. Przecieram szybę w miejscu, gdzie zaparowała od mojego oddechu. W lusterku podchwytuję spojrzenie Jacka.

– Skoro jutro wyjeżdżasz, jak będziesz szukać mojej rodziny?

Wydaje mi się, że Sylwia zadaje to pytanie już drugi albo trzeci raz, a jej głos robi się wyższy o oktawę.

– Kiedy wrócisz do Gdańska?

Zmuszam się, żeby na nią spojrzeć. Patrzę w jej błyszczące zrozpaczone oczy i chyba wiem, dlaczego Andrzej się w niej zakochał. Rozumiem, że przyciągnęła go do siebie spojrzeniem wiecznego dziecka, głosem, który mimo upływu lat brzmi dziecinnie, prośbą emanującą z całej postawy, żeby ktoś odczarował jej życie i zmienił je w piękną bajkę.

– Ty nie masz siostry. – Wreszcie to mówię, powoli i bezlitośnie. – Rozmawiałam z wieloma osobami, które miały kontakt z twoją biologiczną matką, i żadna z nich nawet przez chwilę nie wątpiła, że byłaś jedynaczką.

Być może siostra Sylwii miała być jak legenda, trop, który rozbudzi moją wyobraźnię. Uganianie się za cieniem – jak ładnie określiła moje poszukiwania stara Romka. Znajdź moją siostrę, a dam ci nagrodę. Szukaj jej, nawet przez całe lata, a ona zawsze będzie cię wyprzedzać o kilka kroków: przejrzysta jak duch – dziecko, które się nie narodziło albo

zmarło po porodzie.

– Śledzisz mnie od lat. – Dopiero kiedy to mówię, dociera do mnie, że wreszcie przestałam błądzić i znalazłam się na właściwej drodze.

Teraz znikają bzdurne wyobrażenia, takie jak dziewczynka mierząca ledwie metr, której wzrost mama odznaczyła pisakiem na framudze drzwi, znika też niewinność stwierdzenia wypowiedzianego przez Sylwię na samym początku naszej znajomości, kiedy przyjechałyśmy do Gdańska: „Myślałam, że zatrzymasz się u mnie".

„Po co miałam zatrzymać się u ciebie, Sylwio? – myślę. – Żeby cię polubić? Żeby wejść w twój świat? Stanąć niemal na głowie, by znaleźć dla ciebie dawcę? Miałam uwierzyć w historię, którą zmyśliłaś? A może chodziło o to, by opłakiwać cię, kiedy już umrzesz?"

Zabieram torebkę. Nie mogę nawet patrzeć na Sylwię. Całe moje wcześniejsze współczucie i żal z powodu dramatu, z którym się mierzy – wszystko to odchodzi w niepamięć, pozostawiając uczucie niesmaku.

– Pola!

Mam wrażenie, że Sylwia zaraz złapie mnie za rękę albo zacznie ciągnąć za rękaw jak mała dziewczynka, która rozpaczliwie chce postawić na swoim. Odsuwam się jak najdalej od niej.

– Pola, proszę! Co robisz? Co się stało?

Wkładam dużo wysiłku, by wytrzymać spojrzenie nagich, na pozór bezbronnych oczu. Sięgam do klamki w drzwiach, chcę jak najszybciej wysiąść z samochodu.

– Jutro wyjeżdżam i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – rzucam przez ramię.

27

Gdańsk Wrzeszcz, 2005 rok

Obudziła się z twarzą zwróconą do znajomej tapety w kwiatowy wzór. Dotknęła miejsc, po których przesuwała rękami jeszcze jako dziewczynka. Niebieskie niezapominajki zostały prawie starte przez czas. Przypomniał się jej dziecięcy wierszyk, który w podstawówce Olga wpisała do jej pamiętnika: „Niezapominajki są to kwiatki z bajki. Rosną nad potoczkiem, patrzą modrym oczkiem, szepczą sobie skromnie: »Nie zapomnij o mnie«".

– Co robisz, mamo? – W kuchni oparła brodę o ramię Kaszmir, zaglądając w kartkę papieru, na której matka z wysiłkiem coś pisała.

– Sporządzam listę piosenek – odpowiedziała Kaszmir, nie podnosząc głowy. – Chcę ją wręczyć Baśce. Dzisiaj bierze rozwód.

Listy piosenek Kaszmir tworzyła od dawna, Sylwia pamiętała je jeszcze z dzieciństwa. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego matka spędza nad tym tak wiele czasu i dlaczego tak bardzo ją to pochłania. Dołączała je do prezentów na różne okazje, wcześniej wielokrotnie zmieniając kolejność utworów. Teraz z dumą podała Sylwii kartkę.

– I jak?

Drukowane litery były wielkie i przypominały dziecięce pismo. Dziewczynie przypomniał się list matki, jedyny, który od niej dostała – jedyny, który w ogóle dostała od kogokolwiek.

– I co uważasz? – Kaszmir podparła się pod boki.

Cyndi Lauper – *Time after time*

Barbara Lewis – *Hello Stranger*

Barbra Streisand – *Woman in Love*

Garnet Mimms – *Cry Baby*

The Beatles – *Yesterday*

– I co? – Kaszmir uśmiechała się, zadowolona z siebie. – Będą idealnie pasować do jej nastroju, prawda?

– Trochę rozpaczliwe – stwierdziła Sylwia, zerkając na matkę.

Z bliska, bez makijażu i w białym szlafroku, Kaszmir wydała się jej jakaś krucha i przejrzysta, jakby była duchem. Dziewczyna poczuła ściskający żal. Co zrobi, kiedy zabraknie Kaszmir? Jak to będzie, gdy zniknie osoba, która zrobiła dla niej tak wiele?

– Myślisz? – Kaszmir zabrała listę i przejrzała ją uważnie jeszcze raz. Na jej twarzy odmalował się upór. – W końcu kiedy się bierze rozwód, chyba nie jest to najszczęśliwszy dzień w życiu, co? Byłoby trochę głupio, gdybym zaproponowała piosenki w stylu *The Power of Love*. Przecież mogłaby się na mnie obrazić.

Znalezienie tego artykułu zajęło jej masę czasu. Prawdopodobnie był to jedyny artykuł z 1985 roku, którym dysponowały archiwa miejskiej czytelni czasopism. Autor tekstu jasno przedstawił informacje o tym, co się stało. Matka: Monika S., ofiara: Niebieska Dziewczynka, miejsce zdarzenia: dworzec PKP.

Styl dziennikarza wydał się Sylwii tak wyprany z emocji, że miała wrażenie, jakby napisał to robot, a nie człowiek. Ale może dlatego przebrnięcie przez informacje zawarte w tekście stało się łatwiejsze.

„Dziewczynka w chwili znalezienia na dworcu była ubrana w niebieski kombinezon i futrzane kozaki. Rękawiczki połączone sznurkiem…”.

Wpatrywała się w druk, siedząc przy jednym z kwadratowych drewnianych stołów ustawionych blisko okna. Poza nią w pomieszczeniu przebywało jeszcze kilka innych osób zagłębionych w lekturze dawnych magazynów. Słyszała szelest przewracanych stron, westchnienia, chrząkanie. Kiedy rozejrzała się po sali, zobaczyła zgarbione sylwetki tonące w blasku słońca przeciekającego przez długie wąskie okna. Przyszła tutaj, ponieważ pod jej sercem rozwijało się życie. Przyszła, ponieważ bez odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” nie uda się jej pójść dalej.

Artykuł zajmował całą stronę. Lid informował, że biologiczna matka Niebieskiej Dziewczynki udzieliła milicji pełnych informacji o zdarzeniu, do którego doszło w Wigilię.

„Monika S. stanie przed sądem w poniedziałek o dziewiątej rano. Wysunięto przeciw niej trzy zarzuty, w tym zarzut narażenia życia dziecka. Grozi jej do ośmiu lat więzienia.

Kiedy milicja znalazła Monikę S., kobieta przebywała w mieszkaniu swojego konkubenta w Koszalinie. Nie stawiała oporu. Zatrzymana podobno pytała funkcjonariuszy, jak się czuje jej córka”.

Przez okna wpadało zbyt wiele światła. Sylwia zmrużyła oczy, ale to nie pomogło. Światło kładło się prostokątami na gazecie, rozjaśniało postać kobiety na zdjęciu z 1985 roku, kiedy milicja wiozła ją na badania psychiatryczne.

„Monika S. tłumaczyła, że nie planowała porzucenia dziecka. Przyjechała z córką na dworzec, ponieważ miała w planach wyjazd do Koszalina i spędzenie świąt z konkubentem. Według wstępnych ustaleń kobieta i dziecko były zameldowane w Gdańsku, ale większość czasu mieszkały w domu dla bezdomnych rodzin. Kobieta nie miała stałej pracy. Samotnie wychowywała córkę”.

Przez całe lata Sylwii towarzyszył ulotny obraz, dziecięce wspomnienie matki: brązowe włosy spadające wzdłuż ramienia, uśmiech uszminkowanych ust. Teraz ten obraz się wyostrzył. Na czarno-białej fotografii zobaczyła młodą kobietę, prawdopodobnie o wiele młodszą niż Sylwia w momencie, gdy czytała ten artykuł.

Prowadzona przez milicję kobieta miała na sobie nie strój osadzonej, lecz zwyczajne ubranie: ciemną kurtkę z kapturem, szalik, długą spódnicę. Sylwia zobaczyła jej delikatną pociągłą twarz. Rozpoznała znajome rysy – uświadomiła sobie, że ma taki sam owal twarzy, że jest bardzo podobna do matki.

Kiedy wyciągnęła rękę, przez krótką chwilę miała wrażenie, że zaraz się sparzy. Delikatnie, jakby gazeta mogła się rozpaść pod jej dotykiem, przesunęła palcem po kobiecej sylwetce. Dotknęła brązowych włosów, bladego policzka, oczu, które spojrzały w obiektyw w chwili, gdy naciągnięto migawkę.

„Monika S. twierdzi, że po apelu telewizyjnym i nagłośnieniu sprawy w mediach nie zgłosiła się na milicję, ponieważ bała się konsekwencji swojego czynu. Kobieta przez kilka tygodni po porzuceniu córki przebywała w mieszkaniu konkubenta. Monika S. nie ma żadnych żyjących krewnych. Pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny, kilkakrotnie trafiała do pogotowia opiekuńczego z powodu zaniedbania ze strony swojej matki”.

Zamknęła gazetę z wrażeniem, że świat stał się nietrwały jak babki z piasku stawiane przez dzieci w piaskownicy. Jeśli mocniej zaciśnie dłonie na stole, blat się rozpadnie. Jeśli teraz wstanie, jej nogi rozsypią się na drobne kawałki. Pokręciła głową. Nie rozumiała, jak to się stało, że matka, która ukształtowała całe jej życie, która zmieniła ją w wieczne dziecko, która

zasiała w niej wiecznie towarzyszący Sylwii niepokój, nagle zmieniła się w ckliwy obrazek.

Jako psycholog miała dostęp do archiwalnych teczek dzieci, które trafiały do pogotowia opiekuńczego. Wystarczyła zgoda dyrektora placówki, żeby Sylwia mogła przejrzeć informacje sprzed lat. Tego dnia, kiedy zjawiła się w jego gabinecie, mężczyzna był zajęty i nieuważnie wysłuchał prośby o zgodę na wizytę w archiwum.

– Lata siedemdziesiąte? – spytał, zajęty wykręcaniem numeru na tarczy telefonu. – Wie pani, że placówka dwa razy zmieniała lokalizację? Całkiem możliwe, że to, czego pani szuka, znajduje się w innym oddziale. Ale jasne, proszę spróbować. Podoba mi się pani zaangażowanie.

W latach siedemdziesiątych pogotowie opiekuńcze nosiło nazwę „centrum pomocy rodzinie". Teczki dzieci, które tu przebywały, zajmowały duży regał. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że mogą się tu znajdować odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że tak naprawdę przez całe życie poruszała się po śladach matki.

Teraz szybkim krokiem przeszła przez jasny hol i skręciła na schody do piwnicy. Schody do przeszłości, biegnące stromo w dół. Miała wrażenie, że w środku ktoś na nią czeka, rozpoznawała zapach starego, pokrytego kurzem, ciemnego płaszcza.

Przyspieszyła kroku, z kieszeni wyjęła pęk kluczy. W piwnicy było ciemno, więc po omacku umieściła klucz w zamku. Usłyszała zgrzyt, a potem jęk, gdy drzwi rozwarły się, odsłaniając ciasne ciemne pomieszczenie z jednym oknem, okratowanym tak szczelnie, że prawie nie przepuszczało światła. Namacała włącznik. Pod sufitem zapalił się rząd jarzeniówek.

Palce jej drżały, gdy sięgnęła po pierwszą z teczek. Zaczęła od przejrzenia dokumentów z początku lat siedemdziesiątych. Kiedy rozchyliła teczkę, w powietrzu przez chwilę wirował kurz, mieniąc się jak brokat. Strzepnęła drobinki, rozchyliła strony, zagłębiła się w świat dzieci porzuconych, zaniedbanych, które dzisiaj były dorosłymi ludźmi.

Kiedy znalazła teczkę swojej matki, poczuła, jak po jej plecach przebiegają dreszcze: biegły wzdłuż kręgosłupa, przez kark, zahaczyły o oczy, które momentalnie zaczęły piec, po czym wydostały się przez usta łapczywie chwytające powietrze. Przeszło jej przez myśl, że to zbyt wiele, nie była jeszcze gotowa, żeby poznać całą prawdę. Jednocześnie przeczuwała, że nigdy nie będzie lepszego momentu, nigdy nie przygotuje się na to, co znajduje się w papierach.

Informacji nie było wiele. Przeczytała, że Monika Stefaniak urodziła się w 1963 roku w Gdyni. Kiedy miała trzy lata, trafiła do pogotowia opiekuńczego z powodu zaniedbań ze strony matki. Jej matka Katarzyna Stefaniak poza Moniką nie miała więcej dzieci. Po porzuceniu córki została na krótki okres umieszczona w szpitalu psychiatrycznym z powodu silnej depresji. Monika przebywała więc w placówce pół roku, a potem wróciła pod opiekę matki.

Kolejne dane zostały sporządzone w 1975 roku. Monika Stefaniak kolejny raz trafiła wówczas do pogotowia opiekuńczego, ale krótko potem podjęła próbę ucieczki. Znaleziono ją na dworcu autobusowym w Gdańsku, skąd milicja przywiozła ją z powrotem do placówki.

1978…

Sylwia skupiła się na czymś innym: przypomniała sobie, że w 1978 roku Eddie Van Halen pokazał światu swoje umiejętności, Rolling Stonesi nagrali album *Some Girls*, przedwcześnie zmarł szalony perkusista The Who Keith Moon, a na wszystkich prywatkach rozbrzmiewał utwór Dire Straits *Sultans of Swing*. W tym właśnie roku Monika Stefaniak kolejny raz została

umieszczona w pogotowiu adopcyjnym z powodu stanu zdrowia jej matki. Druga ucieczka z ośrodka. W dokumentach zapisano, że znaleziono ją w mieszkaniu Mateusza Bobrowskiego, jej chłopaka, poznanego w ośrodku. Stawiała opór milicji.

Ostatni jej pobyt w pogotowiu odnotowano w 1981 roku. W teczce zaznaczono, że spodziewała się dziecka.

I to wszystko. Koniec historii.

Sylwia zapomniała o oddychaniu. Teraz głośno wypuściła powietrze, dotknęła zagiętego brzegu teczki i spróbowała go rozprostować. Zbieżność dat wydawała się jej wręcz nachalna: matka miała trzy lata, kiedy trafiła do pogotowia opiekuńczego, Sylwia miała trzy lata, gdy została porzucona.

Dotknęła imienia i nazwiska matki wypisanych na teczce. Właśnie teraz musiała się zmierzyć z najważniejszą częścią swojej historii, z tym, czego nie chciała pamiętać. Wymagało odwagi i wysiłku, żeby wpuścić tam światło i zobaczyć wszystko wyraźnie, takie, jakie było naprawdę.

Przez całe życie Sylwię najbardziej bolało to, że biologiczna matka zrzekła się do niej praw, gdy tylko znalazła się w areszcie. Nie walczyła o córkę, nie próbowała się z nią skontaktować, nie chciała jej już widzieć. Sylwia nienawidziła jej właśnie za to. Teraz jednak światło zmieniało ciemne kolory w jasne, usuwało cienie, wygładzało kontrasty. I nagle Sylwia zobaczyła swoją matkę jako małą dziewczynkę całe lata wychowywaną przez depresyjną kobietę, która nie była w stanie zająć się córką, ale jednocześnie nie chciała jej oddać do adopcji. Monika Stefaniak miałaby szansę na normalne życie, gdyby trafiła do rodziny adopcyjnej, zamiast błąkać się pomiędzy domem, z którego uciekała, a placówką opiekuńczą. Monika Stefaniak mogła być dzisiaj inną osobą, gdyby dawno temu biologiczna matka o nią zadbała.

Teraz wszystko się zmieniło. Stopy w lakierowanych sandałach, te, które do tej pory dreptały małymi krokami, wydłużyły się. Iksowate nogi małej dziewczynki nabrały kształtu charakterystycznego dla kobiety. Piersi rosły, zaokrągliły się, tak samo jak biodra. Włosy, które w dzieciństwie nosiła ścięte do brody, z grzywką, teraz opadły na ramiona w długich pasmach, pofarbowane na jasno przez dorosłą kobietę. Spojrzała na swoje dłonie: pulchne ręce dziecka ozdobione metalowymi pierścionkami z Guciem i Misiem Uszatkiem zniknęły na zawsze. Teraz na palcu nosiła pierścionek zaręczynowy. Dotknęła go, pod opuszką poczuła cyrkonię umieszczoną w srebrze.

Kiedy podniosła głowę, miała wrażenie, że świat wokół niej nabrał jaśniejszych barw. Jeszcze nie wszystko widziała całkiem wyraźnie, ale przez piwniczne okno wpadało już nie kilka promieni, ale cała kaskada światła. Wyszła z cienia, który rzucał na nią dworzec. Teraz wystarczyło jeszcze przejść przez ulicę i zostawić tamto miejsce daleko w tyle.

Andrzej był w warsztacie. Kiedy tam weszła, akurat podniósł się z podłogi i wycierał w szmatę brudne od smaru dłonie. Sylwia przez chwilę stała w drzwiach, delektując się jego widokiem. Był taki piękny, doskonały. Ojciec jej dziecka. Jej najlepszy przyjaciel. Przyszły mąż.

– Andrzej…

Podniósł głowę i popatrzył na nią z nadzieją. Sylwię zdumiało, jak łatwo przeszła ze smutnego tonu, jakim mówiła do siebie w myślach, do lżejszego, ciepłego, którym zwróciła się do Andrzeja:

– Coś ci przyniosłam.

– Co takiego? – Zrobił krok w jej stronę.

Przyniosła mu opowieść. Prośbę o wybaczenie. Nowy początek dla nich obojga.

Sięgnęła do torebki, spomiędzy kartek notesu wyjęła zdjęcia ośmiotygodniowego dziecka i podała Andrzejowi.

– Czy to…? – poderwał na nią wzrok.

Przytaknęła.

– Nasze dziecko.

Na jego twarzy malowała się cała gama uczuć, od zdumienia, przez niepokój, aż po radość, że będzie ojcem.

28

Współcześnie

Dziennikarka radiowa Marysia przygotowała grunt pod audycję, więc kiedy wchodzimy do niewielkiego pokoju, gdzie pracują radiowcy i gdzie mamy zostawić kurtki, w głośnikach rozbrzmiewa informacja podana przez dziennikarkę, że gościem dzisiejszego programu będzie „słynna Niebieska Dziewczynka", a porozmawiają nie tylko o jej dzieciństwie bez matki, ale przede wszystkim o potrzebie miłości oraz o walce z ciężką chorobą.

– Chodźcie, zapraszam. – Marysia wita nas serdecznie. Okazuje się tak niska, że nawet Sylwii sięga ledwie do ucha. Nieumalowana, z włosami zagarniętymi za uszy przypomina nastolatkę, która jeszcze nie odkryła świata kosmetyków. Ściska mi rękę, dłoń Sylwii przytrzymuje dłużej.

– Tak się cieszę, że mogła pani przyjechać – zwraca się do niej. – Będziemy mówić do siebie po imieniu, dobrze? To przystępniejsza forma dla słuchaczy. Pewnie ciężko to sobie wyobrazić, ale pamiętam twoją sprawę: byłam wtedy prawie dorosła, gdy pokazywano zdjęcia Niebieskiej Dziewczynki w mediach.

Twarz dziennikarki zdobią drobne zmarszczki, jej ciepły, otulony oddechem głos brzmi jak przyjemna dla ucha melodia.

– Piękne reportaże z Syrii – szepcze do mnie, gdy wchodzimy do studia.

Stoi tu długi stół, a na nim kilka mikrofonów. Marysia wybrała dla Sylwii miejsce pomiędzy sobą a mną, prosi, żebyśmy włożyły słuchawki. Siedzący przy mikserze za długą szybą starszy mężczyzna z gęstą brodą na nasz widok unosi kciuk. W głośnikach rozbrzmiewa teraz *Ostatnia nocka* Maćka Maleńczuka.

– Gotowe? – pyta Marysia.

Robimy próbę mikrofonu. Głos Sylwii wypada blado, cicho, trochę się trzęsie.

Zapala się lampka, jesteśmy na antenie.

– Dobry wieczór. Witam wszystkich słuchaczy w wieczornej audycji, której gośćmi będą Sylwia Kalińska: poznaliśmy ją w 1984 roku jako Niebieską Dziewczynkę, oraz jej przyjaciółka i dziennikarka telewizyjna Pola Michalak.

Pierwszy słuchacz pyta, jak Sylwia dowiedziała się o chorobie.

– To wydarzyło się osiemnaście miesięcy temu – odpowiada Sylwia z wahaniem. – Codziennie czułam się bardzo zmęczona, pamiętam, ile kosztowało mnie spuszczenie nóg z łóżka, wzięcie prysznica, rozmowy z ludźmi w pracy. Skłamałabym, mówiąc, że nie przypuszczałam, iż jestem chora. Wiedziałam, że dzieje się coś niedobrego, ale miałam małe dziecko i… chciałam być dla niego silna, niezniszczalna.

Marysia pyta, jak Sylwia poradziła sobie z diagnozą lekarzy. Co sprawiło, że w końcu zdecydowała się wykonać badania?

– Miałam wypadek samochodowy…

Sylwia opowiada, że tamtego dnia, zanim trafiła do szpitala, bardzo źle się czuła. Urwała się z pracy, wsiadła za kierownicę i wyjechała na drogę. Jadące z naprzeciwka auto dostrzegła za późno. Czuła się tak, jakby tkwiła w gęstej cieczy, jej ruchy okazały się koszmarnie powolne, gdy odbiła kierownicą w prawo, jednocześnie wciskając hamulec. Koła straciły przyczepność, samochód zniosło na lewo, na środek jezdni, i Sylwia przekroczyła białą linię

oddzielającą pasy ruchu. Usłyszała trąbienie klaksonu i nagle znalazła się na wprost tamtego samochodu, tak blisko, że za szybą mignęła postać kierowcy. Światła niemal ją oślepiły i…

Otworzyła oczy w szpitalu. Przy jej łóżku siedział Andrzej. Wyjaśnił, że lekarze robią jej badania. Nie podobały się im wyniki. Najpierw sądzili, że w wypadku straciła dużo krwi, ale potem, gdy po zatamowaniu rany liczba płytek krwi ciągle spadała, stało się jasne, że przyczyna tkwi gdzie indziej.

– Lekarze pobrali wycinek kości i wysłali do innego szpitala. Kilka dni trzeba było czekać na wyniki – opowiada, a jej spojrzenie ślizga się po blacie stołu, blisko moich rąk. Cichy, trochę drżący głos rozbrzmiewa w głośniku: – Całe nasze życie rozpadło się jak domek z kart.

Okazało się, że nie ma pewności, czy Sylwia dożyje najbliższych świąt.

Mówi o spotkaniu z lekarzem, które odbyło się w szpitalu. Siedziała tak blisko Andrzeja, że dotykała go ramieniem, ale kiedy lekarz wyjaśnił, czym charakteryzuje się anemia aplastyczna i w jaki sposób można ją leczyć, czuła, że nie jest w stanie nawet spojrzeć na swojego partnera.

– Po wyjściu od lekarza byliśmy jak sparaliżowani.

Widzę jej oczy: zmęczone, obwiedzione sińcami z niewyspania. Zauważam też wzrok Marysi: bezgłośnie przekazuje mi, że Sylwii dobrze idzie, jest świetna, słuchacze ją pokochają.

– Nie myślałam wtedy o sobie, tylko o Mai.

Sylwia przypomina, że wychowywała się bez matki, więc wie, co oznacza bycie sierotą. Jej głos staje się mocniejszy, teraz brzmi niemal twardo.

– Nie chcę, żeby przechodziła przez to samo, przez co ja przechodziłam jako dziecko.

Na dworze rozpoczęła się mroźna noc. Śnieg skrzypi, gdy odchodzę sprzed budynku radia w kierunku lasu rozciągającego się za ogrodzeniem i odwijam paczkę papierosów – pierwszą od wielu miesięcy. Zza otwartego okna dobiegają mnie dźwięki audycji. Akurat do studia zadzwoniła jakaś kobieta.

– Znam kogoś, kto bardzo panią przypomina – wyjaśnia. – Uczy angielskiego w przedszkolu, do którego chodzi mój syn, w Krynicy Morskiej. Przedszkole numer pięć… Taka właśnie miła osoba jak pani… Może… Ciężko tak sugerować, ale może to właśnie pani siostra?

Słyszę śmiech Marysi, miękki i przepraszający, ale też stanowczo ucinający takie informacje.

– Mam pytanie. – Dziennikarka zmienia temat. – Podobno prosiłaś sąd o udostępnienie danych twojej rodziny? Czy masz już odpowiedź?

– Niestety. Instytucja działa bardzo powoli, do dzisiaj nie otrzymałam żadnej wiadomości.

– Czy masz kontakt z innymi porzuconymi dziećmi…? Wiem, że pracujesz w ośrodku.

– …dziewczynka znaleziona przy zsypie koło mojej kamienicy. Romowie nazwali ją Aza… – Jej głos ma wielką siłę rażenia. Właśnie tworzy obraz Azy, dziecka, które odnalazła po latach. Obraz przypomina gładki kamyk, ale tylko Sylwia wie, że ten kamyk ma ostre krawędzie; wsunięty do kieszeni zniszczy materiał, a zaciśnięty w dłoni porani skórę do krwi.

– Witaj, Sylwio. – Głos na linii brzmi, jakby zaraz miał zamilknąć.

Marysia pyta o imię i nazwisko kolejnej słuchaczki.

– Sylwio – powtarza prosząco kobieta, ignorując dziennikarkę.

„Wariatka” – myślę, a moje ciało napina się, oczekując reakcji Marysi. Papierosa rzucam w śnieg, niedopałek naciskam obcasem. Nocny słuchacz, ktoś bez twarzy, właśnie głośno

oddycha w słuchawkę.

– Wiem, kim ona jest – mówi niewyraźnie kobieta, trochę tak, jakby miała problem z otworzeniem ust. Może jest pijana. – Chcę z nią porozmawiać… Czy ona mnie słyszy?

Powinni przerwać połączenie.

– To ja – dodaje kobieta niewyraźnie. – Jestem twoją mamą.

Z głośników dobiega muzyka, którą Marysia przerywa wypowiedź kobiety. Pospiesznie wchodzę do budynku, a Sylwia właśnie opuszcza studio.

– Dlaczego ją wyłączyłaś? – W jej głosie słyszę pierwsze nuty histerii.

– Sylwio, za chwilę wchodzimy na antenę – przypomina Marysia. Tłumaczy, że to tylko nocny słuchacz, ktoś szalony, przecież obie słyszały, że kobieta prawdopodobnie za dużo wypiła. Nie ma się czym przejmować, ta kobieta więcej nie zadzwoni.

– Chcę z nią porozmawiać! – Sylwia jest tak zdenerwowana, że trzęsie się jak przy wysokiej gorączce. – Jak mogliście ją rozłączyć? Przecież powiedziała…

Wymieniamy się z Marysią spojrzeniami. Zauważam zaskoczony wzrok Jacka, który cały czas rejestruje audycję kamerą.

– Podczas tego typu nagrań zawsze pojawiają się wielkie emocje – bąka przepraszająco Marysia.

W studiu zajmuję krzesło przy mikrofonie. Sylwia ciągle jest wzburzona, więc kiedy kończy się utwór muzyczny, dziennikarka pierwsze pytanie kieruje do mnie. Pyta, dlaczego zajęłam się sprawą Niebieskiej Dziewczynki. Wie, że wcześniej zajmowałam się tematami społecznymi, pomogłam połączyć kilka rodzin rozdzielonych adopcją.

– Właśnie, Polu – wtrąca się Sylwia wciąż uniesionym głosem. – Dlaczego zajmowałaś się tematem rozbitych rodzin?

Spoglądam na nią, marszcząc brwi. Jest w niej agresja, której jeszcze nie znam.

– W Syrii, dokąd wcześniej wyjechałam jako korespondentka wojenna… – zaczynam, ale mi przerywa.

– Nie, nie, Polu. – Naciska, a jej dłonie zwinięte w pięści bezradnie uderzają o blat biurka. – Powiedz, dlaczego interesowały cię rozbite adopcją rodziny. Miałaś znajomych z podobnymi problemami?

Przez chwilę nie wiem, co odpowiedzieć. Nie odrywam od niej oczu. Kompletnie mnie zaskoczyła.

– Zastanów się – nalega coraz bardziej histerycznie. – Zrobiłaś tak wiele dla obcych rodzin, a co z twoją rodziną? Macie dobre relacje? Jesteś szczęśliwa?

– Ja… – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Ogarnia mnie obawa, że Sylwia nie zdaje sobie sprawy z tego, w jak czułą uderzyła strunę.

– Dzwoni do nas słuchacz z Torunia. – Marysia łagodnie kieruje rozmowę na bezpieczniejsze tory.

W miarę jak audycja zbliża się do końca, spojrzenia, raz moje, raz Sylwii, podnoszą się na zegar wiszący na ścianie. Z każdym kolejnym telefonem Sylwia robi się bardziej nerwowa. Najpierw zauważam tylko zaciskające się palce i trochę podniesiony głos, potem dochodzą wypieki na policzkach i coraz bardziej rozbiegany wzrok. Ja też się denerwuję. Zamiast słuchać audycji, myślę o pytaniu Sylwii skierowanym do mnie. Dzięki Bogu, że nie musiałam na nie odpowiadać na antenie. Tak, zajęłam się szukaniem rodzin rozdzielonych adopcją i powodem były nie tylko zlecenia z telewizji. Łącząc obce rodziny, miałam wrażenie, że zszywam pęknięcia we własnej. Próbuję nie zastanawiać się nad tym, ale wraca poczucie

obcości, które zawsze mi towarzyszyło, upiorna myśl, że cokolwiek bym zrobiła i jak bardzo bym się starała, nigdy nie będę tak mocno kochana przez rodziców, jak mój brat.

– To już ostatni słuchacz, który zabierze głos w naszej audycji – mówi Marysia, ale rzuca mi czujne, znaczące spojrzenie.

Od razu wiem, dlaczego tak patrzy. Na linii rozlega się już znajomy niski ton.

– Nie chcieli mnie z tobą połączyć – żali się kobieta bełkotliwie.

Spoglądam na Sylwię. Prostuje się, nerwowo rozgląda na boki, a potem wolno podnosi głowę; usta ma lekko rozchylone.

– Mama?

Niemal słyszę, jak Jacek wymawia pod nosem: „Kurwa!". Dobiega do mnie to wyraźne słowo:

– Mama?

Pochylam głowę, zamykam oczy i przyciskam kostki dłoni do warg.

– Czy wciąż jest pani z nami? – pyta Marysia.

Gdzieś z otchłani dobiega kobiecy lament przypominający śpiew:

– Moja córeczka nie była jak inne dzieci…

Mam wrażenie, że kobieta mówi do siebie, do wszystkich.

– Była kochana.

– Okej – uspokaja cicho Marysia.

– Miała wszystko, co mogłam jej dać.

Przez chwilę słyszymy tylko nasze oddechy.

– Ale nie mogłam dać jej wszystkiego, co dziecku jest potrzebne.

W napięciu słucham kolejnych słów: kobieta obiecuje, że zgłosi się na badania, chciałaby pomóc Sylwii, na pewno będą zgodne. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę, a Sylwia, z rozchylonymi ustami, zdaje się chłonąć każde słowo.

– Proszę zostawić numer – prosi, gdy kobieta na chwilę milknie. Trzęsie się jej broda, wygląda, jakby zaraz miała stracić przytomność. – Zadzwonię. Na pewno zadzwonię…

– Chyba rozumiesz, Sylwio, że to, co powiedziała ta kobieta, mogło się odnosić do innej osoby? – pytam po audycji, kiedy wychodzimy ze studia, ale Sylwia najwyraźniej mnie nie słucha.

Niczym ślepiec zakłada buty i czapkę i zmierza do drzwi. Jest tak zatopiona w myślach, że muszę ją przytrzymywać za łokieć, żeby nie uderzyła się o futrynę albo nie spadła ze schodów.

Z Marysią prowadzimy ją do samochodu, pomagamy jej usiąść na tylnym siedzeniu, a Jacek chowa kamerę do bagażnika.

– Zostawiła adres? – Tylko to ją obchodzi.

– Nie, ale powiedziała, że zgłosi się na badania. Jeśli to ona i jest z tobą zgodna, dowiesz się o tym w najbliższych dniach – mówi dziennikarka jak do upośledzonego człowieka.

– Sylwio – zaczynam, ale rzuca mi lodowate, wściekłe spojrzenie.

– Mogę prosić o jej numer? – syczy gniewnie.

Kiedy Marysia przynosi ze studia kartkę, na której zapisała numer słuchaczki, Sylwia zaciska ją w palcach jak cenny klejnot i odwraca twarz do okna, jasno pokazując, że nie zamierza ze mną o tym rozmawiać. Zamyka się w sobie, to, co się stało, wydaje się ponad jej siły.

Wysiadamy pod jej kamienicą. Sylwia ciągle zachowuje się jak robot, wydaje się oszołomiona, kołysze się na piętach. W mieszkaniu od razu sięga po telefon i wykręca numer,

nie odpowiadając na pytania Andrzeja, czy wszystko w porządku. Zauważam jej spojrzenie – w oczach ma panikę.

Odruchowo łapię Andrzeja za ramię i odciągam na bok.

– Wybij jej to z głowy – szepczę. – To wariatka, może ją zwodzić. Umówi się z nią i… Wybij jej to z głowy, zanim będzie za późno! Pijana, bełkotliwa baba!

Ale Sylwia już zdążyła się połączyć. Rozmowa, której nie potrafiła przeprowadzić na antenie, teraz zaczyna płynąć.

– Chcę się z panią spotkać – mówi piskliwie, a w jej głosie pojawia się nieznany mi jeszcze dziecięcy zaśpiew. Pochyla głowę, kołysze się, jakby tańczyła. – Dobrze… dobrze…

Pocieram czoło. Myślę, że to średniowieczna tortura – żarliwy głos pijanej kobiety, która podaje się za twoją matkę.

Andrzej obejmuje się ramionami, jakby zrobiło mu się zimno. Zamiast na Sylwię patrzy na mnie. Sylwia kładzie kartkę na kolanie i po omacku szuka długopisu na lodówce. Nie znajduje go i przez chwilę wygląda, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. Podaję jej swoje pióro, a ona zapisuje adres miejsca, gdzie ma się jutro spotkać z kobietą.

– Pierdolę… – szepcze Andrzej i pociera oczy, jakby chciał się przebudzić ze złego snu.

Ja też nie mogę na to patrzeć. Na palcach zakradam się do pokoju Mai. Dziewczynka śpi otoczona ciepłym światłem lampek rozpiętych na oknie. Gwiazdy na suficie już trochę zbladły, chwilę zajmuje mi więc znalezienie tej, którą Sylwia podarowała córce. Siadam na dywanie i nie odrywam oczu od sufitu. Nocne niebo. Bajkowe. Mgławice, gwiazdy i fałszywy księżyc.

– Polu?

Musiałam przysnąć z głową opartą o materac Mai. Budzi mnie dotyk Andrzeja. Mężczyzna kuca obok, w mroku jego oczy wydają się ciemne i głębokie.

– O której się z nią umówiła? – pytam szeptem, prostując bolące ramiona.

– Nie chce kamer przy tym spotkaniu – odpowiada Andrzej równie cicho.

Patrzymy na siebie jak dwoje winowajców spiskujących za plecami Sylwii.

– Myślisz, że to naprawdę ona? – pyta Andrzej.

– Nic nie myślę. Poważnie.

Jest niewielka szansa, by tamta kobieta okazała się matką Sylwii. Jeśli mimo wszystko tak się stanie, to samo nagranie z radia będzie mocne. Prawie widzę krzyczące nagłówki w mediach, zachwyt Mariusza nad materiałem, który mu przekażę, i moment, potem wielokrotnie odtwarzany na YouTubie, gdy Sylwia, słysząc w głośniku głos swojej matki, podrywa głowę z wyrazem przerażenia w oczach, z rozchylonymi ustami.

– Chodź. – Andrzej pomaga mi wstać. Z bliska czuję delikatny zapach męskich perfum, a jego dłonie okazują się gorące i suche.

– Sylwia już śpi? – Coś w nim mnie peszy. Zamiast więc na niego patrzeć, ogarniam wzrokiem pokój Mai: upięte po bokach firanki, lampy księżyce, bajkowy świat wróżek, ciepłą poświatę gasnących na suficie gwiazd.

– Jest wyczerpana. – Andrzej przystaje, a ja bezwiednie robię to samo.

Martwi mnie spokój, który odnajduję w ciszy panującej między nami. Taki spokój odczuwa się w relacji z kimś bliskim, z przyjacielem, a przecież Andrzeja prawie nie znam.

– Jutro czeka ją ciężki dzień, więc bądź przy niej, Polu – prosi.

– Dobrze, pojadę z nią. – Powinnam tam być jako dziennikarka, ale kiedy tak stoję przy Andrzeju, dociera do mnie, że zrobię to, ponieważ zależy mi na ich rodzinie.

29

Współcześnie

Mój brat dzwoni kilka minut po dziewiątej, akurat kiedy Sylwia przekręca kluczyk w stacyjce, a ja przypinam się pasem na siedzeniu pasażera.

– Mam dla ciebie wiadomość – wyjaśnia dość oficjalnym tonem.

Ruszamy z parkingu, a on czyta informacje, zgodnie z którymi Monika Stefaniak wyszła za mąż i obecnie nazywa się Monika Kurowska. Ostatni jej meldunek pochodzi sprzed kilku lat. Adam podaje dokładny adres, pod którym mogę znaleźć kobietę. To niedaleko Gdańska. Pospiesznie sięgam po długopis i zakreślam miejsce na mapie samochodowej, a potem spoglądam na adres, który wczoraj zapisała Sylwia.

– Więcej mnie nie wykorzystuj do takich rzeczy – kończy Adam równie oficjalnie, jak zaczął, ale wyczuwam, że wcale nie jest tak zły, jak próbuje pokazać.

Mocno ściskam telefon. Choć moje ręce są skostniałe, mam wrażenie, jakby zaraz miały się stopić niczym czekolada.

– Sylwio, to ona – mówię na jednym oddechu. Adres się zgadza. Jedziemy do miejscowości, z której dzwoniła ta kobieta podczas audycji.

Wysiadamy przy oplecionej pnączami bramie, za którą znajduje się park. Rozciąga się zaledwie trzy przecznice od miejsca zamieszkania matki Sylwii, ale kobieta wolała się spotkać tutaj. Zostawiamy samochód i piechotą mijamy bramę, od której wyboista ścieżka prowadzi do niewielkiego amfiteatru ustawionego na środku parku. Znam to miejsce – kiedyś odbywały się tutaj potańcówki i koncerty. Moi rodzice przyjeżdżali tu jeszcze jako młodzi ludzie, widziałam zdjęcia z tego okresu: mamę w taftowych spódnicach i tatę w koszulach i krawatach. Z tym parkiem wiążą się same dobre wspomnienia: tutaj rodzice się poznali i tu się zaręczyli. Tu mama przychodziła z wózkiem, w którym spałam jako dziecko.

Jest tak zimno, że poza nami nie ma innych spacerowiczów. Z naszych ust wydobywa się para, Sylwia rozgląda się wokół, a moje spojrzenie pada na gołębie szukające ziarna w głębokim śniegu.

– Która godzina? – pyta Sylwia.

– Jesteśmy punktualnie.

Park nie wydaje się duży, ale ma swoje zakamarki. W jednym z nich stoi potężna figura anioła wykuta w kamieniu, otoczona wysokim żywopłotem. Drugie miejsce, gdzie można się przyczaić, stanowią zagajniki wokół drzew sprowadzonych tutaj z odległych zakątków świata.

„Klon jesionolistny”, czytam drobne litery wyryte na niewielkiej metalowej tabliczce umieszczonej pod jednym z drzew. Występuje w Ameryce Środkowej i Ameryce Północnej. Na górnych gałęziach klonu leży śnieg. Słyszę szczekanie psa. Kilku psów. Sylwia podchodzi do kamieni ułożonych jedne na drugich, tak że tworzą coś w rodzaju kopca.

– Jak tu ładnie – mówi. Chwilę później dodaje wzburzonym tonem: – Ona nie przyjdzie.

Przez igły sosen i nagie gałęzie drzew prześwituje słońce. Dostrzegam mężczyznę, który prowadzi dwa psy na smyczy. Osłaniam rękami oczy, żeby dojrzeć, czy idzie za nim ktoś jeszcze, ale to tylko cienie drzew na śniegu tworzą wrażenie ruchu.

– Jest tchórzem – dobiega mnie głos Sylwii.

Kiedy na nią patrzę, śmieje się sama do siebie, jak z dobrego żartu.

– Jest taka sama jak ja. Cholerny tchórz!

Martwi mnie, nie wiem, co dzieje się w jej głowie.

– Przecież się z tobą umówiła, Sylwio. Jeśli nie przyjdzie, będzie to znaczyło, że nie chciała się z tobą spotkać!

Moje spojrzenie uważniej przebiega po zacienionych miejscach i takich, gdzie łatwo można się ukryć. Plątanina cieni na śniegu kolejny raz dezorientuje moje oczy. Zastygamy w bezruchu, gdy do parku wchodzi wysoka kobieta pchająca wózek z dzieckiem. Poddaję się złudzeniu, że to matka Sylwii, dopiero po chwili przychodzi rozsądna myśl: kobieta jest o wiele za młoda, nie mogłaby mieć dorosłego dziecka.

– Dopiero dwie minuty po czasie – informuję, bo Sylwia nerwowo przestępuje z nogi na nogę. – Ludzie nie są aż tak punktualni.

– Ale to nie jest zwykłe spotkanie, do cholery – odpowiada Sylwia z rozpaczą.

Odczekuję jeszcze chwilę. Temperatura ciągle spada, powietrze z każdą minutą staje się wilgotniejsze, a słońce, jeszcze niedawno rozświetlające park, chowa się za drzewami. Tupię nogami w śniegu, rozgrzewam dłonie, chuchając na nie, ale to nie pomaga. Zimowy poranek zdaje się nie mieć końca.

– Nie chcę tu być – stwierdza nagle Sylwia, okręcając się na palcach. Twarz ma niemal popielatą, cała się trzęsie. – Wracajmy! Teraz! Już!

Rozchylam usta, żeby coś odpowiedzieć, i w tym momencie dostrzegam zgarbioną postać, która nadchodzi od północy, nie główną drogą, tylko wąską ścieżką prowadzącą zza figury anioła. To rodzaj przeczucia, od razu wiem, kim jest. Patrzę na nią, patrzę na matkę Sylwii, z daleka dostrzegam, że wcale nie ma jasnych włosów tak jak Sylwia, tylko czarne, długie. Nie mogę złapać oddechu. Sylwia też ją słyszy. Wpatruje się we mnie, jakby chciała się upewnić, czy to prawda, czy jeśli się obróci, tamta kobieta nie zniknie.

– Sylwio, twoja matka – mówię. Nie wierzę, że to mówię.

Ona też nie wierzy, obraca się i patrzy na tamtą kobietę, a tamta kobieta staje w miejscu. Ani jedna, ani druga się nie porusza. Jakby czekały, która pierwsza coś zrobi.

– Wzięłam go ze sobą – odzywa się w końcu matka Sylwii niewyraźnie, co uświadamia mi, że wymawia słowa w ten sposób nie z powodu wypitych drinków, tylko z powodu choroby, może udaru, który spowodował opadnięcie kącika ust.

– Co takiego? – pyta Sylwia, nie podchodzi jednak bliżej.

Matka sięga do kieszeni płaszcza i wyciąga akt urodzenia.

Patrzę na nią, w pełni chłonąc sytuację, której stałam się świadkiem. Wydaje mi się, że tkwimy w wielkiej ciszy, ale przecież to nieprawda. Nie ma żadnej ciszy. Za bramą parku jeżdżą samochody, chodzą ludzie, Sylwia szura nogami w śniegu, słyszę szybkie i głośne bicie swojego serca, a potem spoglądam na Sylwię jeszcze raz i uświadamiam sobie, że ona płacze z dłonią przyciśniętą do czoła. Po policzkach płyną jej łzy, usta ma otwarte. Nie wiem, co zrobić, jak jej pomóc, więc po prostu stoję w bezruchu. Wreszcie Sylwia odzyskuje panowanie nad sobą, ociera łzy i odwraca twarz do matki, wysoko unosząc brodę.

– Joasia – mówi kobieta tak niewyraźnie, że tracę pewność, czy dobrze ją zrozumiałam.

– Kto? – pyta Sylwia roztrzęsionym głosem, ale ciągle stoi w miejscu, jakby od matki oddzielała ją bariera nie do przebycia. – O czym pani mówi?

Kobieta wykonuje ruch, jakby chciała odejść. To sprawia, że Sylwia jednak do niej podchodzi. W śniegu zostają ślady. Odczuwam pokusę złapania jej za rękaw, chcę ją ostrzec: „Nie rób tego, ta kobieta żeruje na twoich emocjach! Jesteś takim łatwym łupem, Sylwio!

Niczego o niej nie wiesz! Kiedyś cię urodziła, ale teraz to obcy człowiek!”. Ale jest już za późno.

– Twoja siostra – odpowiada matka Sylwii, unosząc głowę znad aktu urodzenia. – Nazywała się Joasia.

30

Współcześnie

Nie da się nadrobić straconego czasu. Nie można też w kilku słowach opowiedzieć całego życia. Sylwia wpatruje się w akt urodzenia, jakby nie mogła się nadziwić, że to prawda. Ja nie mogę się nadziwić, że to prawda, i nawet teraz ogarniają mnie wątpliwości. W tym czasie matka Sylwii próbuje wyjaśnić, co się stało.

Opowieść nie przychodzi łatwo. Kobieta potyka się o słowa, cofa się, próbuje postawić siebie w jasnym świetle.

– Nie wiem, gdzie jest teraz Joasia – mówi tak, jakby było jej przykro.

Spoglądam czujnie na Sylwię i widzę, że mięknie.

„Nie rób tego – myślę. – Nie ufaj jej".

– Gdzie ją pani oddała? – pyta Sylwia i podsuwa mi dokument do obejrzenia.

Kartkuję strony, spoglądam na dwa żeńskie imiona. To nic nie znaczy. Dziecko mogło umrzeć po porodzie. Mogło się wydarzyć tysiąc rzeczy, które sprawiły, że jeszcze nie trafiłam na ślad Joasi.

– Możemy spróbować ją odszukać. – Sylwia już nie jest zrozpaczona, jej oczy rozjaśnia niezdrowy blask szczęścia i nadziei. Widzę, że łaknie słów tej osobliwej, noszącej ciemne ubrania kobiety, już jej wierzy, już ufa, w myślach pewnie wybudowała solidny most, który połączy je na nowo. – Pola nam pomoże. Jest świetną dziennikarką, dzięki niej mogłyśmy się tu spotkać…

Monika Stefaniak patrzy na mnie jakoś dziwnie, wydaje mi się, że wcale nie zachwyca jej perspektywa szukania dziecka. Bez uprzedzenia rusza w stronę pomnika. Sylwia podrywa się za nią. Zostaję w tyle. Spoglądam na kamienie ułożone w kopiec i ogarnia mnie złe przeczucie. Niczego o tej kobiecie nie wiemy. Wyszła z więzienia, ciągle jest w niej jakiś mrok.

– Pójdziemy do pani domu? – pyta Sylwia miękko. Widzę, jak wysuwa dłoń, jakby chciała pogłaskać tę kobietę, dotknąć, poczuć, że jest tu naprawdę.

Monika Stefaniak przyspiesza kroku i teraz wygląda to tak, jakby Sylwia ją goniła.

– Tam nie ma nic do oglądania.

– Ale chciałabym poznać pani… nową rodzinę…

Patrzę na ich dłonie, teraz zwieszone blisko siebie. Sylwia porusza palcami, jak mała dziewczynka chciałaby, by wziąć ją za rękę.

Przychodzi mi do głowy, że może to wszystko jest jakąś cholerną mistyfikacją albo że kobieta zabiła tamto dziecko i dlatego tu teraz jesteśmy. Pomnik, gdyby był mniejszy, mógłby się przecież znajdować na nagrobku. Anioł otulający skrzydłami dziecko idące do nieba. „Po co kobieta nas tu zaprosiła? Teraz już nie podobają mi się kamienie usypane w kopiec. Kiedy to powstało? – zastanawiam się. – Trzydzieści lat temu? Czy jeśli rozkopię śnieg pod kamieniami, znajdę grudkowatą rdzawą ziemię, która normalnie powinna się znajdować pół metra niżej?"

Robi mi się niedobrze, żołądek podchodzi mi do gardła.

A Monika Stefaniak raptownie zmienia zdanie.

– Tak, możemy pójść do mnie – stwierdza, patrząc na zegarek, jakby sobie o czymś przypomniała.

Już od progu widzę, że musi mieć rodzinę. Inaczej nie ustawiłaby aż sześciu krzeseł wokół stołu. I te fotografie…

– To pani… bliscy? – Sylwia zadziera głowę, wpatrzona w zdjęcia wiszące w rzędzie na ścianie.

Fotografie powinny ją zranić, wiem, że wiele by dała za chwile takie jak te uwiecznione aparatem: plażowanie, pikniki na trawniku, Pierwsza Komunia, w której uczestniczy matka.

– To… – Sylwia wskazuje jedno ze zdjęć, na którym znajduje się nastoletni chłopiec, ale słowa nie chcą jej przejść przez gardło. Emocje zabarwiają policzki. Porusza ustami, formując pytanie, którego przecież nie wypowie.

– Moje dzieci – odpowiada Monika Stefaniak tak, jakby mówiła o czymś wstydliwym. – Wyszłam za mąż.

Z upiornym wrażeniem, że Sylwia nie powinna tego widzieć, przyglądam się fotografii chłopca. Nie jest podobny do Sylwii ani do matki. Wysoki nastolatek w sportowej kurtce i czapce z daszkiem trzyma w rękach piłkę do koszykówki.

– Kiedyś trochę grałam – bąka Sylwia, nagle tracąc całą pewność siebie.

„Jezu, dziewczyno – myślę – chyba nie liczysz na to, że pewnego dnia zagracie razem?"

Wszystko, czego kobieta jeszcze nie powiedziała, dla mnie stało się już jasne. Rozglądam się po ciasnym wnętrzu. Zauważam zdjęcie dziewczynki. Jest ledwie o kilka lat starsza od Mai: jasne włosy przypominają mi włosy Sylwii, obie mają ten sam wyraz oczu, trochę sine powieki, tak samo ciepły szeroki uśmiech.

Sylwia też zauważa zdjęcie i podchodzi do niego jak pijana.

– To moja przyrodnia siostra? – W jej głosie pojawia się pełna niedowierzania radość, ale już przy końcówce zdania opada.

Nie chcę na nią patrzeć, więc rozglądam się po wnętrzu. Przytulnie tu, miło. Pomieszczenie chyba nie zostało zaprojektowane według planu, sprawia wrażenie, jakby wraz z mijającymi latami przybywało w nim przedmiotów i pamiątek. Może dlatego ma się ochotę tu przebywać. Jest tak… rodzinnie. Przychodzi mi do głowy, że właśnie tak powinien wyglądać normalny dom.

Sylwia przesuwa rękami po oparciu krzesła, jakoś nieporadnie idzie w głąb pokoju.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam – mówi, a Monika Stefaniak pochyla głowę i wpatruje się w swoje buty. – Czym się zajmujesz? – pyta Sylwia, na siłę podsycając zainteresowanie w głosie.

– Pracuję w sklepie z pamiątkami. Prowadzi go mój mąż.

Córka Moniki uśmiecha się trochę rozpaczliwie.

– Jak go poznałaś? Opowiesz mi?

– To było krótko po wyjściu z więzienia. Wciąż byłam młoda i…

– Kiedy wyszłaś z więzienia? – Sylwia wychyla się do niej, jakby chciała wyjrzeć przez okno.

Monika Stefaniak wzrusza ramionami.

– Spędziłam tam cztery lata – mówi. – Potem było ciężko. To jak etykieta przypięta do ubrania.

– Cztery lata – powtarza Sylwia jak echo. Widzę po niej, że nie spodziewała się takiego przebiegu wydarzeń.

Z tego, co wiem, kiedy miała osiem lat, mieszkała już u Kaszmir. Prawdopodobnie nikt jej nie powiedział, że Monika Stefaniak właśnie wyszła z więzienia po odbyciu kary i rozpoczyna

nowe życie. Jestem więcej niż pewna, że w tamtym czasie Sylwia ciągle o niej myślała, może nawet na swój naiwny, dziecięcy sposób czekała na powrót matki.

Tymczasem Monika Stefaniak była już wtedy tutaj.

– Nikt nie chciał dać mi pracy, bo miałam w papierach więzienie. Nie mogłam tego ukryć – opowiada takim tonem, jakby oczekiwała współczucia. Spogląda na zdjęcie swojego męża stojące na komodzie obok fotografii syna. – On mnie przyjął. Powiedział, że przeszłość można oddzielić od teraźniejszości grubą kreską.

Sylwia jeszcze próbuje walczyć, kolejny raz przymusza usta do uśmiechu i mówi łagodnie, ciepło:

– Pamiętam tamten dzień, kiedy poszłyśmy na bulwar. Na barierce usiadł motyl…

Nie muszę patrzeć na Monikę, by wiedzieć, że jej mózg niemal dymi, szukając tamtego wspomnienia.

– Na bulwar? – Dziwi się. – Kiedy?

Myślę, że szczęście jest egoistyczne, każdy szuka go tylko dla siebie. Sylwia zachowała w pamięci kilka chwil z matką i schowała głęboko, by zostały z nią na zawsze. Okazuje się, że były ważne tylko dla niej.

– Czasami coś nie wychodzi i wtedy trzeba zacząć jeszcze raz – mówi nieporadnie matka Sylwii, zbolałym głosem, który słyszałam w radiu.

Nie chcę tego słuchać. Robię się nerwowa, coraz częściej spoglądam na drzwi.

– To tak jak z przeprowadzką. Nie wyjdzie ci w jednym miejscu, więc jedziesz gdzie indziej.

Mam dość. Ale Sylwia się nie poddaje.

– Poszłyśmy na bulwar, byłaś zamyślona i nie zauważyłaś, że ludzie cię szukają. Co się stało wcześniej?

– Sylwio, powinnyśmy już iść – mówię.

Nie zwraca na mnie uwagi.

– Poddam się badaniom – zapewnia Monika Stefaniak. Nie chce rozmawiać o bulwarze. Znowu spogląda na zegarek, teraz już nerwowo. Przychodzi mi do głowy, że może syn albo córka niedługo wrócą do domu i Stefaniak chciałaby, żebyśmy już sobie poszły. – Chcę pomóc. Naprawdę. Zrobię, co mogę.

Sylwia nie odpowiada, dłoń przyciska do ust. Myśli, jak ująć w słowa to, co niewypowiedziane.

– Tam są pokoje dzieci? – pyta nagle i zanim jej matka może zaoponować, już jest w przedpokoju.

Porusza się szybko, nerwowo. Szarpnięciem otwiera pierwsze drzwi i zagląda do środka, a ja, gnana ciekawością, niemal biegnę za nią.

Otworzyła pokój nastolatki. W oczy rzucają mi się plakaty Beyoncé i Taylor Swift. Na półkach leżą puzderka na biżuterię i mnóstwo płyt. Nastolatka nie dba o porządek, ubrania zostawiła przewieszone przez krzesło, na dywanie leżą porozrzucane kapcie i skarpetki.

Sylwia szybko przechodzi do drugiego pokoju. Raptownie naciska klamkę kolejnych drzwi i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w plakaty lokalnego zespołu piłkarskiego i wiszący na ścianie wielki proporzec Barcelony. Wchodzi głębiej, jej palce biegną po stojących na półkach płytach. Mówi:

– Patrz, on też lubi Muse… Moglibyśmy się dogadać.

– Sylwio, jedźmy do domu – powtarzam.

Rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– Czy oni też poddadzą się badaniom na zgodność ze mną? – pyta głośniej i odwraca się do Moniki, która przyszła za nami i teraz stoi w progu z dziwnym, zbolałym wyrazem twarzy. – Mogę na nich liczyć? – powtarza Sylwia z naciskiem, gdy nie słyszy odpowiedzi.

Monika Stefaniak w końcu kiwa głową, jakby wybijała rytm do muzyki.

– Tak, poproszę ich – bąka.

– Mamo?

Uderza mnie lód bijący od tego słowa.

Monika Stefaniak oblizuje usta i pytająco patrzy na córkę, a Sylwia oddycha głęboko, jakby badał ją lekarz.

– Mamo, czy oni wiedzą o mnie i o Joasi?

Chciałabym zniknąć, stać się niewidzialna, rozpłynąć się w powietrzu i zmaterializować dopiero kilka kilometrów stąd. Myślę, że nigdy nie uda mi się zapomnieć napięcia, które powstało pomiędzy Sylwią i matką. A potem maska spada na podłogę i z brzękiem rozbija się przy stopach Moniki Stefaniak.

– Nie chcę, żeby się dowiedzieli.

W głosie Sylwii słyszę już tylko tężejący lód.

– Pamiętam, co się stało, zanim poszłyśmy na bulwar, mamo. Wcześniej byłyśmy w pociągu, prawda? Jechałyśmy z Gdańska do Gdyni…

Monika Stefaniak patrzy, jakby nic nie rozumiała. Potrząsa głową, najpierw raz, a potem drugi. Sylwia pociera skronie. Mam wrażenie, że zaraz stanie się coś okropnego.

– To, czego nie chcę pamiętać, mamo – mówi i śmieje się nerwowo – ty też wolałabyś zapomnieć, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Monika się broni. Broni się bez przekonania. W jej oczach widzę strach.

– Ależ wiesz! Byłam z tobą! – Teraz Sylwia właściwie krzyczy. – Jechałyśmy pociągiem do Gdyni, powiedziałaś, że pójdziemy na bulwar, ale zabrałaś tam tylko mnie! Joasię zostawiłaś w pociągu, kazałaś jej zamknąć oczy, a mnie złapałaś za rękę! Jak mogłaś, mamo?! Co z ciebie za człowiek?! Kim ty w ogóle jesteś?! Bawisz się w Boga?! Ty nie masz serca!

Siedzimy w samochodzie na parkingu pod bramą parku. Sylwia bębni palcami o kierownicę, chociaż nie gra żadna muzyka. Przez przednią szybę widzę anioła górującego nad niższą roślinnością, dziwnie szarego na tle czystego śniegu.

– Całe lata o tym nie pamiętałam. – Sylwia zaciska powieki. – Jestem taka zmęczona, Polu. Tak okropnie zmęczona.

Kiedyś ktoś mi powiedział, że dorośleje my, kiedy potrafimy wybaczać. Skoro tak, to dzisiaj obie z Sylwią jesteśmy głupimi smarkulami. Dotykam jej kolana, a potem ręki.

– Sylwio, masz wspaniałą rodzinę, ale nie tutaj. Twoja rodzina czeka w domu.

„Ciągle ich nie zauważa – myślę. – Nie widzi Mai, Andrzeja i Kaszmir. Wieczne dziecko zaślepione urokiem matki”.

Sylwia zakrywa twarz rękami.

– Jak mogłam zapomnieć? – szepcze. – Byłam z nią w pociągu, trzymałyśmy się za ręce… Mój Boże, co ta kobieta zrobiła? Co ona zrobiła nam wszystkim?! – Nagle zaczyna płakać. – Nie potrafię jej wybaczyć. Nie mogę znieść myśli, że naprawdę to zrobiła, a teraz żyje normalnie i… Zobacz, jaką mam dużą rodzinę! Nigdy bym nie pomyślała, a teraz nawet jej nie

poznam.

Ostatni raz widzę Sylwię w drzwiach mieszkania, kiedy podaje mi kilka rzeczy. Nagrała dla mnie płyty i uważa, że powinnam je zabrać.

– Masz tam też listę utworów od Kaszmir – dodaje, wsuwając mi w ręce dwie koperty. – Przygotowuje je dla każdego, kto jest dla nas ważny. Tę listę przysłała z Anglii. Jest ci taka wdzięczna za pomoc. Kiedy przyjedzie do nas w odwiedziny, na pewno będzie chciała się z tobą spotkać. – Wkłada mi do rąk drugi pakunek. – A to list, który do ciebie napisałam. Ale obiecaj, że przeczytasz dopiero, kiedy będziesz w domu.

Ogarnia mnie złe przeczucie: Sylwia rozdaje swoje rzeczy. Trochę tak, jakby dawała je w testamencie. Próbuję wyczytać z jej twarzy właściwy przekaz, ale dzisiaj uśmiecha się i wydaje się szczęśliwa, pogodzona z losem.

– I jeszcze jedna niespodzianka dla ciebie. Maja zrobiła laurkę; zobacz, jaką ładną.

Ostatni upominek odbieram z rąk dziewczynki. Wtedy już wiem na pewno, że więcej się nie zobaczymy.

– Idź, bo się spóźnisz – dodaje Sylwia wciąż z uśmiechem, który wydaje mi się podejrzany, zważywszy na to, że żegnamy się ledwie trzy godziny po jej spotkaniu z biologiczną matką.

Przytulam do siebie dziewczynkę, a potem także Sylwię. Pod rękami czuję wiotkie ciało kobiety. Słyszę jej oddech, czuję bijące od niej słabe ciepło.

– Sylwio, uważaj na siebie – proszę trochę rozpaczliwie.

– Wszystko będzie dobrze, Polu – zapewnia, jakby to mnie należało pocieszyć.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, o czym myślę.

Śmieje się rozbawiona.

– Nic mi nie będzie. Wszystko jest dobrze, przecież wiesz.

– Obiecaj, że gdyby coś jej się stało, zadzwonisz – proszę Andrzeja, gdy na dworcu podaje mi walizkę w drzwiach pociągu. Wbijam w niego wystraszone oczy, mam wrażenie, że dzieje się coś okropnego. – Będę jej dalej szukać – zapewniam. – Jeśli trafię na jakikolwiek ślad, odezwę się do was. Za kilka dni na pewno przyjdzie wreszcie odpowiedź z sądu…

Andrzej stoi na peronie jeszcze wtedy, gdy pociąg nabiera prędkości: wysoki, trochę zgarbiony mężczyzna wsuwa zmarznięte ręce do kieszeni kurtki, a potem z pochyloną głową zmierza do hali dworca, podczas gdy ja wciąż tkwię w oknie.

31

Współcześnie

Reportaż o Sylwii zostaje wyemitowany w niedzielę wieczór w programie, który kiedyś prowadziłam. Dokładam drewna do kominka i spoglądam na ekran telewizora, gdzie Maja właśnie buja się na oponie przyczepionej sznurkiem do gałęzi drzewa i unosi kciuk, uśmiechając się do kamery.

Tęsknię za nią. Wcześniej dzieci zlewały mi się w jedną żywą, rozkrzyczaną masę, ale ona wybiła się z tego tłumu. Już wiem, jak pachnie, jakie bajki lubi najbardziej, że rzeczy, które widzi po raz pierwszy, nazywa rzeczami Mai. A przez to, że wiem, Maja stała się ważna.

„Dziecko może przestać mówić, może nie chcieć wstać. Odejście najważniejszej osoby może zaburzyć cały jego rozwój", opowiada sąsiad Sylwii w reportażu.

Sylwię uchwyciliśmy na świeżym powietrzu, kiedy zza chmur wyszło słońce. Przez to cała jej postać wydaje się owiana blaskiem, skóra jest jasna i błyszcząca, a kiedy Sylwia się uśmiecha, wygląda jak ktoś bardzo szczęśliwy. Poprosiłam Jacka, żeby przeciągnął to ujęcie przez kilka sekund, dopiero po nim, kiedy widzowie już nasycą oczy Sylwią, zobaczą kobietę w jej mieszkaniu, ubraną w błękitną bawełnianą czapkę, zajętą domowymi pracami.

W wiadomościach temat Niebieskiej Dziewczynki ciągle robi furorę i tak jak się tego spodziewałam, film nagrany w radiu ma już kilkadziesiąt tysięcy odtworzeń, a ich liczba rośnie z każdym dniem. Ludzie lubią, gdy dramaty mają dobre zakończenie.

Jak na razie żaden dziennikarz nie dotarł jednak do pełnych informacji o biologicznej matce Sylwii. Wiedzą, jak się nazywała, gdy porzuciła córkę, ale nikt nie ma pojęcia, jakie przybrała nazwisko i gdzie jej szukać. W mediach mówi się o niej jako o nieszczęśliwej kobiecie, która zbyt młodo zaszła w ciążę i nie dała rady wychować dzieci. Pomija się informację, w jaki sposób ta kobieta porzuciła Sylwię, i dziwi mnie, że nikt nie mówi już ani słowa o tym, że porzuciła też drugie dziecko. Domyślam się, że media zapłaciłyby Sylwii duże pieniądze za wywiad, w którym zdradziłaby tożsamość biologicznej matki. Gdybym przy niej była, doradziłabym: „Pieprz ją! Powiedz światu, kim jest! Niech jej rodzina otworzy oczy!". Ale Sylwia milczy, pewnie przez wzgląd na swoje nowe rodzeństwo. Informuje natomiast, że biologiczna matka poddała się badaniom.

Z internetu dowiaduję się też, że Sylwia znalazła zgodnego dawcę szpiku. To zmienia cały mój dzień. Od rana byłam apatyczna i senna, ale teraz mogłabym przenosić góry. Łapię za słuchawkę i wykręcam numer. Telefon odbiera mała dziewczynka.

– Kochanie, jak się masz? – Walczę z euforią w głosie. – Słyszałam, że twoja mama będzie miała operację.

– Mama jest bardzo szczęśliwa – słyszę piszczącą odpowiedź.

– Czy mogę z nią chwilę porozmawiać? Zawołasz ją?

Dziewczynka woła w głąb mieszkania, a ja słucham znajomych dźwięków.

– Pola? – Głos Sylwii wydaje się odmieniony. Już nie udaje radości, naprawdę ogarnia ją szczęście.

– Kim jest twój dawca?

Furkoczą koperty, które dała mi Sylwia, a ja nie zdecydowałam się ich otworzyć, więc wyjęte z torby podróżnej ciągle leżą na parapecie. Otworzyłam okno i teraz wiatr próbuje

poderwać papier.

– To nie ona – mówi Sylwia i mam wrażenie, że jej uśmiech jeszcze bardziej się rozszerza.

– Więc kto?

– Nie powiedziano mi. Takie mają procedury, dawca jest anonimowy. Ale z tego, co udało mi się wydobyć od lekarza, wnioskuję, że to przypadkowa obca osoba. Nikt z mojej rodziny.

Jej oddech wydaje mi się krótki, ale może po prostu jest zmęczona. Tłumaczy, że obecnie ma infekcję wirusową gardła, lekarze czekają, aż się wykuruje, żeby mogła przejść operację. Już umówiła się do dentysty na usunięcie zepsutego zęba – musi być zdrowa, żeby przeszczep się udał. Istnieje duże ryzyko powikłań, Sylwii zostanie podana silna chemia, by całkowicie zniszczyć komórki rakowe.

– Normalnie mój szpik nie poradziłby sobie z tak silnymi lekami – dodaje, teraz przerywając niemal co dwie sylaby, by nabrać oddechu. – Ale przecież dostanę najlepsze lekarstwo z możliwych: nowy, zdrowy szpik.

Boję się o nią. Chociaż wszystko zmierza w dobrym kierunku, mam przeczucie, że wydarzy się coś złego.

– Więc wszystko u was dobrze? – upewniam się, a Sylwia przytakuje, ale potem wyczuwam, że jej radość ustępuje miejsca napięciu.

– Otrzymałam wiadomość z sądu.

Łapię się na tym, że zaczynam skubać skórkę przy paznokciu.

– Sąd nie zgodził się udostępnić mi danych siostry.

Szelest kopert się wzmaga, wiatr zsunął jedną z parapetu i za chwilę to samo zrobi z drugą.

– Tak mi przykro, Sylwio – stwierdzam. – Będę trzymać kciuki za operację. Daj znać, jak już będzie po wszystkim. I nie martw się, dalej będę jej szukać.

Kiedy wychodzę przed dom, okazuje się, że mój ogród przypomina miękką białą łąkę. Zapada zmierzch, szary i mroźny. Kończę odśnieżać podjazd i ubrana w grube buty i kurtkę podchodzę do schowka z narzędziami. Od kilku dni stawiam tam miski, ale Wilk nie wraca. Przychodzą mi do głowy głupie myśli: Może zginął pod kołami samochodu? Przeniósł się do sąsiedniej miejscowości? Ktoś go zabrał do siebie? Najbardziej boję się, że już nie wróci.

Mariusz chciałby mnie widzieć w Warszawie.

– Wracaj do nas, Polu – mówi przez telefon, który odbieram w drodze na plażę. – Piotra zatrzymam do stycznia, ale później chciałbym oddać program w twoje ręce.

Powinnam się ucieszyć, krzyknąć tak głośno, by mewy, które siedzą na zamarzniętych falach, poderwały się do lotu.

– Niepotrzebnie chcesz go odsunąć – odpowiadam. – Chłopak świetnie sobie radzi. Widzowie przyzwyczaili się do niego, lubią go.

„Kiepska byłaby ze mnie dziennikarka – myślę. – Za bardzo angażuję się w sprawy bohaterów swoich reportaży. Jeśli dalej będę pracować w tej branży, prędzej czy później znowu rozpłaczę się nad porzuconą dziecięcą tenisówką”.

– Wilk – szepczę wpatrzona w zwierzę, które w końcu wychyla się spomiędzy krzaków. – Muszę kończyć – rzucam do słuchawki.

– Odmawiasz mi? – zdumiewa się Mariusz.

– Oddzwonię! – zapewniam, kończąc rozmowę.

Pies jest chudszy, niż zapamiętałam, ma pozlepianą sierść i utyka.

Kucam i wyciągam do niego rękę, a kiedy powoli rusza w moją stronę, mam wrażenie, że

właśnie zrobiłam potężny krok.

„Polu – pisze Sylwia w liście, który tego wieczoru decyduję się otworzyć – powinnaś poznać pewną historię. Dawno temu rodzina Andrzeja znalazła na naszym osiedlu porzucone małe dziecko".

Nie jestem dość odważna. Wilk leżący w przejściu między kuchnią a pokojem właśnie uniósł nerwowo łeb, jakby wyczuł mój niepokój.

„Znalezienie Azy zajęło mi kilka lat – czytam dalej, a moje serce podrywa się do biegu. – Wyrosła na piękną i mądrą kobietę, z przyjemnością śledziłam z boku jej karierę. Zawsze wiedziałam, że historia Azy w jakiś sposób łączy się z moją, ale nie potrafiłam stwierdzić dlaczego. Dzięki informacjom w internecie mogłam obserwować, jak dorasta – z ambitnej uczennicy zmieniła się w studentkę. Jeszcze w trakcie studiów dostała pracę w telewizji, chciała być blisko wielkich wydarzeń, zrobić coś dobrego dla świata, więc wyjechała na Bliski Wschód. Wiem, jak bardzo przeżyła pobyt w Syrii".

Poraża mnie błysk. Jakby ktoś nagle zgasił światło i zaraz je zapalił.

„Kiedy pojawiła się potem w telewizji, była blada, pewnie miała problemy ze snem. Zobaczyłam w niej dziecko, zagubione jak ja kiedyś. Myślałam, że da sobie radę, że jest dość silna, ale Aza, którą w końcu poznałam, panicznie się boi i przez to niszczy wszystko, co mogłoby dać jej szczęście. Dlatego uważam, że przyszedł już czas, by poznała prawdę i mogła iść dalej".

Serce tłucze mi się w piersi, oddycham ustami, chociaż grozi to wysuszeniem gardła i bólem, takim jak wtedy, gdy miałam jedenaście lat i usunięto mi migdałki.

List już się kończy. Sylwia tłumaczy, że nie chce mi sprawić przykrości, ale nikt lepiej od niej nie wie, co czuje Aza. Jakiś czas temu emocje Azy sięgnęły zenitu i rozpłakała się przed kamerami – wcale nie z powodu pary staruszków, którzy zapragnęli zamieszkać z daleka od cywilizacji na małej wyspie. Płakała, ponieważ gdzieś w głębi siebie czuła, że żyje w fałszu i jeśli nie pozna prawdy, dalej będzie stać w miejscu i popełniać błędy.

W pokoju zrobiło się gorąco jak w piekarniku. Wilk wreszcie do mnie podchodzi, akurat teraz, gdy ostatnie, czego chcę, to żeby mnie dotykano. Trąca nosem moje ręce, węszy, zmusza mnie, bym wsunęła palce w jego sierść. Myślę, że powinnam przygotować mu porządną kąpiel. A potem dociera do mnie wszystko, cały list Sylwii. Przychodzą mi do głowy rodzinne zdjęcia, na których pojawiłam się przecież nagle, już jako roczne dziecko, myślę o tacie i mamie, którzy starali się mnie pokochać, ale nigdy nie pokochali tak mocno, jak Adama. Wiem na pewno, że Adam jest ich biologicznym synem – pamiętam noc, kiedy się urodził, i to, co powiedziała mama, gdy dowiedziała się, że zaszła w ciążę. Kucnęła wtedy przede mną, spojrzała mi w oczy i wyszeptała: „Polu, to prawdziwy cud. Nie sądziłam, że to się może zdarzyć".

Zawsze widziałam różnice pomiędzy moim bratem a mną, pomiędzy rodzicami i bratem a mną. Myślę o tym wszystkim i wydaje mi się, że dopiero teraz obudziłam się naprawdę, z krzykiem na ustach.

32

Współcześnie

Sylwia oddycha równomiernie. Wdech–wydech, wdech–wydech… Jeszcze przez chwilę tkwi w głębokim śnie, widzi rozsypane wokół siebie zdjęcia, pocztówki z jej życia: pierwsze spojrzenie Mai, moment, gdy wzięła ją w ramiona i poczuła tak wielkie szczęście, że wydało się aż trudne do udźwignięcia. Budowane z piasku zamki, bańki mydlane unoszące się pod niebo, beztroski śmiech dziecka, pierwsze kroki, dłonie szukające matki, powtarzające się pytania, na które czasem tak trudno było znaleźć odpowiedź: „Co to liść?", „Co to życie?", „Po co są pamiątki, mamo?".

Przypomina się jej fragment dziecięcej piosenki: „Cały dzień zbieramy pamiątki, a przed snem je porzucimy". Nie pamięta, kto to śpiewał, ale porównywał życie do jednego dnia. „Dobry dzień" – myśli Sylwia. Tyle się wydarzyło. Najważniejsi ludzie cały czas z nią byli, czuła, jak mocno ją kochają.

Kiedy teraz rozchyla powieki, w wąskim prześwicie pomiędzy rzęsami dostrzega ich wszystkich stojących za szklanymi drzwiami szpitalnej sali. Przebiega po nich wzrokiem: Andrzej, Maja, nawet Kaszmir przyjechała z Londynu. Teraz już widzi ich naprawdę, ma wrażenie, że ktoś nakierował na nich silne białe światło.

Próbuje się uśmiechnąć, ale wszystko przychodzi jej z wielkim trudem. Nieporadnie, z wysiłkiem unosi dłoń na powitanie.

– Chyba się udało – mówi Kaszmir, co Sylwia czyta z ruchu jej ust. Kobieta spogląda na Andrzeja, tak jakby los Sylwii zależał od jego potwierdzenia.

– Chyba tak – odpowiada Andrzej zapatrzony w Sylwię. Śmieje się, pociera oczy, które zwilgotniały.

Maja puka ręką w szybę, ale Kaszmir szybko każe jej przestać.

„Wszyscy musimy czasem zajrzeć do jaskini, wszyscy boimy się ciemności i jednocześnie do niej lgniemy" – myśli Sylwia, układając się wieczorem na łóżku Mai, które wcale nie jest za małe, chociaż ma ledwie metr sześćdziesiąt długości. Wsuwa ręce pod głowę, a dziewczynka przytula policzek do jej piersi.

Brakowało jej tego. Leżąc przez miesiąc w szpitalu, wiele razy wyobrażała sobie, że jest w domu z Mają.

– Tata miał cię nauczyć układu planet – przypomina Sylwia zapatrzona w sufit, gdzie namalowany przez nią obrazek świeci intensywnymi plamami.

– Tam jest Wenus. – Maja wskazuje jasny punkt.

– A to Jowisz – podpowiada Sylwia.

– A to ja. – Maja śmieje się, szczęśliwa.

Sylwia rozgarnia palcami jej włosy. Słyszy tykanie zegara i przenika ją chłód. „Całe życie jak jeden dzień – znowu przypomina sobie piosenkę. – Dni to sekundy, lata – godziny…"

Późnym wieczorem Andrzej przytula ją w miękkiej, zimnej pościeli.

– Jak się czujesz? – pyta szeptem.

Ręce Sylwii wydają się powolne i sztywne, gdy plącze je we włosach Andrzeja. Usta mężczyzny ocierają się o skórę na jej brzuchu. Unosi jej koszulkę, odsłania chude ciało. Jego

palce biegną po wypukłości żeber, kreślą wzory na cienkiej skórze. Sylwia słyszy swój oddech, denerwuje się, jakby to miał być ich pierwszy raz. On też ciężko oddycha. Chyba boi się, że ją skrzywdzi, przytula Sylwię delikatnie, jakby była kruchą porcelaną.

– To mnie nie zabije – mówi Sylwia i wreszcie się uśmiecha. – Nie musisz uważać. Możemy po prostu uprawiać seks.

Śmieje się, on też zaczyna się śmiać.

W szpitalu prawie zapomniała, że ciało może być źródłem przyjemności. Teraz poddaje się ustom Andrzeja, jego dłoniom. Zamyka oczy.

– Brakowało mi ciebie – szepcze mężczyzna. – Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Kocham cię – odpowiada, oplatając go ramionami.

Kilka dni później Sylwia zabiera Maję na wycieczkę.

– Pamiętasz jeszcze Polę? – pyta, podczas gdy dziewczynka brudzi szybę w samochodzie lepkimi od czekolady palcami. Jest czwartek przed południem, Andrzej wyszedł do pracy, a dziewczynka powinna być w szkole, ale Sylwia dzisiaj jej tam nie posłała.

– Tak, ciocia Pola, dziennikarka – odpowiada Maja jednym tchem.

W świecie siedmioletniego dziecka czas okropnie się dłuży. Pola wydaje się odległa, jakby stała na drugim końcu wszechświata; mglisty obraz z biegiem dni staje się coraz bardziej ulotny. Ale Sylwia nie pozwala dziewczynce zapomnieć, ciągle przypomina o tamtej kobiecie.

– Byłaś z Polą w Warszawie. Podobało ci się? – pyta, prowadząc auto.

– Tak. Byłyśmy w telewizji – potwierdza Maja.

– Polubiłaś ją?

Dziecko wzrusza ramionami.

– Tak.

– To dobrze, kochanie. To naprawdę dobrze.

– To ważne?

Sylwia nie odpowiada. Skręca w stronę nowoczesnego osiedla postawionego na szerokiej, płaskiej przestrzeni. Bloki pomalowano na beżowo, mają jasne balkony i długie nowoczesne okna. Blisko stąd do morza, Maja zauważa prześwit błękitu między drzewami.

– Dlaczego tu przyjechałyśmy, mamo? – pyta, gdy Sylwia zatrzymuje samochód na poboczu drogi.

Nigdy wcześniej nie były w tym miejscu, wszystko jest obce, nieznane. Dziecko śledzi wzrokiem mewy kręcące ósemki na niebie.

Sylwia nie odpowiada, zapatrzona w odległy punkt.

Niedawno dziewczynka nauczyła się czytać. Teraz literuje na głos nazwę na tablicy przy drodze: „Krynica Morska”, a potem drugą, na którą patrzy Sylwia: „Przedszkole Samorządowe numer 5”.

– Idziemy do przedszkola? – Maja jest zdumiona, a Sylwia w końcu sięga do klamki w drzwiach, jakby obudziła się z długiego snu.

– Chodź, chcę, żebyśmy kogoś znalazły, skarbie.

Zagłębiają się w przyjemny półmrok przedsionka i już są w środku, pod tablicą, na której wiszą rysunki przedstawiające święta oraz Panią Zimę. Podczas gdy Maja przygląda się pracom, Sylwia wyciąga szyję, żeby dojrzeć plac zabaw za przedszkolem, gdzie dzieci właśnie lepią bałwana. Ten widok przypomina zimową pocztówkę. Sylwia przechyla głowę na bok, szukając spojrzeniem osoby, dla której tu przyjechała.

Minęło wiele czasu, od kiedy nieznajoma kobieta zadzwoniła do radia z informacją, że anglistka uczącą w przedszkolu w Krynicy Morskiej jest bardzo podobna do Sylwii. Dziennikarka prowadząca audycję zbyła tę informację, uznając, że to nic ważnego, ale Sylwia ją zapamiętała. Praktycznie nie ma szans na to, że kobieta się nie pomyliła, ale nawet tak mała nadzieja to przecież więcej niż nic.

– Czy to nauczycielka angielskiego? – pyta woźną i wskazuje jedną z dwóch kobiet zajętych rozmową na dworze.

– Tak, ta niższa blondynka.

Sylwia dziękuje i rusza do drzwi. Wychodzi na plac zabaw, mija rozbiegane, hałaśliwe dzieci i zmierza prosto do młodej kobiety w jasnoniebieskim płaszczu – ulubionym kolorze Sylwii.

Kiedyś czytała, że bliźniaki, nawet kiedy nie są do siebie podobne wizualnie, mają podobny gust. Pochłaniały ją opowieści o siostrach, które odnajdowały się po latach i ze zdumieniem stwierdzały, że w szafie mają kilka identycznych ubrań, słuchają tej samej muzyki i wzruszają je te same filmy.

Niebieski płaszcz mógłby należeć do niej – pasowałby do niebieskiej czapki, którą ma dzisiaj na głowie.

– Joasiu.

Przedszkolanki przerywają rozmowę dopiero po chwili. Wyższa spogląda na Sylwię i Maję, nie mając pojęcia, na kogo patrzy. Ale niższa od razu marszczy brwi, jakby zrozumiała, że ta wizyta odmieni jej życie.

Mają ten sam owal twarzy, drobną budowę ciała, niski wzrost. Sylwia rozpoznaje swoje oczy w twarzy młodej kobiety, a ta kobieta rozpoznaje swoje usta w twarzy Sylwii. Ktoś patrzący z boku mógłby powiedzieć, że zauważa pewne podobieństwo. Nie tak wyraźne, by od razu rzucało się w oczy, a raczej nienachalne – mało kto pomyślałby, że są bliźniaczkami. Ale można szybko dojść do wniosku, że łączą je więzy krwi.

Sylwia uśmiecha się i osłania usta dłonią. Słyszy:

– Nie mam na imię Joasia.

Te słowa są bez znaczenia. Maja podbiega do matki i ciągnie ją za rękaw.

– Mamo, mamo, czy mogę się pobawić z dziećmi?

– Tak – odpowiada Sylwia nieuważnie, zapatrzona w stojącą przed nią postać. – Idź, kochanie.

Jeszcze nie ma całkowitej pewności, jeszcze się waha, ale kobieta dodaje jakoś bezradnie:

– Tylko nie wiem, jak nazywałam się przed adopcją.

Maja biega po placu zabaw z rozłożonymi rękami, które są teraz skrzydłami samolotu. Kiedy bierze zakręt, kątem oka dostrzega, że niższa z kobiet mocno obejmuje matkę. Wtulają w siebie głowy, drżą im ramiona. Towarzysząca im przedszkolanka z niedowierzaniem przysłuchuje się rozmowie. Gdy Maja zawraca, dociera do niej kilka zdań, wśród których wychwytuje:

– …znaleziona w pociągu SKM…

– Na bocznicy…

– Podobno konduktor…

– Nikt mi nie powiedział…

– Poprosiłam o udostępnienie aktu…

– 1983 rok…

– Nigdy jej nie widziałam…
– Był taki zapis…
– Nie logowałam się tam…
– Nie wiedziałam, czy jest sens szukać…
– Nie słyszałam o tobie wcześniej…
– Tak, Niebieska Dziewczynka…

Samolot kołuje nad ziemią. Maja rozpędza się i ostatni raz okrąża kobiety, zanim koła dotkną pasu startowego. Kiedy w końcu się zatrzymuje, widzi, że mama i tamta kobieta ciągle się obejmują, ale teraz tak, jakby obu zabrakło sił i stały tylko dzięki temu, że mają siebie. Maja opuszcza ręce, zdziwiona tym widokiem. Słyszy głos matki:

– …tyle lat… czułam… O Boże…

Wyższa z przedszkolanek zostawia kobiety same, podchodzi do Mai i pyta dziwnie ściśniętym głosem, czy dziewczynka napiłaby się ciepłej herbaty w kuchni.

– Twoja mama pewnie też zaraz wróci do środka – dodaje łagodnie. – Dużo się dzisiaj wydarzyło. Nigdy bym nie pomyślała, że będę świadkiem czegoś takiego… Skarbie, ty nie masz pojęcia, co się właśnie stało, prawda?

33

Współcześnie

W niedzielę brat pomaga mi załatać siatkę na tyłach ogrodu.

– Mogłaś wziąć rasowego psa – stwierdza. – Ten wygląda jak wilk. I kto, do cholery, zrobił ci tu taką dziurę?

Śnieg już dawno stopniał, na trawniku nie zostało po nim nawet śladu. Trawa się zieleni, a pomiędzy nią z wilgotnej miękkiej ziemi wyrastają pierwsze kwiaty. Słońce pnie się po niebie, kiedy zawracam do domu. W kuchni przygotowuję kawę dla siebie i dla Adama, obrzucam spojrzeniem komodę, na której stoją ramki na zdjęcia. Dawno temu, nie rozumiejąc, co mną kieruje, wyjęłam fotografie ze środka, ale podczas mojej nieobecności Adam z powrotem je tam umieścił. Przyglądam się więc mamie w chustce na głowie i w okularach w stylu żony prezydenta Kennedy'ego. Widzę tatę obejmującego ramieniem Adama.

Kiedy Adam przyszedł na świat, rodzice wydawali się pochłonięci wyłapywaniem podobieństw syna do nich.

– Po tobie będzie naukowcem – mówiła z radością mama. – Zobacz, z jaką łatwością liczy na paluszkach.

– Ma twoje oczy. – Tata się uśmiechał.

– Mówi całkiem jak ja. Patrz, na tym zdjęciu wygląda jak mój brat.

– To twój typowy uśmiech.

– O Boże, przypomina mi ciebie, kiedy tak robi.

Pojawiłam się w rodzinnych albumach nagle, mając niespełna rok. Ciemnowłosa, ze śniadą karnacją nie pasowałam do ojca i matki. Na tych pierwszych zdjęciach wyglądam na zagubioną i smutną. Przytulam się do mamy, ale zawsze patrzę w inną stronę. Obejmuję tatę za szyję, ale robię to tak, jakbym wcale nie była przyzwyczajona do takich gestów.

Pamiętam, jak mając jedenaście lat, leżałam z mamą na plaży. Poprosiła, żebym posmarowała jej plecy olejkiem, więc wylałam parę kropel na skórę między łopatki i zaczęłam wcierać. Wtedy zauważyłam mały ślad, wielkości paznokcia, który miał zaczerwienione wnętrze, ale nie wyglądał na ranę.

– Co to takiego, mamo?

– Rodzinne znamię – odpowiedziała nieuważnie, zaczytana w książce. – Mają je wszystkie kobiety w naszej rodzinie, przechodzi z pokolenia na pokolenie.

– Czy ja też je mam?

Poczułam dłoń matki wędrującą po moich plecach. Chciała znaleźć coś, cokolwiek, nawet pieg, byle tylko móc powiedzieć: „Tak, kochanie. Też je masz".

Nawet dzisiaj robi mi się dziwnie na myśl, że uwierzyłam, gdy stwierdziła:

– Widocznie w twoim pokoleniu już nie występuje.

Filiżanki z kawą ustawiam na tacce. Przy głośnym wtórze radia ruszam do drzwi. Jestem gdzieś w połowie przedpokoju, kiedy nagle pod powiekami pojawia się intensywny obraz: Sylwia, jej jasne włosy, wpatrzone we mnie niebieskie oczy…

Obraz gaśnie, mija chwila i wtedy ogarnia mnie bardzo złe przeczucie.

W kawiarni spotykam się z Jackiem i ekipą telewizyjną, z którą mój były kamerzysta kręci dzisiaj program o rezerwacie przyrody. Wchodzę do środka i dziwi mnie, że witają mnie pełne wyczekiwania spojrzenia wszystkich obecnych. Od razu wraca niepokój, który zdążyłam uciszyć.

Na końcu zatłoczonego pomieszczenia bez okna, tuż nad barem, wisi mały telewizor. Na ekranie zauważam jedno ze zdjęć Sylwii, z którymi kiedyś przyjechałam do Warszawy. Staję w bezruchu. Widzę jej chudą, bladą twarz, częściowo ukrytą pod niebieską czapką, i zanim odczytam zamieszczone niżej informacje, zanim wiadomość o tym, co napisano, dotrze do mnie, Jacek podrywa się z krzesła, a ja raptownie zawracam na schody.

Mijam duże ozdobne doniczki i kieruję się na przełaj przez trawnik w stronę drogi prowadzącej do mojego domu. Niemal biegnę, ledwie łapię oddech, czuję, jakby ktoś mnie mocno uderzył.

– Poczekaj, Polu! – Jacek dogania mnie w pobliżu parkingu. Wymawia moje imię z nietypową dla niego ostrożnością.

Staję w miejscu i patrzę na niego, nic nie rozumiejąc.

– Co jej się stało? – pytam ostro. Złość jest lepsza niż rozpacz.

– Organizm odrzucił szpik. To się często zdarza.

– Kiedy?

– Zmarła dzisiaj w nocy.

Opieram ręce na udach i muszę pochylić głowę. Przed oczami robi mi się ciemno, mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Jacek próbuje mi pomóc, ale wyrywam rękę z jego uścisku.

– Gdzie była dziewczynka, kiedy to się stało?

Po moim powrocie do domu Jacek nakręcił jeszcze dwa programy o Sylwii, więc w ostatnich tygodniach był najbliżej jej i rodziny.

– Z tego, co słyszałem, zabrała ją do siebie siostra męża – odpowiada. – Nic więcej nie wiem.

Pocieram usta, mam wrażenie, że moje myśli stały się mrowiskiem, w które jakiś idiota właśnie wepchnął patyk. Próbuję zapanować nad chaosem w głowie, ale to się nie udaje.

– Mógłbyś do nich zadzwonić w moim imieniu? – pytam spontanicznie.

Jeszcze zanim Jacek odpowie, zaczynam płakać bez opanowania, krzywiąc twarz w wyrazie, który z daleka można pomylić z uśmiechem.

– Zadzwonisz do nich? – Naciskam, a potem nie jestem w stanie już niczego powiedzieć.

– Dlaczego sama nie zadzwonisz? – Jacek się dziwi.

Uginają się pode mną nogi i ciężko siadam na trawniku. Znowu płaczę, a Jacek, nie bardzo wiedząc, co robić w tej sytuacji, po chwili namysłu siada przy mnie.

Wciąż mam jedną z płyt, które Sylwia nagrała dla siostry, a w kopercie znajduje się lista piosenek spisanych dla mnie przez Kaszmir. Wcześniej tam nie zaglądałam, ale teraz otwieram kopertę. Okazuje się, że matka Sylwii wybrała same silne, pełne nadziei utwory, którymi pragnęła mi podziękować:

Elton John – *Your Song*

Miley Cyrus – *I Hope You Find It*

Bruce Springsteen – *High Hopes*

W nagraniu, które uruchamiam na laptopie, Sylwia wydaje się bardzo chora. Być może powstało kilka dni przed tym, jak postanowiła zwrócić się do mnie o pomoc. Ostatni jej ślad.

Miałam jej oddać tę płytę, a teraz jest już za późno.

„Wierzę w matematykę i liczby, wierzę w istnienie nieskończoności” – mówi, opierając głowę na dłoni. Odruchowo robię to samo. „Sylwio, Sylwio!” – myślę z rozpaczą. „Każdej nocy, gdy spoglądam w niebo, widzę te same gwiazdy. Jeśli którejś zabraknie, wiedzą o tym naukowcy. Tak jest z nami. – Uśmiecha się sennie, mruży oczy, jakby raziło ją słońce. – Gdy odchodzimy, wie o tym tylko garstka ludzi”.

Andrzej mówi ściszonym głosem, jakby miał w mieszkaniu gości.

– Pogrzeb odbędzie się w środę. Gdybyś chciała przyjechać…

Stoję przy oknie i wpatruję się w Wilka, który węszy w ogrodzie. Znowu huczy mi w głowie, a gardło się zaciska. Andrzej wyjaśnia, że Sylwia gorączkowała przez kilka dni. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego. Poprosiła, żeby Andrzej zawiózł ją do szpitala, ale zanim odjechali, zawołała do siebie Maję. Długo nie wypuszczała dziewczynki z ramion. Otulała dłońmi jej twarz, patrzyła córce w oczy, dotykała włosów, sukienki, jakby chciała się jej nauczyć na pamięć. Mówiła trudne rzeczy…

– O tym, że zawsze przy niej będzie i że kocha ją tak, jak nigdy nikogo nie kochała… Prosiła, by Maja obiecała jej, że… – Głos mu się rwie. Zbyt wiele emocji.

Że zawsze będzie podejmować mądre decyzje. Że będzie słuchać taty. Że jeśli zacznie tęsknić za mamą, zamknie oczy i przywoła w pamięci jej obraz. Że zapamięta ją na zawsze.

Nie jestem dość silna, by słuchać dalej. Myślę o tym, czego Andrzej mi nie powiedział: Sylwia niepokoiła się o przyszłość Mai. Kochała swoje życie i na pewno nie chciała opuścić rodziny. Oddałaby wszystko za kolejne lata przy Andrzeju i dziecku. Chciała zobaczyć, jak dziewczynka dorasta, widzieć jej pierwsze sukcesy, wspierać ją przy zawodach miłosnych i mieć pewność, że córce nie zdarzy się krzywda. Czy ktoś będzie potrafił ją zastąpić? Nikt nie zadba tak dobrze o dziecko jak jego mama.

Kiedy Andrzej przywiózł Sylwię do szpitala, było już za późno. Lekarze niewiele mogli zrobić. Życie zaczęło się rwać jak pajęcza sieć.

– Jej biologiczna siostra przyjeżdżała do nas, a potem też do szpitala, niemal codziennie rozmawiały przez telefon…

Łatwiej mówić o niej niż o Sylwii. Andrzej opowiada więc o dziecku, które matka porzuciła w kolejce SKM i które znalazł konduktor, kiedy pociąg zjechał na bocznicę po skończonej trasie. Dziewczynka nie umiała mówić. Zabrana do domu dziecka długo pozostawała bezimienna, zanim w wyniku procesu sądowego nadano jej nową tożsamość. Adoptowała ją rodzina z Krynicy Morskiej, właściciele niewielkiego pensjonatu. Joasia opowiadała Sylwii, że była szczęśliwa z nowymi rodzicami, kochała ich. Jako nastolatka odkryła dokumenty ze swojej adopcji. To był przypadek – w garażu na najwyższej półce znalazła karton, w którym rodzice schowali wszystkie papiery. Od dzieciństwa wiedziała, że była adoptowana, ale wówczas po raz pierwszy miała w rękach namacalny dowód. Nigdy nie szukała biologicznej rodziny, uważała, że skoro spotkał ją taki los, odnalezienie jej może tylko rozczarować, a na pewno nie wniesie w życie niczego dobrego. Odkładała to na później, twierdziła, że jeśli kiedyś poczuje się gotowa, zacznie pytać o swoją przeszłość. O Niebieskiej Dziewczynce usłyszała dopiero wtedy, kiedy telewizja wyemitowała mój reportaż. Nie oglądała go jednak. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, że mogą być spokrewnione.

Błądzę wzrokiem po lesie, gdzie pojawiły się pierwsze zielone liście. Przychodzi mi do

głowy, że Sylwia od początku miała rację. Kierowała się przeczuciami i intuicją, a one jej nie zawiodły. To ja byłam w błędzie.

Potrzebuję chwili, żeby powiedzieć:

– Przywieź do mnie Maję. Pomogę jej, razem spędzimy dobry czas. Media jej tu nie znajdą, będzie mogła w spokoju przejść żałobę.

Czekam na nich na ganku, wpatrzona w wąską drogę, po której tylko raz dziennie jeżdżą autobusy. Słońce rozgrzewa świeżo położony pomiędzy domami chodnik. Grzebię patykiem w ziemi, a Wilk kręci się niespokojnie, pewnie z nadzieją, że zaraz zacznę się z nim bawić.

Wszystko już przygotowałam: dla Mai wybrałam najładniejszy pokój, na poddaszu, z widokiem na morze. Od rana zdążyłam pościelić łóżko, wymyłam półki w szafach i regały, odkurzyłam dywany. Nareszcie rzeczy, dla których nie mogłam znaleźć miejsca przez całe lata – kartony z mojego dzieciństwa, bezsensownie przywiezione z domu rodziców i umieszczone na strychu – wszystko to ma okazję się przydać. Rozpakowałam je w pokoju Mai: stare gry planszowe, misie, liczydło, domek dla lalek i miniaturowe meble. Nie będzie się tu nudzić.

Obracam twarz do słońca; dotykam stopami, które wysunęłam z sandałów, rozgrzanego betonu i sprawia mi to przyjemność. Zajęło mi trochę czasu zrozumienie, że Sylwia wszystko zaplanowała, przewidziała każdą możliwość i zrobiła, co mogła, żeby zapewnić Mai opiekę. Teraz wreszcie wiem, dlaczego wybrała właśnie mnie – potrzebowała samotnej kobiety, która niczego nie zbudowała w życiu i zawsze czuła się niekochana. Włożyła tak wiele wysiłku, żeby ściągnąć mnie do swojego domu i zbliżyć do Mai. Myślę o ukradzionych pieniądzach, o niby niewinnej propozycji Sylwii, żebym zabrała dziewczynkę do Warszawy. Teraz cel jest jasny: miałam pokochać jej dziecko. I miałam być przy niej, gdy Sylwii zabraknie.

„Udało ci się, Sylwio – myślę, grzebiąc patykiem w ziemi. – Kocham ją tak, jakby była moją własną córką".

Czekam na odgłosy silnika, a kiedy rzeczywiście docierają do moich uszu, jeszcze odległe, ale nie do pomylenia, nie mogę usiedzieć; idę więc do furtki, to jednak nie wystarcza – muszę wyjść na ulicę.

– Wilku, chodź tutaj! – wołam, kiedy samochód zatrzymuje się na parkingu pod moim domem. Łapię psa za obrożę i wpatruję się w tylne drzwi, które popycha mała dłoń.

Zapomniałam już, że Maja jest taka wątła i chuda, że ma jeszcze tak bardzo dziecinną buzię i te niewinne dziecięce oczy. Wiatr rozwiewa kosmyki jej czarnych włosów, rozpoznaję znajome smutne usta, widzę zarys chudych nóg pod spodniami. Ruszam do niej, puszczając psa.

– Witaj, mała księżniczko – mówię z uśmiechem, czując ulgę, że mój głos nie zdradza emocji.

– Dzień dobry, ciociu – odpowiada Maja grzecznie i pozwala mi się przytulić.

Długą chwilę wdycham jej dziecięcy zapach i nie wypuszczam jej z ramion.

– Jak dobrze, że jesteś – szepczę dziewczynce do ucha.

Ciężko mi wyobrazić sobie, co czuła, gdy żegnała się z matką. Nie miała pewnie świadomości, że widzą się ostatni raz. Teraz, gdy Sylwii nie ma już kilka dni, Maja na pewno bardzo za nią tęskni, ale wciąż czeka, aż mama pewnego dnia wróci. Nie wiem, ile minie czasu, zanim do dziewczynki dotrze, co się naprawdę stało.

Andrzej też wydaje się inny, niż go zapamiętałam. Zeszczuplał, wydarzenia ostatnich dni

odcisnęły na nim ślad – w lekkich wgłębieniach pod oczami zbierają się cienie. Łapię się na tym, że chciałabym go pogłaskać, ale ograniczam się do przytulenia go, kiedy do mnie podchodzi.

– Cieszę się, że cię widzę – mówię.

– Jak się czujesz? – pyta w odpowiedzi.

Nie jestem przygotowana na życzliwość, od razu coś ściska mnie za gardło. Pochylam głowę, by nie widział, że wilgotnieją mi oczy.

– To o ciebie się martwię – odpowiadam. – Chodźcie do domu. Maju, to mój pies, możesz mówić do niego Wilk.

– To prawdziwy wilk, ciociu? – Dziewczynka trochę się ożywia.

Andrzej zostawił otwarte drzwi od strony kierowcy, jakby zaraz miał ruszyć z powrotem.

– Nie bój się, to tylko pies – mówię, ale patrzę na samochód.

– Mogę go pogłaskać?

Podczas gdy dziecko podchodzi do psa, obracam się do Andrzeja.

– Jak sobie radzicie? – pytam.

Wzrusza ramionami, jakby nie było nic do dodania.

– Maju, mam dla ciebie śliczny pokój.

Dziewczynka nie czuje się przy mnie swobodnie, minęło za wiele czasu – widzę to w jej oczach. Trochę rozpaczliwie ogląda się na Andrzeja, kiedy zapraszam ją do ogrodu, a on zostaje w tyle. Podchodzę więc do niego.

– Zostań z nami – proszę. – Ty też powinieneś odpocząć.

To nic wielkiego. Słowa są takie proste. Nietrudno je wymówić. Łatwo przechodzą przez gardło.

W głębi lasu śpiewają ptaki, kobieta z dzieckiem puszcza latawiec na plaży. Na rozkładanym stoliku postawiłam lemoniadę w wysokich szklankach. Siedzę na leżaku, wdycham intensywny zapach sosen i szukam tematów do rozmowy, ale w moich myślach jest tylko Sylwia.

Maja nie odstępuje Wilka. Wreszcie się rozpogodziła, zaczyna się dobrze bawić.

– Dzieci łatwiej zapominają – mówię, a zaraz potem dodaję: – Będzie jej tu dobrze.

Wiatr porusza liśćmi na drzewach, rozpędza mały wiatrak, który dla Mai umieściłam przy płocie.

– Sylwia była ci wdzięczna za wszystko – mówi Andrzej. Chce dodać coś jeszcze, ale milknie.

Patrzymy na siebie, on wyciera oczy i odwraca twarz.

– Przejdźmy się na plażę – proponuję kilka minut później.

Od morza wieje silniejszy wiatr. Andrzej idzie niespiesznie, spogląda na mnie, gdy zaczynam śpiewać harcerską piosenkę z dzieciństwa:

– „Tam, gdzie dymy za miastem, gdzie bez słońca był świat…”

– Znam tę piosenkę! – woła Maja. – Mamy ją na harcerstwie!

– Ho, ho – odpowiadam, doganiając ją. – To ty już jesteś harcerką? Chyba raczej zuchem, co?

Andrzej też się uśmiecha, a potem widzę, że to dla niego zbyt wiele. Śmiech po jej śmierci jest ponad nasze siły. Mnie też boli serce. Mimo to śpiewam dalej, a Maja dośpiewuje dalszą zwrotkę, by udowodnić, że naprawdę zna tekst:

– „…mieszkał chłopak marzyciel, osiemnaście miał lat…”.

Przerywam, by nabrać oddechu, zrównuję krok z Andrzejem i łapię go pod ramię, a dziewczynka próbuje nadążyć za psem, który pobiegł przodem.

Gdynia, 17 grudnia 2014 roku

BLACK PUBLISHING
Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Redakcja: redakcja@blackpublishing.pl
Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
sekretariat@blackpublishing.pl
Promocja: magdalena@blackpublishing.pl
Marketing: honorata@czarne.com.pl
Dział sprzedaży: sprzedaz@blackpublishing.pl

Skład: D2D.PL
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2015
Wydanie I